

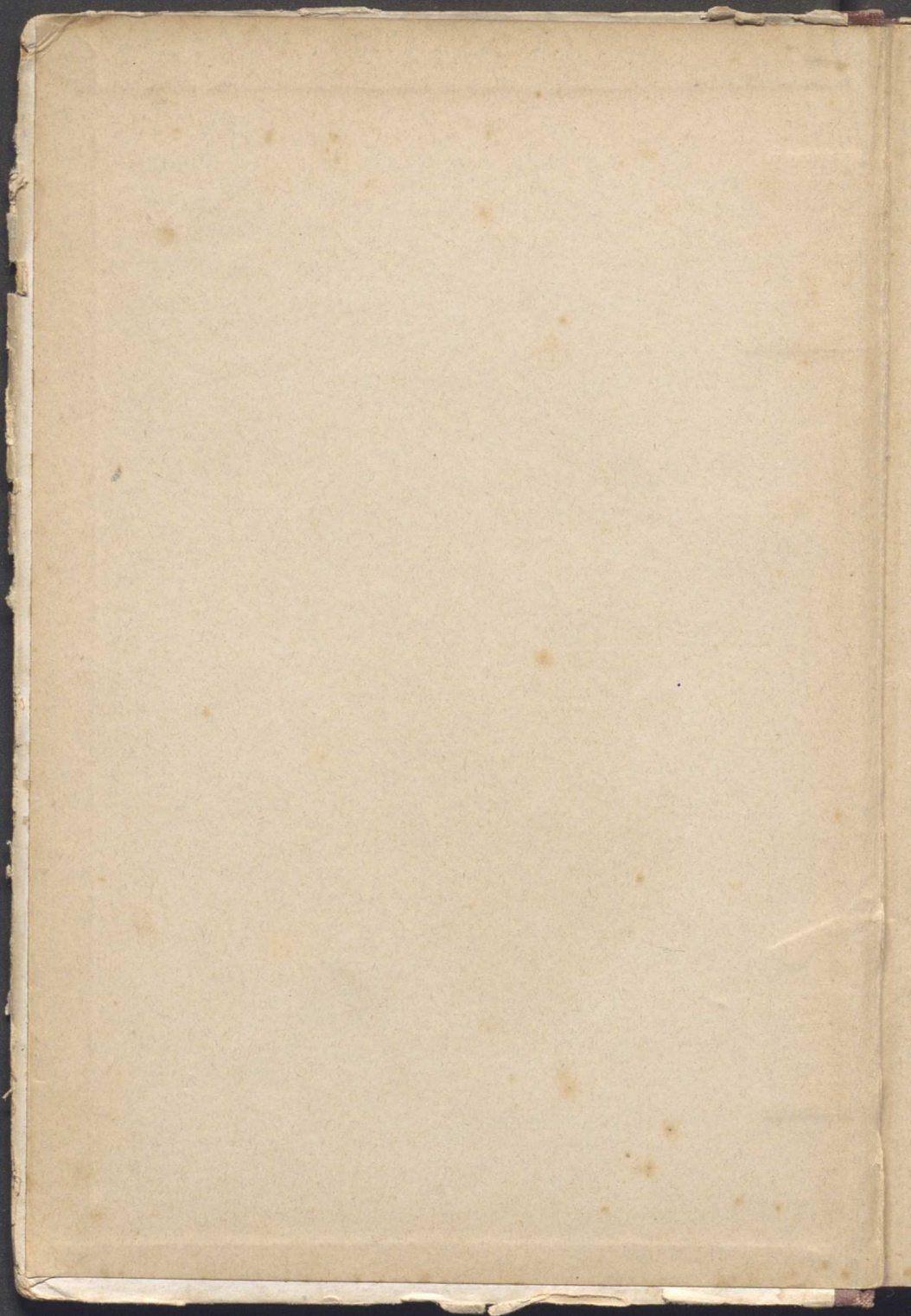
T. 2807. 605

LE ROUGE

# WIEŹIEŃ NA MARSIE

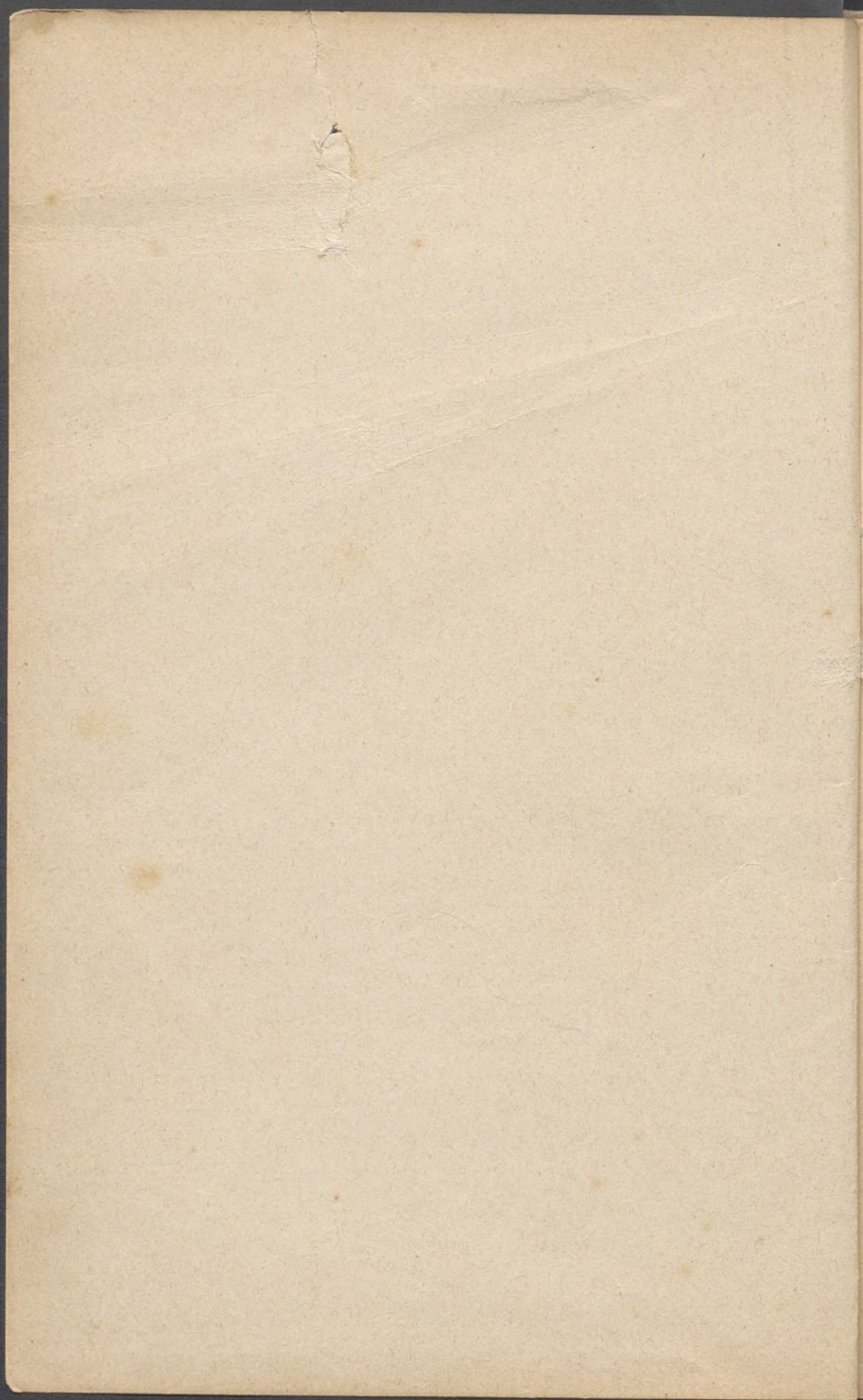


PAKWADEM M. ARCTA W WARSZAWIE



5

1.209



WIEZIEN NA MARSIE

1911. — DRUKARNIA M. ARCTA  
WARSZAWA — ORDYNACKA 8.

GUSTAW LE ROUGE.

---

# WIEZIEN NA MARSIE

POWIEŚĆ FANTASTYCZNA

TŁOMACZYŁA Z FRANCUSKIEGO

K. W.

Z RYCINAMI

NAKŁADEM M. ARCTA W WARSZAWIE

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001013586957



I 2.807.605



2014 k. 251/29



### Tajemniczy dom.

Więc nie zostajesz z nami stanowczo? — pytał Ralf swego przyjaciela, Roberta Darvela.

— Nie mogę! Sam przyznasz, iż nie godzi się opuszczać tak doskonałej okazji. Ten pan Ardavena, który mnie wzywa na schadzkę w tak dziwny sposób, musi być jakimś bogatym fabrykantem lub przemysłowcem, który chce pozyskać mnie a raczej moją pomysłowość dla swych interesów. Wobec tego, że kasa moja zupełnie pusta, propozycja taka uśmiecha mi się bardzo!

— Bodaj byś się nie omylił! — odparł Ralf Pitcher, nieco niedowierzająco. — Ton listu nie jest wyraźny!

Robert wyciągnął z kieszeni arkusz papieru, zapisany pismem powikłanym i tajemniczym i odczytał głośno.

„Panie! Miałem sposobność zapoznać się z pańskimi pracami oraz podróżami i chcę panu zaproponować rzecz ważną a zajmującą. Proszę o zobaczenie się ze mną w piątek o godzinie dziesiątej wieczorem w mieszkaniu

przy ulicy Yarmouth Nr. 15. Proszę o nieodzwonne przybycie, gdyż chodzi tu o rzecz ważną dla nas obu.

Ardavena.”

— Hm! List ten nie wygląda na to, by go pisał fabrykant lub przemysłowiec! — mruknął Pitcher niedowierzająco.

— Może jakiś dziwak! A no, zobaczmy! Jutro po obiedzie opowiem ci wszystko! A teraz muszę śpieszyć! Żegnaj! — zawołał wesoło Robert i pożegnawszy przyjaciela, rażnym krokiem pośpieszył naprzód.

Noc już była oddawna zapadła, kiedy Robert wchodził na ul. Yarmouth, skąpo oświetloną, cichą i zamarłą. Minął uliczkę Pitter, na której panowała tak głucha cisza, że szczury przebiegały środkiem ulicy.

Robert doznał mimowolnego ściśnienia serca: nigdy jeszcze nie czuł się tak samotnym. Ulica wydawała mu się jakimś cmentarzyskiem minionego życia; dachy spiczaste i wysokie spoglądały okienkami okrągłych dymników, a chorągiewki poruszane wiatrem, jęczały żałośnie.

— Nie, — rzekł Robert do siebie — to musi być coś więcej, aniżeli schadzka dla porozumienia się w interesach!

Przeczuwał jakieś niebezpieczeństwo, lecz w podróżach swoich przeżył tyle, tyle widział, i tyle razy wyszedł zwycięsko z różnych przygód, że i obecnie nie poddał się melancholji starego zakątka Londynu, a czując w kieszeni doskonały rewolwer, szepnął:

— Doprawdy, że mi się ta dzielnica podoba—możnaby tu w spokoju prowadzić różne doświadczenia! To też, jak tylko zrobię jaki dobry interes, nabędę natchmiast jeden z tych pałaców.

Dziesiąta biła właśnie na zegarze wieżowym, kiedy Robert uderzył młotkiem <sup>1)</sup> w bramę wskazanego domu.

Połowa bramy uchyliła się i zamknęła za nim natychmiast, a Darvel znalazł się na obszernym dziedzińcu, zarosłym wysoką trawą, ze studnią pośrodku, otoczoną balustradą z kutego żelaza.

— Czy tu mieszka pan Ardavena? — spytał.

— Proszę iść za mną — odezwał się głos cichy i bezbarwny.

Robert odwrócił się i spostrzegł człowieka w czarnym ubraniu, zapalającego małą latarenkę. Przy jej czerwonawym świetle dojrzał, iż jest to starzec, który wyglądał na zakrystjana, lub szwajcara: długie białe włosy i takiż zarost okalały twarz wyschlą i zawiędłą. Ręką, ozdobioną licznymi pierścieniami, podał Robertowi latarenkę, a sam zgarbiony, poszedł naprzód po ścieżce wydeptanej w trawie.

Po chwiejących się stopniach weszli na taras, ozdobiony brązowymi sfinksami, drzemiącymi wśród szarzielonych kałuży.

Starzec otworzył drzwi, przeszedł się zawieszoną portretami i podniósł skórzaną zasłonę.

Robert znalazł się w sali, szczególnie umeblowanej. W rogach jej stały na marmurowych podstawach dziwaczne, wielorakie bóstwa o głowach potwornych, a kadzielnice wyziewały wonne, odurzające dymy. Dookoła ścian stały niskie, miękkie otomany, kryte aksamitem czarnym w złote wzory. Pełno tam było

---

<sup>1)</sup> Starożytny zwyczaj, zastępujący późniejsze dzwonki, który się dotąd gdzieniegdzie utrzymał.

najrozmaitszych cacek, przyrządów do palenia tytoniu i opium, a wspaniały kredens był obciążony butelkami szampana i różnych napojów wysokokowych. Wielkie szafy z hebanu inkrustowanego zapełnione były rękopisami, — niektóre z nich składały się z liści palmowych, lub deseczek z drzewa sandałowego.

— Zapewne to jest mieszkanie jakiegoś przemysłowca angielskiego, który bawił długo w Indjach — pomyślał Robert, zasiadając wygodnie na miękkiej otomanie.

Zaledwie jednak usiadł, usłyszał jakiś groźny pomruk; — zerwał się przerażony i odskoczył o kilka kroków. Zimny pot wystąpił mu na czoło, gdy z pod sofy wyszedł, przeciągając się, ogromny tygrys i cichym, kołyszącym się chodem wysunął się na środek sali.

Tam przypadł do ziemi przednimi łapami, próbując ostrości pazurów na dywanie, a potem zaczął iść wolno, węzowym ruchem w stronę gościa... Oczy zwierza gorzały, grzbiet się wyprężył: gotów był do skoku. Robert pochwycił rewolwer i położył palec na cynglu, przygotowany do strzału w razie skoku tygrysa. Był bardzo biały; serce biło mu silnie, lecz zachował spokój zupełny i czekał z zimną krwią.

Upłynęły trzy sekundy — czy trzy wieki, tego Robert nie wiedział! Człowiek i zwierzę badali się wzrokiem: gdyby Robert był spuścił oczy, choć na jedną sekundę, byłby zgubionym! Nagle zasłona u drzwi, czarna w złote wzory, uchyliła się i głos stłumiony jakby dochodzący z dali, zawołał:

— Mowdi! Mowdi!

Tygrys poznał snać głos swego pana, gdyż szybko wpełznął znów pod sofę; Robert zaś zwrócił się gniewnie do wchodzącego:



...z pod sofy wyszedł, przeciągając się ogromny tygrys...

— Mój panie! Żarty pańskie są co najmniej nie-stosowne! Nie wiem, w jakim celu zostałem wciągnięty do tej odludnej dzielnicy. Uprzedzam jednak tego, kto-by miał zamiar mię ograbić, że się źle wybrał; mam przy sobie tylko dziesięć szylingów, ale za to — wy-borny rewolwer!...

Tu urwał nagle, zmuszony do milczenia jakąś wyższą siłą i głęboko zmieszany wyrazem twarzy stojącego przed nim człowieka. Był on małego wzrostu i tak nadzwyczajnej chudości, iż pod okrywającą go cienką szatą z czarnego jedwabiu znać było każdą kostkę. Muskuly jego tak zanikły, że pozostały z nich tylko cienkie sznurki; ręce wyschłe, koloru ziemi — miały wygląd rąk mumji.

Najbardziej jednak zastanawiającą była jego twarz. Wyobraźcie sobie trupią głowę o czole nadzwyczaj wy-sokim, pod którym gorzały oczy lazuruwo-błękitne, czyste i jaśniejące młodością: były to jakby dwa świe-że bławatki na nagiej czaszce.

A jednak postać ta nie miała w sobie nic posępne-go lub odstraszającego. Ze szlachetnych rysów widnia-ła powaga i energia olbrzymia; oczy wprost promie-niowały nadmiarem żywotności.

Postawę miał prostą, ruchy swobodne a uśmiech pełen dobroci.

— Usiądź pan, proszę — rzekł łagodnie.

Robert usiadł, czując niejaki zawrót głowy: tysiące różnorodnych myśli, bezładnych podejrzeń, kłębiło się w jego mózgu i uczuł nagle, z nieopisanym przeraże-niem, iż jest pod zupełną władzą tego szczególnego człowieka.

Ten zaś próbował go uspokoić, głosem cichym i jak gdyby dochodzącym z oddali.

— Przedewszystkiem, pozbądź się pan wszelkich obaw. Pojmuję pańskie rozdrażnienie i zapewniam pana, iż przykro mi jest bardzo, że zapomniałem o moim biednym Mowdi, który tu odbywa zwykle swoją siestę. Jest on jednak zupełnie nieszkodliwym — zabrałem go z dżungli małym kociakiem i nie zrobił nigdy krzywdy moim przyjaciółom.

— A nieprzyjaciółom?

— Nie mam ich — odrzekł starzec.

— Ale czegoż właściwie chce pan ode mnie? — spytał z niecierpliwością Robert — i kim pan jesteś?

— Czy nie słyszałeś nigdy o bramini Ardavena?

— Nie — rzekł Robert — tem nazwiskiem był podpisany list... ale nie przypominam sobie...

— To zresztą drobnostka — rzekł starzec. — Jestem przełożonym klasztoru w Kalambrum, mieście świątyn i pałaców, które mieści w swoich murach 10,000 braminów.

— Nie widzę dotąd, w czym mógłbym panu być użytecznym? — niecierpliwie przerwał Robert.

— Trochę cierpliwości. Zapewne wiadomo panu, iż my, bramini indyjscy, bywamy niekiedy zdolni do rzeczy nadprzyrodzonych, których cała wiedza Europejczyków nie potrafi ani powtórzyć, ani wytłomaczyć. Pan zaś, ze swej strony, posiadasz umiejętność innego rodzaju — siłę materialną, praktyczniejszą, niż nasza.

— Chciałbym zobaczyć choć jeden z tych cudów, o których pan wspominałeś... — rzekł z lekką ironją Robert.

— Nic łatwiejszego — odrzekł Ardavena, z pobłażliwym uśmiechem. — Spróbuj pan wstać!

To mówiąc, wyciągnął rękę w stronę młodego człowieka i utkwił w nim swe jasne oczy, świecące blaskiem drogich kamieni.

Robert nadaremnie się wysiłał, aby opuścić swe miejsce: zdawało mu się, iż ciało jego jest ciężkiem, jak bryła ołowiu, a próżne wysiłki sprawiały mu nieznośne cierpienie. Nie mógł nawet unieść ręki.

— Widzisz więc pan, — rzekł bramin, — że gdybym miał względem pana złe zamiary, broń pańska nie na wieleby się przydała. Teraz wracam panu swobodę.

Robert podniósł się i postąpił kilka kroków, coraz silniej ulegając potężnemu wrażeniu. Wszystkie jego pojęcia o rzeczywistości i możliwości — były rozwiane.

— Pan jesteś silniejszym ode mnie — zawołał, buntując się mimowoli, — ale cóż pan upatrzył sobie do mnie?

— Nie chcę w niczem wpływać na pańskie postanowienie. Jeśli na moje zamiary nie przystaniesz, wyjdiesz stąd tak samo, jak wszedłeś; a nawet, w razie odmowy ze strony pana, postaram się wynagrodzić mu poniesioną stratę.

— Nie żądam niczego!

— Porozumiejmy się: nie mam na myśli strat materialnych, ale rozumiem, że zawód, jakiegobyś pan doznał, zawiedzione nadzieje — mogłyby wyrządzić panu szkodę wielką. Proponuję więc następujący układ: posiadasz pan wyobraźnię twórczą, oraz znajomość swojej sztuki — w pojęciu tutejszem, naturalnie. Połączmy zatem swoje umiejętności: pan mię obeznasz z chemją, medycyną i mechaniką, a ja ci odsłonię ta-





jemnice psychologii i filozofji. Nasza wspólna praca musi sprawić cuda! Będziemy tajemniczem ogniwnem, które połączy zatraconą już sztukę świata starożytnego, ze sztuką silną, młodzieńczą, choć brutalną — nowego świata, nowych czasów.

Robert milczał, pogrążony w odmęcie myśli. Bramin mówił dalej, nieco zadumany:

— Kołatałem do wielu ludzi gienjalnych — wszędzie pozbywano się mnie jak szarlatana lub szaleńca. Szczęściem, moja sztuka pozwoliła mi wynaleźć pana w tłumie ludzi, jak się wynajduje djament w piaskach Golkondy... Jeśli miłujesz Prawdę i Sztukę dla nich samych, pójdz za mną!

— Ależ... — zauważył Robert, olśniony i przejęty urokiem i dziwną mocą słów tego człowieka.

— Wiem naprzód Twą myśl! Ale uspokój się — znam tę nędzną walkę, na którą jest wystawionym tu u was, na Zachodzie, człowiek ubogi. Otoczę cię zbytkiem, godnym indyjskiego radży; uczynię cię tak bogatym, że będziesz gardził bogactwem!

Tu Ardavena pociągnął za sobą Roberta do przyległego pokoju. Wśród ścian zszarzałych od wilgoci, leżała tam tylko wiązka słomy i stał dzbanek wody.

— Oto mój pokój — rzekł starzec — a przecież jestem miliarderm, jak się u was mówi. Wszystko jest możliwem dla tego, kto potrafi wyrzec się wszystkiego!

— Więc dobrze; — rzekł nagle Robert — rzecz skończona! Oddaję moją słabą wiedzę na usługi pańskiej mądrości.

— Namysł się jeszcze: gdy przyrzekniesz raz zgodę, będziesz musiał być mi posłusznym.

— Już postanowiłem: możemy się zobaczyć jutro!

— Dlaczego jutro? Nic cię przecież nie zatrzymuje w Londynie!

— A więc dobrze! Pojadę wtedy, kiedy pan zechcesz, — rzekł Robert, ujęty i zniewolony obejściem się tego człowieka, łagodnym a rozkazującym. — Ale czy nie potrzebujesz pan trochę czasu na przygotowania do podróży?

— Już wszystko załatwione: wiedziałem, że się zgodzisz!

Ardavena otworzył drzwi i poprzedzając swego gościa, przeszedł korytarz, wyłożony w kostkę czarnym i białym marmurem. Wyszli następnie na schody, a po przejściu ciemnej alei, znaleźli się na chodniku jakiejś ulicy, na środku której stał powóz. Zajęli w nim miejsca i po pięciu minutach jazdy, stanęli na dworcu Victoria; a gdy była jedenasta, już Robert Darvel i jego tajemniczy towarzysz siedzieli w wagonie sypialnym, pędząc do Duwru z szybkością 120 kilometrów na godzinę.

Nazajutrz w południe, Robert palił cygaro na pokładzie Petchili, wielkiego parowca, płynącego do Indji i patrzył zamyślony na znikającą w oddali białą kolumnę latarni morskiej w Land's End. Wkrótce ostatnie zarysy łądu rozpuły się i znikły w niebieskawej mgle oddalenia.

Robert płynął ku Indjom, tajemniczej krainie, jedynej, która wpośród naszej praktycznej cywilizacji pozostała królestwem czarów i uroków.

## Źródło energii.

Petchili odbywał swoją drogę w wybornych warunkach; po zwykłych przystankach na wyspie Malcie, w Port-Said i w Dżibuti, nasi podróżni wylądowali na wyspie Cejlon, w głównem mieście Kolombo. Stamtąd udali się do Karnaku, gdzie się znajduje sławna świątynia i klasztor Kelambrum.

Podczas podróży, Robert zawarł bliższą znajomość z Ardaveną i spostrzegł wkrótce, że człowiek ten posiadał zdumiewającą wiedzę i to w różnych kierunkach. Oprócz sanskrytu i innych narzeczy indostańskich, mówił z zadziwiająco czystym akcentem po angielsku, francusku i włosku. Znał również dobrze języki: arabski, perski, chiński, i w każdym z nich czytywał dzieła sławnych autorów w oryginale.

Ku wielkiemu zdziwieniu Roberta, był on także doskonale obeznanym z najważniejszymi odkryciami nowoczesnymi we wszelkich gałęziach nauk. Lecz najbardziej zdumiewającą była lotność jego umysłu, która mu pozwalała z drobnego nieraz szczegółu wysnuwać natychmiast wnioski uzasadnione i niezbite, rozwiązywać z niezwykłą jasnością najzawilsze zagadnienia.

Robert, pomimo swoich dyplomów i wynalazków, czuł się bardzo małym wobec tego szczególnego starca, który zdawał się być chodzącą encyklopedją ludzkiej wiedzy. Był jednak bardzo zadowolonym ze swej wyprawy, która, oprócz swej niezwykłości, zabezpieczyła go i pod względem materjalnym, gdyż w dniu wyjazdu z Londynu, Ardavena doręczył mu tytułem za-

datku, paczkę banknotów wartości około 2,000 funtów szterlingów<sup>1)</sup>.

Jedna rzecz go tylko martwiła: oto, że nie zawiadomił swego przyjaciela Ralfa ani o wyjeździe, ani o swem powodzeniu.

Nieraz już zabierał się do napisania do niego — lecz bramin, odgadując myśl jego, odradzał mu to stanowczo.

— Dla naszych przyszłych planów koniecznem jest, aby nikt nie wiedział, gdzie jesteś — mówił — i aby się Tobą wcale nie zajmowano. Każde przedsięwzięcie, o którym ludzie wiedzą, jest już przez pół chybionem! Później dostarczę Ci środków do porozumiewania się z przyjacielem — tymczasem, bądź o niego najzupełniej spokojnym: dobrze mu się dzieje!

Robert nie śmiał być nieposłusznym swemu szczególnemu współpracownikowi, ale przykrą mu była myśl, że Ralf może go mieć za obojętnego niewdzięcznika, lub opłakiwać może zgon jego.

W końcu podróży Ardavena namówił go, aby zamienił suknie europejskie na lekki ubiór indyjski, składający się z kawałka delikatnej tkaniny, długiego na 20 do 30 metrów, który się owija dokoła ciała — oraz lekkiego białego turbanu. Gdy jeszcze ogolił zarost i głowę, wyglądał jak prawdziwy indus.

Odpocząwszy parę dni po żegludze, podróżni nasi odbywali dalszą drogę na grzbiecie słoni. Uroczą to była podróż! Przebywali lasy kwieciste i zacienione, pełne odurzającego zapachu cudnych kwiatów; były w tych puszczech jeziora, okolone świątyniami z róż-

<sup>1)</sup> Około 20,000 rubli.

żowego marmuru, pełne śnieżystych lotosów,—to znów droga wiodła przez pustynie kamieniste, spalone słońcem, bez śladu roślinności.

Robert w licznych swych podróżach widywał wiele pięknych okolic; nie mogły się one jednak porównać z temi, które obecnie podziwiał. Czuł się pośród tej wspaniałej, bajecznie bujnej przyrody, odmłodzonym i rzeźkim, i ze swawolą chłopięcą zbijał kamieniami z wyniosłych drzew kokosowe orzechy, których łupinami celował potem w małpy, bujające się na ogonach owiniętych wkoło gałęzi i wrzeszczące niemilosiernie.

Zadziwiła go też podróż, szybka a tak wygodna, jakby oddawna już urządzono i przygotowano wszystko. Gdy przybyli z Kolombo do Karikal, tragarze odnieśli ich w lektyce do pałacu bogatego radży, gdzie znaleźli wszystko przygotowane na swoje przyjęcie. Uczta dla nich była przygotowana w ustronnej sali, lecz oprócz licznej służby, bacznej na każde skinienie, nie widzieli nikogo. To samo powtarzało się przez cały czas dalszej podróży, którą wygody, spokój, przygotowane zawczasu przyjęcia, czyniły jakąś baśnią czarowną.

Nakoniec pewnego popołudnia przybyli do klasztoru w Kelambrum. Potężne jego kopuły wznosiły się ponad otaczające go palmy i magnolje a smukłe wieżycy minaretów odcinały się ostro na czystym lazurze nieba. Przebywszy galerję podziemną, Robert stanął olśniony. Dookoła wielkiego stawu, pokrytego wodnemi kwiatami, stały świątynie i pałace z białego marmuru i czarnoróżowego granitu, a niektóre z nich mogły śmiało współzawodniczyć ze sławnemi pomnikami Egiptu. Były tam aleje z dwóch szeregów słoni kamiennych, dźwi-

gających na grzbiecie różne bóstwa, całe lasy kolumn pięknych i delikatnie rzeźbionych.

Darvel zachwycił się temi cudami, a bramin, który mu służył za przewodnika, wprowadził go na olbrzymi dziedziniec, pośrodku którego bił pyszny wodotrysk. Wtem Robert wydał okrzyk zgrozy: na brzegu świętego stawu, w którym bramini myją się kilka razy dziennie, oraz obmywają posągi bożków, około setki ludzi stało lub siedziało w najdziwaczniejszych powykrzywianych postawach. Robert doznał dziwnego ścisnienia serca; sam ten widok był męczarnią dla niego, zdawało mu się, iż jest przeniesiony do piekieł.

— Co to jest? — szepnął — gdzie ja jestem?

— Jestto miejsce, gdzie przebywają fakirzy, skazujący się dobrowolnie na różne próby i męki, aby się przypodobać bóstwu.

Patrz: ten, aby pozostać wiernym ślubowi milczenia, zeszył brzegi warg, pozostawiając tylko mały otwór, którym wciąga przez rurkę nieco polewki z rozgotowanego ryżu. Ten drugi, przed dawnemi laty kazał się przybić za uszy do drzewa. Od tego czasu pień zgrubiał, rozciągając uszy, które wyglądają teraz jak skrzydła nietoperza. Tamten trzymał tak długo ręce złożone w pięści i związane sznurem, aż paznokcie, wciąż rosnąc, przebiły ciało i wyszły wierzchnią stroną ręki. Teraz czołga się na czworakach, jak zwierzę, do swojej miseczki z ryżem!

Robert milczał. Zdawało mu się to wszystko złudzeniem, jakąś straszną zmorą.

Na wierzchu niskiej kolumny siedział nieruchomo fakir, przerażającej chudości. Zdawał się być zupełnie pozbawionym życia; siwa broda spadała mu aż do



Zdawało mu się to wszystkim złudzeniem, jakąś straszną zmorą...

pasa, a we włosach, skłębionych i splątanych, ptaki uwiły sobie gniazdo. Małe złociste jaszczurki przebiegały po jego udach, prześlizgując się między palcami nóg, wyschłemi jak u mumji.

Było tam jeszcze wielu innych pokaleczonych dobrowolnie i zadających sobie tak wymyślne męki, że Robert uczuł zawrót głowy.

— Wyjdźmy stąd, — szepnął — niepodobna patrzeć na to! Jakże możecie zezwalać na podobne okropności?

— Nie mogę temu przeszkodzić — odrzekł bramin. — Utraciłbym wszelką władzę nad tymi, którzy powinni być mi posłuszni, gdybym się sprzeciwił torturom, zadawanym sobie samym przez tych nieszczęśników. Przekonasz się, że i tak zrobiłem już wiele w tym względzie.

— Ależ to jest wprost oburzające!

— Pomówimy o tem później; teraz pokażę ci widok przyjemniejszy od tamtego.

Robert nic nie odpowiedział. Zaczynał trochę żałować, iż zbyt pośpiesznie przyjął propozycję bramina, wskutek czego był zdany na jego łaskę i niełaskę.

— Kto wie? — mówił do siebie, przypominając sobie różne stare legiendy o zaprzędawaniu duszy diabłu — czy ten szczególnie a błyskawicznie szybki sposób, w jaki on mię oponował, nie ma w sobie czegoś nadprzyrodzonego?

I na tę myśl uczuwał dreszcz przestachu. Przyczem dręczyło go to, że nie był już panem swoich myśli: wiedział o tem, że ten starzec z jasnym, mądrym wzrokiem, czytał w nich jak w otwartej księdze.

To przykre uczucie jednak rozproszyło się wkrótce i Robert powiedział sobie:



— Bez wątpienia Ardavena mówi prawdę, gdyż odczuwam jego niezmierną siłę moralną. Otóż muszę uczyć się od niego walczyć w swojej obronie i starać się wynaleźć przyczyny otaczających mnie dziwów, na pozór niewytłomaczonych.

Przybyli do ogrodów, otaczających mieszkanie przełożonego braminów. Pałac, któregooby pozazdrościł nie jeden miljonowy radża, był okolony ogrodami, pełnymi kwiatów, wody i ciszy. Niezliczone posągi bóstw ożywiały jednostajność zieleni a Robert zauważył z przyjemnością, iż wieża, wyznaczona mu na mieszkanie, była zupełnie odosobniona od reszty budowli; płot z kolczastych kaktusów i akacji odgradzał tę część ogrodu.

— Tu będę zupełnie swobodnym — pomyślał.

Ardavena jednak sprawił mu jeszcze większą radość: po stopniach, wykutych wewnątrz skały, wprowadził go do wysokiej, sklepionej sali z górnem światłem. Było to prawdziwe laboratorium uczonego, urządzone z nowoczesnym komfortem. Nie brakło tam ani biblioteki, ani szaf, wypełnionych chemikaljami; stopy elektryczne były całkiem gotowe, a przyległy pokój był urządzony dla dokonywania sekcji i wyłożony całkowicie białym marmurem.

— Tu będziesz mógł pracować, będąc zaopatrzoną we wszystko — rzekł bramin. — Jeśliby zaś czego brakło, to zażądaj tylko, a dostarczę wszystkiego w najkrótszym czasie.

— Czy tu nikt nie mieszkał? — spytał Robert.

— Nie, jesteś pierwszym mieszkańcem tego ustronia. Wszystkie narzędzia są prosto ze składu, żadna bu-

telka lub słoń nie był odkorkowany, a książki mają kartki nierozcięte.

Robert cieszył się, jak dziecko, tem urządzeniem bogatym a wykwintnie czystem, zaś radość jego dosięgła szczytu, gdy znalazł cały ładunek książek i fotografii, odnoszących się do Marsa.

— Widzisz, że myślałem o twoich upodobaniach — rzekł Ardavena, — możesz się zajmować czem tylko sam zechcesz i prowadzić swoje doświadczenia w sposób, jaki sam uznasz za najstosowniejszy. Co więcej, nie potrzebujesz się w pracach swoich liczyć ani z czasem, ani z wydatkami. Niewielu uczonych znajduje się w tych warunkach!

Robert odzyskał swój dawny zapał do pracy i marzyć zaczął o wynalazkach, mających zmienić postać świata. Pogrążył się teraz w czytaniu dzieł naukowych, tak bardzo, iż podczas wielu dni następnych niewidywał wcale bramina.

Jak gdyby dla zdobycia jego zaufania ten ostatni zostawiał mu zupełną swobodę. Pozwolił mu wydać się po za obręb klasztoru, a pyszny słoń wraz z kornąkiem był zawsze w pogotowiu do wycieczek w lasy sąsiednie.

Darvel urządził sobie życie nader przyjemnie: miał na swoje rozkazy dwóch służących, Malajczyk, który służył poprzednio w aptece w Singapore, pomagał mu w laboratorium.

Każdego rana wychodził na przechadzkę po ogrodach, pełnych woni i śpiewu ptaków, a gdy upał się wzmagał, wracał do laboratorium, skąd wychodził dopiero nad wieczorem, na obiad. Dzień kończył zwykle

marzeniami przy świetle księżycy, przeświecającego przez aleje olbrzymich baobabów i tamarynd.

Ardavenę odwiedzał bardzo rzadko, zastając go zwykle przy pisaniu, lub czytaniu w izdebce małej, chłodnej, w której nie było nic więcej oprócz siennika i dzbanka wody. Tam też odnalazł tygrysa Mowdi, z którym był teraz w najlepszej zgodzie. Gdy tylko zwierz ujrzał Roberta, podchodził ku niemu, mrużąc przyjaźnie, a Darvel głaskał jego puszyste, czarno-żółte futro.

Inżynier czuł się tak dobrze w tem spokojnem ustroniu, iż nie żałował wcale świata, którego się wyrzekł dla samotni indyjskiej. Trzeba dodać, iż bramin nie myślał wcale gościowi swemu narzucać praktykowanych przez siebie i swoje otoczenie umartwień. Pożywienie było delikatne i wytworne, łącząc w sobie wykwint europejskiej i miejscowej kuchni.

Brakło mu tylko wiadomości o Ralfie, którego, nie mając bliższej rodziny, pokochał jak brata, — aby się czuć całkiem szczęśliwym. Użalał się na to przed braminem, przechadzając się z nim pewnego dnia w olbrzymiej galerji podziemnej, oświetlonej pochodniami, — a ten zapytał:

— Czy tak wiele ci zależy na tym, aby dowiedzieć się czegoś o Ralfie? Aby mu przesłać wiadomości o sobie?

— O tak! Bardzobym tego pragnął!

Ardavena pomyślał przez chwilę, potem rzekł:

— A więc dobrze! Zaspokoję to pragnienie: nie tylko uspokoimy twój przyjaciel, lecz zobaczysz go własnymi oczami. Niewolno ci jednak odezwać się do niego ani słowem!

Robert bardzo wzruszony, choć trochę niedowierzący, szedł za braminem aż do wysokiej, sklepionej krypty, wspartej na grubych kolumnach.

Zdawało mu się, że jest w nawie jakiejś gotyckiej kaplicy; lecz w miejscu ołtarza było tam tylko ogromne zwierciadło.

Dwaj fakirzy zapalili przed niem pochodnie z wonnego wosku i oddalili się cicho.

— Ujrzysz, co widzieć pragniesz — rzekł wówczas bramin — lecz cokolwiek bądź zobaczysz, musisz zachować najgłębsze milczenie, pod karą natychmiastowej i strasznej śmierci; gdyż wprowadzam tu w ruch siły potężne, któremi trudniej kierować, aniżeli parą lub elektrycznością.

Robert zobowiązał się milczeć. Ardavena zaś, ustawivszy w trójkąt trzy złote trójnogi, napelnione żarzącami węglami, brał z małej puszeki, którą nosił u pasa, szczypty kadzidla i rzucał na węgle. Wkrótce dym gęsty zaciemnił wnętrze krypty.

Plomienne pochodnie przybladły, zwierciadło przysłoniło się mgłą, z której zwolna zaczęły się uwydatniać wyraźniejsze zarysy. Stopniowo zjawisko zrobiło się coraz jaśniejszem i wyrazistszem, podczas kiedy reszta krypty pogrążoną była w ciemności.

Robert zaledwie powstrzymał okrzyk zdumienia. O kilka kroków przed sobą ujrzał Ralfa, robiącego sekcję zwłok jakiegoś ptaka, przy świetle lampy, przepuszczonem przez szklaną banię, pełną wody.

Widział każdy ruch swego przyjaciela, słyszał go mówiącego do siebie, jak miał w zwyczaju.

Po jakiejś chwili do pokoju naturalisty weszła jego matka i przypomniała mu, że już czas na spoczynek. Ralf usłuchał wezwania z kwaśną miną, podniósł się

powoli i zaczął się przygotowywać do spania; wreszcie położył się na łóżku i usnął.

Ardavena dotknął ręką czoła Roberta, a młody człowiek, poddając się tajemniczej woli, której nie próbował nawet oprzeć się, znalazł się w mieszkaniu Ralfa, którego rozkład znał dobrze.

Bezwiednie, posłuszny kierującej nim sile wyższej, wszedł do pracowni, znalazł pióro i atrament, i nakreśliwszy kilka wierszy na kawałku papieru, położył go na stoliczku, przy łóżku Ralfa. Chciał coś powiedzieć, lecz Ardavena ruchem ręki nakazał mu milczenie i znów rzucił na węgle nieco kadzidła. Zwierciadło przysłonił, jak za pierwszym razem, dym wonny i gęsty, a gdy się rozwiął, Robert ujrzał piękne i szlachetne rysy Alberty de Téraumont, swej dawnej narzeczonej.

Zanim zdołał się opamiętać, uczył na czole dotknięcie ręki bramina, a za chwilę ujrzał się przed tem samem zwierciadłem. Teraz jednak odbijało ono tylko blade światła pochodni i kolumny sklepienia..

### Uroki i czary.

Robert Darvel oswoił się wkrótce z nowem życiem i ani przez myśl mu nie przeszło, aby miał kiedy rzucić przepyszne ogrody Kelambrumu i swoje zaciszne, bogato zaopatrzone laboratorium. Myślał teraz wyłącznie o zgłębieniu tajemnic woli ludzkiej, tej cudownej siły twórczej, której dowody miał przed sobą co chwila. Na drodze tej nowej nauki uczynił już kilka kroków, lecz to było drobnostką w porównaniu z tym, co go zdumiewało w Ardavenie.

Oswoił się jednak z czarami i cudami fakirów, które go wprowadzały w podziw w początkach, a na-

wet próbował z powodzeniem powtarzać łatwiejsze doświadczenia. Wielokrotnie bywał świadkiem rzeczy nadzwyczajnych: widział, jak na rozkaz fakira, wydany w myśli, zapalały się lub gasły pochodnie, kielkowały i wzrastały rośliny, a owoce dojrzewały w przeciągu niewielu minut. Widywał węże, zamagnetyzowane wzrokiem tych ludzi, sztywne i twarde jak kawałki drzewa; patrzył nieraz na fakirów, zadających sobie straszne rany i gojących je w jednej chwili, bez śladu blizny.

Są to fakty znane i stwierdzone przez tysiące podróżników, ludzi poważnych, a nawet niejednokrotnie wciągane do protokółów, podpisanych przez wysokich urzędników oraz oficerów angielskich.

Jednym z nadzwyczajnych objawów, którym zajmował się Robert z zapałem, było prawo lewitacyi, rozpowszechnione i tłumaczone w wielu poważnych wydawnictwach. W przytomności Ardaveny i Roberta, pewien fakir, nazwiskiem Fara-Szib, zażądał laski—a gdy mu ją dano, siedząc na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, oparłszy się na lasce lewą ręką, zaczął powoli podnosić się w powietrze. Wzniósłszy się na dwie stopy nad ziemię, zatrzymał się, siedząc ciągle na skrzyżowanych nogach, bez innej podpory, prócz laski. Wkrótce i ją odrzucił, wznosił się jeszcze na jedną stopę i pozostał tak, zawieszony w powietrzu, około dziesięciu minut. Potem zaczął się opuszczać na ziemię, aż się znalazł na macie, na której poprzednio siedział.

Tenże sam fakir, nie mając na sobie żadnego ubrania, dokonywał rzeczy, na widok których europejscy sztukmistrze, posługujący się rozmaitemi maszynami, pomarliby ze wstydu. Wyciągnął z ust swych tyle

kamieni, że starczyło ich na wyładowanie wozu; następnie conajmniej sto metrów ljan ostrych i koleczastych, któremi trzech ludzi owinęto pień drzewa, z czego się utworzył jakby wzgórek sporych rozmiarów. Wypowiadał ustępy znacznej długości z dzieł starożytnych i współczesnych autorów, których z pewnością nie czytał nigdy, w języku takim, jakim były pisane. Na jego słowo, sprzęty poruszały się z miejsca, posuwając się we wskazanym kierunku — drzwi otwierały się i zamykały same, a widzowie tracili zdolność ruchu i siedzieli jak martwi, niezdolni do najmniejszego poruszenia.

Największem jednak zdumieniem przejęło Roberta pochowanie żywego fakira, czego dokonał na sobie ten sam Fara-Szib.

W dniu oznaczonym, w obecności oficerów poblizkiej załogi angielskiej, którzy byli obecni przy tem doświadczeniu — zjawił się Fara-Szib odziany tylko przepaską i w turbanie szpiczastym na głowie.

Poprzedzające trzy dni spędził na rozmyślaniu, wraz z drugim fakirem. Teraz, w obecności wszystkich, załepił sobie dokładnie nos i uszy woskiem, a drugi fakir odwocił mu język do góry i wepchnął w gardło tak głęboko, że zatkał nim całkowicie krtań. Prawie natychmiast po tem, fakir wpadł w sen letargiczny; zawinięto go w całun kształtu worka, który zaszyto i opieczętowano. Worek z fakirem włożono do trumny, którą dokładnie zamknięto na kłódkę i również opieczętowano, a następnie wstawiono do grobu murowanego, którego otwór starannie został zamurowany.

Na grobie został usypany spory wzgórek ziemi, który po udeptaniu obsiano zbożem; naokoło grobu

dano mocną palisadę, której strzegła straż, zmieniana co godzina.

Roberta, którego cera, opalona słońcem indyjskim, nie odróżniała od krajowców, a ubiór i turban zmienił do niepoznania — bawiły drobiazgowo ostrożności, przedsiębrane przez oficerów angielskich, w celu zapobieżenia wszelkiemu oszukaństwu. Byliby mocno zdziwieni wiadomością, iż w gronie braminów znajdował się sławny inżynier francuski, jako niemy świadek wszystkich przygotowań.

Fara-Szib oznaczył dzień swego powrotu do życia za trzy miesiące... Gęsta ruń młodego zboża pokrywała już mogiłę jego, a czujność Anglików nie osłabła ani na chwilę.

— Przyznaj — rzekł pewnego dnia Ardavena, śmiejąc się, — przypuściwszy nawet, (co jest niepodobieństwem), iż mój fakir mógł otrzymywać jakąś pomoc z zewnątrz, to trzebaby wytłomaczyć, jakim cudem może tak długo obywać się bez oddychania i pokarmu.

— Naturalnie; to też czekam jego przebudzenia z nieukrywaną ciekawością — odparł Darvel.

Dzień ów nadszedł nakoniec. W obecności osób, które były świadkami pochowania fakira, wyrwano rosnące na mogile zboże, a odrzuciwszy łopatom ziemię, wybito cegły, zamykające otwór grobu.

Wilgoć uszkodziła nieco trumnę, lecz kłódka, pieczęcie, oraz szwy worka, zawierającego ciało — pozostały nienaruszone.

Fara-Szib, skurczony we dwoje, był zimnym jak trup; tylko głowa zachowała słaby odcień ciepła. Położono go ostrożnie na macie, a jego pomocnik najpierwej przywrócił językowi jego naturalne położenie. Na-



stępnie, wyjął z nosa i z uszu zatykający je wosk, a całe ciało zaczął oblewać gorącą wodą.

Te zabiegi miały na celu wywołanie pierwszych oznak życia.

Jakoż wkrótce można było wyczuć nagle uderzenia serca, słaby odcień rumieńca zabarwił policzki i niedostrzegalny prawie dreszcz przebiegł wyschłe ciało.

Po dwóch godzinach usilnych zabiegów, w których było i sztuczne oddychanie, fakir, przywrócony do życia, powstał i uśmiechając się, postąpił parę kroków.

### Kondensator energii.

Ku wielkiemu zdziwieniu Ardaveny, Robert nie okazał na widok tego zdumiewającego doświadczenia po dziwu, jakiego się bramin spodziewał.

Młody człowiek powrócił do swego mieszkania, nie wymówiwszy ani słowa i zamknął się w laboratorium, gdzie pozostawał przez dwa tygodnie, nie chcąc widzieć nikogo.

Kiedy wyszedł wreszcie, miał wygląd człowieka, pochłoniętego jedną wyłącznie myślą; przesadzając po kilka stopni odrazu, przebiegł schody, dzielące go od celi Ardaveny i otworzył drzwi szybko.

— Zwycięstwo! Już znalazłem! — zawołał.

— Co takiego? — spytał bramin.

— Sposób porozumiewania się z planetą Marszem a nawet dostania się tam. Pozatem będziemy mogli dopełnić mnóstwo zdumiewających rzeczy, wobec których wasze cuda będą drobnostkami...

— Słucham — rzekł zimno Ardavena.

— To jest rzecz zupełnie prosta — tylko trzeba było wpaść na tę myśl. Będąc obecnym przy posiedzeniach waszych fakirów, doszedłem do tego wniosku: jeśli wola jednego człowieka, skupiona przez kilka minut, wystarcza do natychmiastowego wyzwolenia go od siły przyciągania planetarnego — cóż byłoby niemożliwym dla woli tysięcy energicznych ludzi, skupionej przez czas długi? Jestem pewny, że w ten sposób możnaby oswobodzić dany przedmiot, — i to na czas określony, — od praw, rządzących przyrodą.

— Bardzo pięknie! — szepnął bramin, którego spokojna i nieprzenikniona zwykle twarz pobraźla i wyrażała głębokie przejęcie, tym razem nie ukrywane — ale potrzebnym byłby jakiś przyrząd, któryby skupiając w sobie promieniowanie tej rozproszonej siły, pozwolił ją następnie skierować na jakiś cel moralny lub materialny!?

— Plan tego przyrządu już mam — przynajmniej w teorii! Rozmyślałem nad tem przez dni piętnaście i mam już szkic Kondensatora energii. Jego siła przedłuży życie konającym, wskrzeszać będzie umarłych, zatrzymywać w pochodzie armje całe, lub wylewy rzek — przez nią można się będzie przenosić z jednego końca świata na drugi z szybkością myśli, lub iskry elektrycznej!

— W jakiż to sposób?

— Czyż myśl ludzka nie jest ruchliwszą i szybszą, niż fluid elektryczny? Znane są wypadki zatrzymywania umierających, u wrót śmierci prawie, przez silną wolę jakiegoś przyjaciela lub krewnego, który błaga, lub rozkazuje im żyć jeszcze. Czegóżby zatem nie mogła dokazać siła podobna, podniesiona do stuty-

siężnej potęgi przez usiłowanie mnóstwa umysłów, skierowanych ku jednemu celowi!

— Zapewne, ale gdzież ów przyrząd?

— Już go mam prawie! Składa się on z ogromnej ciemni optycznej, która różni się tem od znanych dotąd, że jest całkiem okrągłą, a wewnątrz jej będzie wysłane żelatyną fosforyzowaną, której formułę chemiczną już oznaczyłem. Żelatyna ta posiada niektóre własności materji mózgowej.

Właśnie ta delikatna powłoka, której przygotowanie będzie nader kosztownem, odgrywa względem ludzkiej woli skupionej — rolę akumulatorów względem energii elektrycznej.

Naczynie szklane wielkich rozmiarów, w kształcie baryłki, a napelnione tą samą substancją, wzmocnioną jeszcze przez kąpiel w płynie naelektryzowanym i umieszczone na przedzie aparatu będzie zbiornikiem całej energii ludzkiej, skierowanej do niego.

— Dlaczego nadajesz swojej ciemni kształt okrągły? — zapytał Ardavena, słuchający młodego inżyniera z zapartym oddechem.

— Bo, jak z żelatyny fosforyzowanej próbowałem stworzyć coś zbliżonego do substancji mózgowej, tak przy pomocy ciemni optycznej chcę naśladować budowę oka, jako jedyne organu ludzkiego, zdolnego odbierać rozkazy woli i przekazywać je innym organom.

— Rozumiem doskonale! Jednakże, naładowawszy wolą komórki tego sztucznego mózgu, w jaki sposób będzie można ją przekazywać na pewną odległość?

— Zaraz to wyjaśnię! Po za aparatem znajduje się rodzaj fotela, którego boczne poręcze są zakończono metalowymi kulami; w każdej z nich jest mnóstwo

małych otworków, jak w sitku polewaczki. Z nich to właśnie wychodzą elektro-nerwowe włókna, zanurzone drugim końcem w masie żelatynowej. Dla użytkowania z naładowanego kondensatora, potrzeba tylko, usiadłszy na fotelu, położyć ręce na kulach.

Po kilku chwilach czyniący to doświadczenie może już rozporządzać całą energją, nagromadzoną w przyrządzie. Jego wola i twórczość zostają natychmiast spotęgowane przez wolę tych wszystkich, którzy uczestniczyli w naładowaniu kondensatora. Potęga jego władz umysłowych jest w ten sposób przedłużoną prawie do nieskończoności.

— Proszę, wytłomacz mi to dokładniej!

— Widziałem, jak jeden z tutejszych fakirów spojrzeniem swoim obezwładnił człowieka innego tak, że ten nie mógł nie tylko powstać, ale nawet się poruszyć. Zaręczam, że ten sam fakir, trzymając ręce, oparte na kulach mego kondensatora, mógłby obezwładnić cały tłum, tylko...

— Ach! jest więc i zastrzeżenie! — rzekł bramin szydyczko.

— Raczej przestroga! Człowiek, siedzący na aparacie, wchłaniający w siebie i ciskający jak groty zebraną wolę, energję tylu ludzi, doświadczy straszego wyczerpania, które odczuwać jeszcze będzie przez szereg dni następnych.

Można się nawet obawiać, iż wskutek takiego wysiłku mózgu zostanie idjotą lub szalonym.

— Wprawdzie, spodziewam się obmyśleć środek dla usunięcia tej niedogodności — dodał Darvel po chwili — lecz na razie nie znam go jeszcze.

— A zatem, do pracy — młodzieńcze! Proszę, nie szczędź niczego, byle tylko spełniły się nasze nadzieje!

Ardavena postąpił już kilka kroków ku drzwiom, kiedy nagle zawrócił się i rzekł:

— Jeszcze słówko! Powiedziałeś przed chwilą, że znalazłeś sposób dostania się na Marsa?

— Tak jest; i nie będzie to wcale trudniejszym, aniżeli inne rzeczy, które wymieniłem, mówiąc o zasadzie lewitacji: jeżeli jeden człowiek może własną wolą wznieść się na kilka stóp w górę, to dojdzie tam, dokąd zechce, jeśli tylko zbiorowa wola wielu ludzi będzie dość potężną!

Robert zabrał się gorączkowo do pracy. Po kilku dniach szkielec „kondensatora energii” był ukończony: miał kształt kulisty, z olbrzymiem okiem pośrodku. Całość spoczywała na metalowej podstawie, otoczonej balustradą, na której znajdował się fotel dla wykonywującego doświadczenia.

Przygotowanie żelatyny fosforyzowanej, której siła została zwiększoną przez kąpiel w płynie naelektryzowanym, było dość trudnem i musiano je kilkakrotnie powtarzać.

Nakoniec, usilna praca i cierpliwość zwyciężyły. Kondensator został ustawionym na jednym z olbrzymich dziedzińców wewnętrznych klasztoru; przykryto go bawełnianą oponą, dla ochrony od skwaru słońca i oczu ciekawych.

Wieczorem, w dniu, kiedy roboty te ukończono, Ardavena i Robert przechadzali się w bliskości przyrzędu, dokoła którego żelatyna roztaczała blask bładny, lecz widoczny w ciemnościach.

— Obawiam się, — rzekł Robert — aby w ostatniej chwili nie zaszła jakaś przeszkoda, spowodowana drobnem przeoczeniem, co mogłoby zepsuć pierwszą próbę.

— Ja zaś, — rzekł bramin — wierzę mocno, że się to uda. W jaki sposób będziesz robił doświadczenia?

— Co do tego nie może być dwóch zdań. Najprzód, przez doświadczenia próbne zbadamy siłę aparatu, a powiększając stopniowo czas ich trwania, dowiemy się, jakie ciśnienie i jak długo może on wytrzymać.

— A gdybyśmy spróbowali teraz? — zagadnął bramin.

— Nic nie stoi na przeszkodzie! Proszę umieścić się przed owem okiem, czyli obiektywem i skupić we wzroku całą swą siłę woli.

Ardavena usłuchał Roberta z pośpiechem. Przez całą godzinę wpatrywał się nieruchomy w potrójną kryształową soczewkę, która zdawała się wchłaniać tajemnicze wyziewy jego myśli i mózgu.

Robert, nieruchomy jak posąg, patrzył z bijącym gwałtownie sercem i nakoniec — o radości! — ujrzał, jak bladawe światło, otaczające kulę kryształową, staje się coraz silniejszym. Zaczęły po niem przebiegać drobne płomyczki, które przechodziły w błękitnawe błyskawice, w miarę jak żelatyna wchłaniała w siebie potężną wolę bramina.

— Dosyć! — rzekł nagle Robert. — Nie trzeba na pierwszy raz ani się męczyć, ani zmuszać przyrzędu do dłuższego działania.

Ardavena odstał nieco i podziwiał wraz z Darvelem piękne światło, wydzielające się z kuli! Oświetla-



...inżynier, rażony jak piorunem, tym strasliwym  
wzrokiem, padł bez życia na ziemię...

ło ono wszystkie bliższe przedmioty jasnością białą, zblizoną zupełnie do dziennej.

— Teraz — rzekł poważnie Robert — jestem pewny mego odkrycia!

— To jeszcze nie wszystko! — rzekł bramin z uśmiechem zagadkowym. — Musimy się jeszcze dowiedzieć, czy będę mógł rozporządzić moją wolą z równą łatwością, jak ją tu zgromadziłem? I czy jedna chwila wystarczy na wyladowanie tej siły, skupionej w przeciągu godziny? To właśnie chciałbym wypróbować jak najprędzej — choćby zaraz!

— Jeżeli pan sobie życzy — rzekł Robert — możemy!

Ardavena usiadł na fotelu i kładąc ręce na metalowych kulach, zakończających jego boczne poręcze a pocentkowanych drobnymi ognikami, utkwiał wzrok w Robercie.

Dwa promienie, dwie błyskawice ciemno-niebieskiego koloru wytrysły z jego źrenic, a inżynier, rażony jak piorunem, tym straszliwym wzrokiem, padł bez życia na ziemię.

.....

Ardavena zerwał się z fotelu pod wpływem gwałtownego wzruszenia a spoglądając na nieruchome ciało, leżące u jego stóp, zawołał z tryumfem:

— Nie ujrzysz już nigdy tego świata, szaleńcze! Będziesz ukaranym za twoje nierozważne zaufanie, którym mnie obdarzyłeś! Jestem teraz posiadaczem twoich odkryć i tajemnic; a ty pójdziesz, na mój rozkaz, zwiedzać i zdobywać światy nieznane, których cudów wyobraźnia ludzka ogarnąć nie może!



Chytry bramin, rozpromieniony radością, która mu piersi rozsadzała, wziął na ramiona nieruchomego Roberta i zaniósł go do krypty, zamieszkaney przez Fara-Sziba i jego towarzysza.

Na widok przełożonego obaj wstali z uszanowaniem z maty, na której siedzieli, a Fara-Szib spytał:

— Czego potrzebujesz, mistrzu?

— Widzisz tego człowieka? Powierzam ci go; czuj nad jego życiem, gdyż jest mi ono potrzebnem. Niech nie dozna żadnej krzywdy!

Musisz go wprowadzić w ten sam stan, w jakim się znajdował przez parę miesięcy, gdyż był pogrzebiony żywcem. Trzeba, ażeby przez czas możliwie długi nie potrzebował powietrza, ani pożywku, oraz aby w przypadku zranienia nie czuł żadnego bólu.

— To jest niepodobieństwem. Ja byłem do tego przygotowany przez długie lata, spędzone na umartwieniach i rozmyślaniu; lecz obawiam się, że to ciało, tak mało uduchowione, nie wytrzyma próby.

— Chcę tego! — rzekł bramin stanowczo.

— Spróbuję, mistrzu!

— Ile potrzeba na to czasu?

— Przynajmniej miesiąc.

— Dobrze. Pamiętaj o mojej woli!

Po tych słowach wyszedł Ardavena, wracając do swej celi, z płomiennym wzrokiem i twarzą rozjaśnioną uśmiechem tryumfu.

### Katastrofa.

Upłynął miesiąc. Nikt przez ten czas nie widział inżyniera Darvela; natomiast zaszła wielka zmiana

w zachowaniu się 10,000 fakirów, mieszkających w klasztorze. Męczeńskie ćwiczenia zostały przerwane; zaniechano też hałaśliwych procesji, podczas których, przy dźwięku trąb, bębnów i ogniach bengalskich, obnoszono dokoła świętych stawów posągi bóstw różnych.

Teraz cisza grobowa zaległa wspaniale świątynie. Wszyscy fakirzy i sztukmistrze w swych celach ćwiczyli wolę podług tajemniczych wskazówek Ardaveny.

On sam pracował nieustannie, z młodzieńczym zapalem i energją. Każdej nocy widziano go przy tajemniczym aparacie, który teraz błyszczał, jak ognista kula. Powtarzając codziennie swe ćwiczenia, wprawiał się w kierowaniu straszliwą siłą przyrzędu.

Lecz przemoc wywierana na siłach natury a przechodząca granice ludzkiej władzy, mści się zwykle strasznie na tym, kto jej używał. Pewnej nocy, Ardavena usiadł na metalowym fotelu, a skierowawszy wzrok na pogodne niebo, zażądał, aby wybuchła burza. Po kilku minutach życzenie jego było spełnione. Pod wpływem fluidu, zawartego w promieniach jego źrenic, chmury zaczęły się gromadzić. Zagrzmiały pioruny, ulewa zatopiła okolicę a straszliwy wicher łamał potężne drzewa, jak żdźbła słomy.

Po tem doświadczeniu bramin był obłożnie chory przez dwie doby i dopiero po usilnych staraniach mógł przezwyciężyć owładające nim śmiertelne znużenie i wyczerpanie. Poznał wtedy prawdę, spotykaną w księgach świętych wszystkich narodów, a także i w indyjskich Wedach:

„Człowiek, który każe siłom nadprzyrodzonym służyć sobie, staje się zawsze ich ofiarą!”

Ostrzeżenie to jednak nie powstrzymało zuchwałego starca w jego zamiarach.

Pewnego dnia kazał przywołać dziesięciu gońców i rzekł im:

— Czy wypełnicie ściśle to, co wam nakazę?

— Rozkazuj, o mistrzu! — odrzekli jednogłośnie.

— Rozbiegniecie się po okolicy; niech każdy obierze sobie inną drogę. Wstępujcie do każdego klasztoru, każdej pustelni. Mieszkańcom ich mówcie:

„Ardavena żąda, abyście się z nim jednoczyli myśla, woła i całym duchem. Patrzcie w stronę naszego klasztoru z pragnieniem mocnym i wolą niezłomną, aby się stało to, czego żąda Ardavena!”

Nie rozmawiajcie z nikim po drodze, nie myślcie o niczem innym — gdy was kto zapyta, milczcie jak grób, choćbyście życiem przyplącić mieli to milczenie. Czy uczynicie to?

— Uczynimy wszystko, czego żądasz, mistrzu!

— Idźcie natychmiast — rozkazał Ardavena.

— Bądź pozdrowion, synu wielkiego Brahmy! — odpowiedzieli, padając na twarze, poczem niezwłocznie wyruszyli wszyscy w drogę.

Przebiegali wielkie przestrzenie, zatrzymując się tylko u drzwi klasztorów i świątyń, rzucali tam w krótkich słowach rozkaz Ardaveny — i śpieszyli dalej.

Wszędzie, gdzie przeszli ci wysłańcy, bramin i fakirzy pogrążali się w modłach, a długoletnie ćwiczenia fizyczne i duchowe pozwalały im przesyłać na odległość całą energję swego ducha. To też wokół klasztoru wytworzyła się atmosfera, przesycona siłą i mocą, którą kondensator wchłaniał w siebie, jaśniejąc coraz żywszym blaskiem.

Ardavena zagłębiał się po całych dniach w obrachowaniach astronomicznych.

Upewnił się przez szereg doświadczeń, że światło leci z dwa razy większą szybkością, aniżeli myśl. W błyskawicznej podróży z Ziemi na Marsa pociskowi mogło grozić zmiążdżenie od uderzenia, lub spalenie wskutek gorąca, wywołanego przez tarcie warstw powietrznych. Ta trudność martwiła go; jeździł kilka razy do Kalkuty i pisał do astronomów i metalurgów, którzy, przypuszczając, że mają do czynienia z jakim uczonym amatorem, udzielali mu chętnie żądanych objaśnień.

Podług ich wskazówek, Ardavena kazał sporządzić rodzaj trumny, szczelnie zamkniętej, o ścianach znacznej grubości, ze stali hartowanej. Ta pierwsza powłoka otoczona była grubą tekturą azbestową, ściśle ją osłaniającą. To wszystko było zamknięte w rodzaju pudła, z drzewa, nasyconego płynami, zobojętniającymi działanie gorąca.

Ardavena obliczył, że Robert, przebywając atmosferę ziemi z szybkością błyskawiczną, byłby tylko w przeciągu niewielu minut narażony na niebezpieczeństwo spalenia lub zgniecenia. Zdawało mu się, że te trudności pokonał.

Największa odległość między ziemią a Marsem wynosi 99,000,000 mil. a najmniejsza, kiedy Mars, Słońce i Ziemia stoją na jednej linii, wynosi 14,000,000 mil.

Ale, jak to Robert nieraz objaśniał braminowi, stallowy pocisk potrzebowalby przebiec tylko nieco więcej, niż połowę tej odległości, własnym rozpędem — gdyż po przejściu tej linii wpadłby w sferę przyciągania Marsa. Ardavena wiedział, że siła przyciągająca Ziemi

zmniejsza się szybko w miarę oddalania się od niej. Pocisk więc potrzebowałby przelecieć tylko około 8,000,000 mil.

Pewnego wieczoru fakir Fara-Szib z pomocnikiem przynieśli ostrożnie w palankinie ciało Roberta. Ale jakże był do niepoznania zmieniony! Twarz jego wychudła, koścista, pooraną była zmarszczkami jak u starca.

Długie i drobiazgowo starania fakirów wywołały czasowe skamienienie ciała, — aby mogło przenieść długi sen kataleptyczny; za pomocą roślin, sprowadzających wychudnięcie i anemię nadali mu wygląd szkieletu. Słaba iskra życia zachowała się jedynie w mózgu tego pół-trupa.

Ardavena kazał położyć go w pobliżu kondensatora, który wezbrany wchłanianą przez długi czas energją, jaśniał mocno, białoniebieskim światłem.

Fara-Szib wierzył, że wszechwładny Ardavena zaklęciem swoim stworzył na ziemi drugi księżyc, a bramin nie wyprowadzał go z błędu.

Usiadłszy na metalowym fotelu i kładąc ręce na kulach bocznych poręczy, skierował na ciało Roberta wzrok silny a spokojny, udzielając mu niejako zapasu siły i energii, nagromadzonej w kondensatorze. Poczem nastąpiły zwykłe przygotowania.

Biedny, bezbronny Robert został więc zaszyty w całość i włożony w stalowy pocisk kształtu cygara, z najlepszej stali hartowanej, ten znów został owinięty powłoką azbestową. To wszystko zamknięto w trzeciej drewnianej trumnie; brzegi tych wszystkich osłon zostały szczelnie spojone. W końcach pocisku były silne

sprężyny, odrzucające, przy mocnem uderzeniu, wieka trumien.

Podczas tych ostatecznych przygotowań, bramin uczuł pewne wahanie; w jego duszy, zimnej i despotycznej, ozwał się głos wyrzutu. Był czas jeszcze wrócić do życia Roberta i doświadczenie przeprowadzić w inny sposób.

Przytem przebiegły bramin myślał:

— Wysyłając go na zawsze w światy nieznane, tracę korzyści z wynalazków, które byłby niewątpliwie porobił.

Lecz zaraz zawołał dumnie:

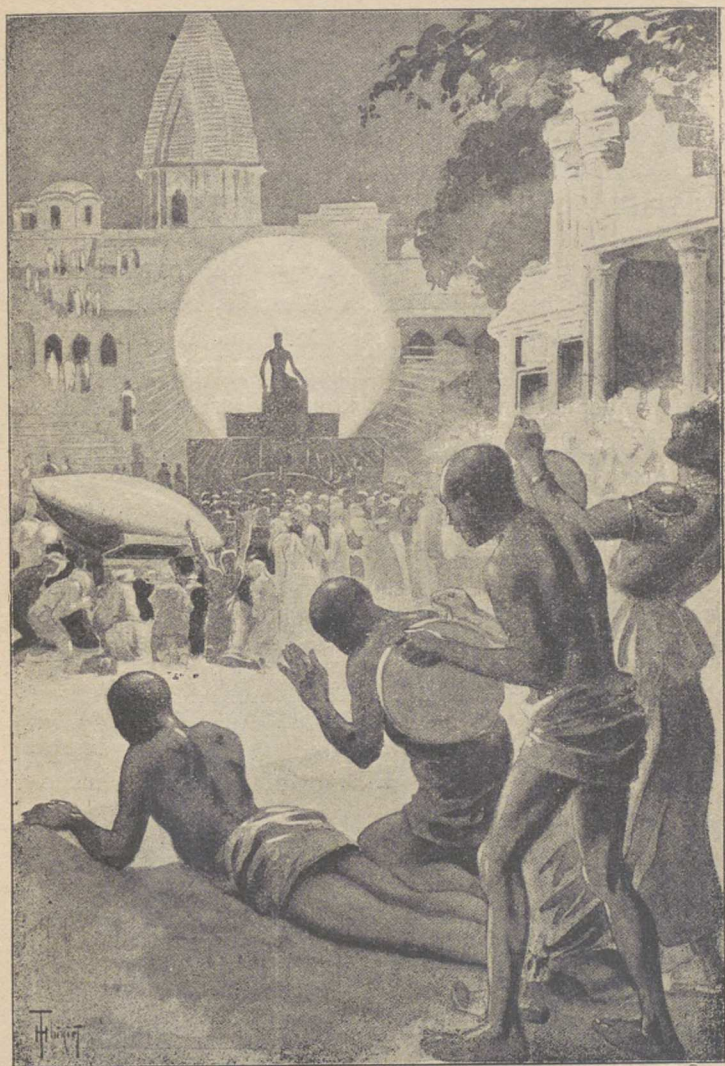
— Nie cofnę się! Musi się stać podług woli Ardaveny!

A głos pychy dodawał:

— Nie chcę dzielić władzy z nikim na świecie! Zresztą, czyż moja wola nie wystarczy na przywołanie go z powrotem, gdy zechcę, wzbogaconego nadludzkimi umiejętnościami i wiadomościami? — próbował uspokoić słaby głos sumienia, obudzonego chwilowo.

Gotowy pocisk został umieszczony na drewnianym trójnogu. Ardavena spoglądał na przemian to na pogodne niebo, to na chronometr Darvela, który sobie przywłaszczył.

Za znakiem, danym przez niego, ozwały się gongi i bębny, a na ten odgłos ponury i jednostajny, długie szeregi fakirów zaczęły sunąć ze wszystkich stron na olbrzymi dziedziniec. Wszyscy klękali dokoła kondensatora i wpatrywali się weń oczami zapadłymi głęboko w twarze, wychudzone głodem i gorączką. Wszyscy byli w pół nadzy, tylko na biodrach mieli lekkie przepaski.



...długie szeregi fakirów zaczęły sunąć ze wszystkich stron na olbrzymi dziedziniec...

Już ich było mnóstwo, a jeszcze przybywali nowi ze wszystkich stron; wysuwali się z pod olbrzymich słoni kamiennych, z głębi mrocznych krypt, schodzili trójkami z olbrzymich schodów świątyn — inni znów wychodzili jak widma z zarośli otaczających święte wody.

Wkrótce nie brakowało nikogo. Nieskończone ich szeregi, trwające w głębokim milczeniu, zdradzały swą obecność przyspieszonym, gorączkowym oddechem.

Olbrzymie cienie, rzucane przez posągi słoni, rozświetlonych silnem światłem kondensatora, powiększały uroczystą grozę tej chwili.

Ardavena widział, iż rozkazy jego spełniono, gdyż nad klasztorem zaczęła się unosić mgła błękitnawa, wydzielająca blade światło.

Dumny uśmiech okolił jego usta na myśl, że w tej chwili tysiące indusów łączy swoją wolę z jego potężną wolą — i doznał uczucia wielkiego, niebywałego dotąd na świecie tryumfu.

Kula kryształowa świeciła oślepiającym blaskiem..

Bramin osądził, iż chwila stosowna nadeszła. Usiadł więc na fotelu metalowym i oparł wychudzone ręce na kulach bocznych poręczy.

W tejsze chwili doznał nieopisanego uczucia: zdało mu się, iż mózg jego rozrasta się, powiększa, staje się mózgiem całej ludzkości! Zanikłe i wycieńczone żyły wezbrały krwią nową, pełną życia i siły młodzieńczej—gienjusz! Poczuł, że wchłania w siebie duszę całego ludu, a siła jego umysłu stała się wprost nadludzka: widział przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, jak trzy złote wielkie naczynia, u stóp swoich postawione ręką przeznaczenia. Świadomość ożywia-



jącej go siły nasunęła mu przez chwilę myśl zaniechania próby podróży na Marsa; powziął natomiast plan inny, donioślejszy...

Lecz przyrzekł już sobie, że tej próby dokona — należało dotrzymać obietnicy. Ścisnął mocniej kule w rękach, a jego rozszerzone źrenice wysiłkiem najwyższym rzuciły z siebie dwa snopy promieni na spoczywający przed nim pocisk! Ułynęła chwila wytężonego oczekiwania, długa, jak wieczność.

Nagle — pocisk znikł z oczu obecnych, jakby go wiatr zdmuchnął... Rozwiął się w parę, czy roztopił w powietrzu?... Twarz bramina rozjaśnił uśmiech, który zgasł tejże chwili w strasznym okrzyku bólu i męki...

Kondensator, zbytnio przeładowany siłą energii, wybuchł z piorunowym hukiem, roztrzaskując kryształową kulę, której odłamki rozprysły się dokoła, raniąc kłęzących fakirów.

Ardavena, ociekający krwią, leżał w prochu z wypalonymi oczami, trzymając w zaciśniętych kurczowo rękach straszliwe kule... Fakirzy uciekali w popłochu na wszystkie strony, wyjąc z przestרחu, biorąc ten wybuch za jakiś żywiołowy kataklizm.

Podniesiono ich później kilkuset, martwych lub straszliwie pokaleczonych. Byli oni ofiarami nauki i dumy Ardaveny.

Pomimo całej ostrożności i milczenia, obowiązującego braminów, rząd angielski dowiedział się coś nie coś o tem szczególnem wydarzeniu — lecz oficerowie przysłani na śledztwo, nie dowiedzieli się niczego bliżej. Zawyrokowali więc, że to zapewne któryś z fakirów robił jakieś nieudane doświadczenie chemiczne, które kilku z pomiędzy nich pozbawiło życia.

Ardavena podniesiony ze słabemi oznakami życia, długo się z ran nie mógł wyleczyć; a gdy znikła obawa o jego życie, okazało się, iż stracił wzrok i władze umysłu.

### Sygnalizacja z Marsem.

Ralf Pitcher siedział w swym gabinecie smutnie zamyślony: od czasu tajemniczego zniknięcia swego przyjaciela, Roberta, nie mógł odzyskać humoru i bezustannie rozmyślał nad sposobami odnalezienia zaginionego.

Tak go zastała matka, która na widok smutku ukochanego syna, rzekła z odcieniem zniecierpliwienia.

— Znowu rozpaczasz i gnębisz się tym Robertem! Doprawdy, nie rozumiem jak możesz się tak przejmować losem człowieka, który, być może, zupełnie o ciebie nie dba...

— Ach, matko! Co za przypuszczenie! — oburzył się Ralf.

— Mój drogi, skoro nie dał znaku życia o sobie do tej chwili...

— Widocznie nie mógł. Wiesz matko, iż Robert rozstając się ze mną, miał w kieszeni zaledwie kilka funtów szterlingów i że to był cały jego majątek?

— Skądże znowu? Wszak to człowiek zamożny! Przecież jego przedsiębiorstwa najzupełniej się powiodły; widziałam sama portrety twego przyjaciela w różnych dziennikach angielskich, i fotografie przedstawiające jego siedzibę w Syberji.

— Ach, matko, mylisz się ogromnie: Robert jest zrujnowanym do szczętu!

— A jego wynalazki? — zapytała ze zdziwieniem pani Pitcher.

— Zmuszony był sprzedać je dla chleba spółkom kapitalistów amerykańskich.

— A małżeństwo z panną de Térmond, córką bankiera?

— Zerwane!

— Jakim sposobem stało się to wszystko? — zapytała ze zdziwieniem pani Pitcher. — Nigdy mi o tem nie mówileś.

— Sam się dowiedziałem o tem niedawno od Roberta. Jeżeli chcesz, matko, opowiem ci jego dzieje.

— Ależ owszem! Posłucham chętnie, gdyż to jest rzeczywiście ciekawe.

— A więc — zaczął opowiadanie Ralf. — Wynalazki Roberta: lekki motor do statków powietrznych, oraz kocioł opalany spirytusem do okrętów o wielkiej szybkości, uczyniły go bogatym.

Wtedy to poznał bankiera de Térmond i został przedstawiony jego córce, Albercie. Pozyskał wkrótce jej względy a bankier, wiedząc, iż patenty Roberta mogą przynieść wielki majątek, nie był przeciwnym zamiarowi tego małżeństwa.

— Więc dlaczegóż nie doszło ono do skutku? — przerwała pani Pitcher.

— Ach, to właśnie cała historia! Pewnego dnia Robert spotkał w Londynie emigranta polaka, znanego mu z Paryża, nazwiskiem Baliński. Był on pierwszorzędnym astronomem i miał niewzruszone przekonanie, że wszystkie planety są zamieszkałe przez istoty nam

podobne; twierdzenie to opierał na licznych dowodach. Pracował ciągle nad naukami, mogącemu mu dostarczyć sposobów porozumiewania się z mieszkańcami najbliższych planet. Zapał jego udzielił się i Robertowi; po ośmiu dniach wyjaśnień i rozpraw, zawarli ze sobą umowę, o czem nawet donosiły niektóre pisma.

Zgodnie ze zdaniem większości astronomów, uważających księżyc za planetę wygasła, mieli go pominąć a skierować swe usiłowania na Marsa, którego blask czerwony wróżył, podług średniowiecznych astrologów — wojny i klęski.

Idąc za radą uczonych, której dotąd nikt w czyn nie wprowadził, postanowili ułożyć na wielkiej równinie jedną z najprostszych figur geometrycznych, tak wielką, aby mogła być widzialną dla astronomów marsyjskich.

— Dlaczegoż mianowicie figurę geometryczną? Tego nie rozumiem.

— Gdyż podstawy tej nauki są z pewnością jednakowe na całym świecie. Znaki liczbowe i kształty liter mogą być rozmaite, lecz trójkąt, koło, oraz prawa, którym te znaki podlegają, muszą być znane marsyjskim uczonym, choćby rozwój ich umysłowy nie był zbyt wielkim.

— Nie widzę jednak jeszcze sposobu porozumiewania się z nimi, choćby geometria była im znaną — rzekła znów pani Pitcher, która się ogromnie interesowała temi sprawami.

— Ależ to rzecz najprostszą! Przypuśćmy, że na te sygnały odpowiedzianoby takimi samymi, wówczas ustawiają inne i przy każdym znaku dają jego nazwę. Marsjanie postępują tak samo — i oto otrzymuje się

pierwsze podstawy abecadła, które już byłoby łatwo uzupełnić, dając różne rysunki, wraz z ich nazwami. Po kilkumiesięcznej pracy możnaby się już porozumiewać z łatwością. Oto przypuszczalne wspaniałe wyniki tej pracy.

— A na co to mogłoby się przydać? — spytała praktyczna pani Pitcher.

— Jakto? W ten sposób wkrótce moglibyśmy poznać historję, wynalazki a nawet literaturę tych nieznanych dziś braci, którzy może wyciągają ku nam ręce przez otchłanie firmamentu.

Ponieważ Robert miał już pomysł olbrzymiego aparatu fotograficznego, moglibyśmy wkrótce posiadać portrety królów, królowych, wielkich ludzi, a nawet pięknych kobiet z tej siostrzanej planety.

A jaka stąd olbrzymia korzyść dla całej ludzkości! Wkrótce moglibyśmy, małym kosztem, użytkować z prac umysłowych, nagromadzonych przez miliony pokoleń! Rozwiązanie kwestji społecznej, nieskończona długowieczność — mogą być Marsjanom znane oddawna. Ten pomysł, w razie powodzenia, mógłby być dla wszystkich nieobliczonym dobrodziejstwem!

— Bardzo pięknie! — zauważyła pani Pitcher, z uśmiechem słuchając syna, który zapalał się coraz więcej przy tem opowiadaniu, — a jeżeli ci Marsjanie są jeszcze w epoce barbarzyństwa, dzicy, okrutni?...

— Słuszna uwaga. W takim razie my ich będziemy oświecać, ucząc korzystać z naszych umiejętności.

— Bardzo szlachetny zamiar... ale powracając do rzeczy, jakże się to skończyło?

— W najsmutniejszy sposób. Wyjechali obaj na Sverbę i z początku szło wszystko wybornie. Ba-

liński, któremu kazano dawniej wyjechać z kraju, został ułaskawionym.

Przybywszy koleją syberyjską do Stretienska, zapatrzyli się w potrzebne materiały i zgodzili robotników, następnie skierowawszy się ku północy, dotarli do obszernych stepów, gdzie na przestrzeni kilkumilowej zostały ułożone olbrzymie figury geometryczne. Każda z nich miała wielkości 30 metrów, a ułożone były z kamieni wapiennych, których białość odznaczała się wyraźnie na ciemnym gruncie stepu. W nocy, te same znaki były powtórzone przez potężne lampy elektryczne.

Naturalnie, wszystko to sporo kosztowało!

Kiedy znaki zostały ułożone, kapitały Roberta były już porządnie nadszarpięte — lecz był on wówczas pełen najlepszej otuchy. Mieszkali jakby w obozie, polowali na lisy i wilki stepowe, łowili jesiotry i lososie, w towarzystwie tubylców, Ostjaków, nieco brudnych, lecz poczciwych, którzy poszliby na koniec świata za paczkę tytoniu lub butelkę wódki.

Lecz Marsjanie jakoś nie dawali znaku życia.

Robert i Baliński poznali się z bogatym właścicielem ziemskim, który z zapalem przyjął ich plany i nadzieje, oraz obiecał dostarczyć potrzebnych środków.

Podług jego zdania znaki były zbyt drobne; chciał je powtórzyć na przestrzeni o wiele większej i spodziewał się uzyskać dla ich ochrony straż rządową.

Nagle wszystko się popsulo. Baliński, w którego ułaskawieniu znaleziono jakąś niedokładność, został arestowany i odstawiony do jednej z najdalszych gubernji. Roberta również uwięziono na czas jakiś i z trudem udało mu się odzyskać wolność.

Pojechał natychmiast na miejsce robót — lecz, niestety, nic z nich nie ocalało! Wszystko było zniszczone przez włóczędzów stepowych, którzy unieśli ze sobą broń, narzędzia, zapasy żywności i amunicji, nie oszczędzając nawet wielkiego teleskopu, przez który Robert i Baliński mieli śledzić sygnały Marsjan.

— A cóż się stało z robotami?

— Kamień wapienny posłużył do budowy dróg bitych dla wygody kupców, handlujących herbatą i rybą suszoną.

Robotnicy i myśliwi, stanowiący niegdyś orszak Roberta, rozproszyli się na cztery wiatry, nie z próżnemi zapewne rękami...

— A ów bogaty właściciel dóbr?

— I on się zmienił! Przyjął Roberta zimno, objaśniając, że przekonania jego nie pozwalają mu wchodzić w stosunki z ludźmi podejrzanymi i nihilistami.

Szczęściem, zostało biedakowi jeszcze nieco pieniędzy, więc wsiadł do wagonu i przyjechał do Londynu, gdzie spodziewał się zrobić w krótkim czasie jakiś wynalazek, aby mieć z czego żyć.

— Dlaczegoż nie postarał się zobaczyć z p. Téramond; jestem pewną, że ten dostarczyłby mu potrzebnych środków..

— Ach, matko, nie sądź ludzi po sobie! Mój przyjaciel myślał zresztą, jak ty i przybywszy tutaj, udał się natychmiast do bankiera, którego uważał za przysięłego swego teścia.

Wiedział on już częściowo o niepowodzeniu Roberta, to też przyjął go bardzo zimno, zaledwie grzecznie — i rzekł z ironją nieco gburowatą, zwykłą u lu-

dzi, którzy, jak się to mówi, torują sobie drogę pięściami i znają wartość pieniędzy:

„Kochany panie, mój niewielki majątek nie pozwala mi brać udziału w tak olbrzymich, jak pańskie, przedsiębiorstwach. Podziwiam świetne zdolności pana, przy których staniesz się chlubą kraju — ale porozumiewanie się z mieszkańcami innych planet wymaga co najmniej miljarda lub dwóch. Mogę jednak służyć panu dobrą radą: wyjedź pan do Chicago!”

Robert nie odpowiedział ani słowa i wyszedł bez pożegnania, chociaż ciężko mu było bardzo. Nie z powodu strat materialnych, — o nie! Wiesz przecież, matko, iż mój przyjaciel kpi sobie z tego. Lecz żal mu było miss Alberty, która jest podobno bardzo piękną!

— Hm... i cóż dalej?

— Bardzo niewiele. Zanim wyszedł po raz ostatni za złoconą kratę zamykającą pałacowy dziedziniec, obrócił się i ujrzał w jednym z okien cudny profil swej narzeczonej. Pożegnali się skinieniem głowy — i biedny Robert odszedł zgnębiony, chociaż ze spojrzenia miss Alberty mógł poznać, że go nigdy nie zapomni.

Odtąd nie widzieli się więcej!

— Tak, to rzeczywiście niewesołe! — rzekła pani Pitcher.

— A teraz to dziwne jego zniknięcie! Nie rozumiem co to znaczy! Mógł choć napisać do mnie! Tak się ucieszył spotkaniem ze mną... Jesteśmy przecież starymi przyjaciółmi i nigdy żadnego zajścia nie było między nami. Musiało go chyba spotkać jakieś nieszczęście!

— Czyż nie czyniłeś żadnych poszukiwań?



— Co znowu! Zaraz na drugi dzień, zaniepokojony o Roberta, włożyłem nieprzemakalną pelerynę i zapatrzony się w rewolwer i grubą laszkę wyszedłem.

— Pójdę wprost na ulicę Yarmouth, gdzie ma mieszkać ów Ardavena, autor listu. Dobrze, żem to nazwisko zapamiętał — tam się z pewnością czegoś dowiem! — myślałem sobie. Po dwugodzinnej wędrówce, dosięgnąłem tej ulicy i zatrzymałem się, zdyszany, przed spróchniałą bramą, z której farba dawno już opadła. Napróżno jednak uderzałem w nią młotkiem i stukałem do okiennic, rozsypujących się pod ręką.

Nie otrzymując żadnej odpowiedzi, zwróciłem się z pytaniem do owocarki, którą ten hałas sprowadził na ulicę. Patrząc na mnie drwiąco, rzekła z wybitnym akcentem irlandzkim:

„Napróżno pan tu kołaczę, to tylko strata czasu! Ten dom od dawna jest niezamieszkanym! Przypatrz się pan tylko tym potłuczonym szybom, wkleślemu dachowi! Jest to tylko stara rudera, chociaż coś jeszcze warta!”

Nie zadawalając się tem objaśnieniem, wypytywałem jeszcze kolejno kupca, rybaka, dwóch policjantów, wreszcie zamiatacza ulic, lecz pomimo datku pieniędzy — niczego się nie dowiedziałem.

Zgnębiony, wróciłem do domu i dałem znać do policji.

Następnych dni ponowiłem poszukiwania — lecz ani moje starania, ani wysiłki najbieglejszych agentów policji rządowej i prywatnej, nie dostarczyły żadnej wskazówki co do losu Roberta. Tyle tylko się dowiedziałem, że dom pod № 15 przy ulicy Yarmouth był rzeczywiście oddawna niezamieszkanym. Jak wiesz, matko, upłynął miesiąc od zniknięcia Roberta. Zaprzestałem po-

szukiwań, lecz co noc śnię o zaginionym przyjacielu i gorzkie sobie robię wymówki, że mu na ową schadz-  
kę nie towarzyszyłem.

To mi zatruwa życie, dotąd spokojne i szczęśliwe.

— No, nie martw się tak bardzo! Może jeszcze otrzymasz jakie wiadomości o twym przyjacielu. Nie-  
podobna, żeby tak zginął bez śladu! — pocieszała  
Ralfa matka, gładząc jego gęstą czuprynę, jak gdyby  
był małym dzieckiem.

Pewnego rana, obudziwszy się ze snu, Ralf ze zdu-  
mieniem ujrzał na stoliku, obok pióra i kałamarza,  
które zwykle były w sąsiedniej pracowni — zapisany  
papier. Zawierał on skreślone piśmem Roberta słowa:

„Nie niepokój się tem, co się ze mną stało. Roz-  
strzygam nadzwyczaj ważne zagadnienia, lecz wkrótce  
powrócę. Usilnie proszę, nie martw się o mnie i nie  
próbuj się dowiedzieć, w jaki sposób przestałem ci  
wiadomość o sobie.

Robert Darvel.”

— Eh! — zawołał naturalista — to są zarty! Robert  
powrócił i pewnie wszedł do mnie oknem, aby mi  
splatać tego figla!

Ale okno było o dwadzieścia stóp nad ziemią,  
a pod niem, w małym ogródku, spędzał noce pies  
zły i silny, który nie znał nikogo, prócz swoich pań-  
stwa.

Pocziwy Ralf miał kilka dni rzetelnego strachu.  
Wszystko, co wiedział o życiu zagrobowym, spiryty-  
zmie, widzeniach — odżyło w jego pamięci!

— Jeśli ten dom jest nawiedzany przez duchy, to będzie miłe życie!

Lecz w charakterze jego było tyle optymizmu i prostoduszności, iż w końcu powiedział sobie, że Robert zapewne dokonał jakiegoś cudownego wynalazku, za pomocą którego dał mu znać o sobie.

### Przebudzenie.

Szalone przedsięwzięcie obmyślane przez Roberta udało się lepiej, niż można było przypuścić. Stalowy pocisk przebył z szybkością myśli warstwy powietrzne ziemskiej atmosfery, a choć wskutek tarcia o nie rozgrzał się do czerwoności, ostygł jednak, a nawet pokrył się lodową powłoką, przelatując przez ciemne i posępne przestrzenie eteru. Lód ten stopniał jednakże, gdy pocisk znalazł się w atmosferze, otaczającej Marsa, przesyconej ciepłem i wilgocią.

Ze wszystkich planet, on i księżyc są nam najlepiej znane. Mars jest przeszło sześć i pół razy mniejszym od Ziemi, a obwód jego wynosi tylko  $\frac{16}{100}$  objętości. Najnowsze teleskopy z ulepszonymi reflektorami, a szczególnie badania Schiaparellego i K. Flammariona pouczyły nas, że Mars ma wiele cech wspólnych z Ziemią. Pory roku następują mniej więcej w tym samym, co i u nas porządku; lecz każda z nich, wskutek tego, iż rok marsyjski trwa 687 dni, jest przeszło dwa razy dłuższą aniżeli u nas.

Na Marsie, jak i na Ziemi, są dwa pasy umiarkowane, jeden gorący i dwa zimne. Te ostatnie, z powodu lodów, pokrywających je w zimie, są widzialne

przez teleskop, dzięki białości lodu, odróżniającej je od czerwono-zielonego koloru reszty planety, a nawet były fotografowane.

Rozległość tych zwałów lodowych zależy od pory roku, a zatem i stopnia ciepła. Nasi ziemscy astronomowie widują je zwiększającymi i zmniejszającymi się systematycznie w ciągu tamtejszego roku. Uczeni posiadają pewność, iż Mars jest otoczony atmosferą, bardzo podobną do naszej, choć mniej gęstą (skupioną) i tak samo jak nasza, zawiera ona wielką ilość pary wodnej.

Przez cały ciąg długiego roku marsyjskiego w atmosferze tej krążą gęste chmury, widzialne dokładnie z Ziemi; otaczają one, jak gdyby olbrzymimi pierścieniami, Północ i Południe planety, w strefach najbardziej od równika oddalonych, gdzie trwają przez kilka miesięcy.

Przypuszczano zawsze, iż chmury (obłoki) unoszą się nad nizinami i bagnami. Zmieniają one miejsce wskutek wiatru, zgromadzają się i rozpraszają; jest też pewnym, że ich skład różni się bardzo mało od układu chmur ziemskich.

Obserwatorium paryskie posiada oddawna bardzo dokładne mapy i fotografie mórz i lądów marsyjskich. Morza te, widziane przez teleskop, przedstawiają zabarwienie zielone, mniej lub więcej wyraźne. Wynioskowano stąd, iż obfitują one w alkaliczne związki chloru i wydają się nam ciemniejszymi z powodu swojej głębokości. Co do lądów i wysp, tworzących po obu stronach równika nieprzerwany łańcuch (pasma) zajmując przestrzeń większą od oceanów, to przedstawiają one mieszaninę kolorów czerwonego i poma-

rańczowego, będących charakterystycznymi kolorami tej planety. Ta barwa jaskrawa zjednała jej nazwę, którą w pogańskiej mitologii nosił bóg wojny; jemu też była ona poświęconą.

Morza, szczególnie w części północnej, nie są większe od Śródziemnego lub Kaspijskiego; są to wielkie jeziora lub cieśniny w rodzaju Kaletańskiego, które są arterjami komunikacyjnymi dla lądów, rozdzielonych wodami. Niema tam wcale oceanów, mogących się porównać z Atlantyckim lub Spokojnym; tylko morza północne i południowe są podobne do naszych.

Mars posiada też góry, lecz niższe od ziemskich i w mniejszej ilości. Istnienia ich dowodzą jasne plamy, ukazujące się w równomiernych odstępach czasu; są to bezwątpienia szczyty gór, pokryte śniegiem, trwającym dłużej, niż czas właściwej zimy.

Szczególą cechą Marsa jest to, że nie zauważono na nim żadnych rzek; natomiast powierzchnia jego lądów jest poprzerzynaną olbrzymimi kanałami, których długość wynosi od tysiąca do pięciu tys. kilometrów, a szerokość dochodzi często do stu dwudziestu kilometrów. Kształt tych kanałów, geometrycznie regularny, dowodzi, iż są one dziełem istot, obdarzonych inteligencją. Cel istnienia jednak tych kanałów, odkrytych w r. 1877 przez astronoma Schiaparelli'ego z Medjolanu, nie jest dotąd dostatecznie wyświetlonym, ku wielkiemu zmartwieniu astronomów. Najdziwniejszem jest to, iż obok linii utworzonej przez niektóre z tych kanałów, powstaje inna, równoległa i zupełnie podobna do tamtej, lecz znikająca po pewnym przeciągu czasu.

Drugą szczególną cechą Marsa jest to, iż posiada on dwa księżycy, choć mniejsze od naszego, którym

astronomowie nadali nazwy: Phobos i Deimos. Pierwsza z tych minjaturowych planet ma średnicę tylko 10 kilometrów i kończy swój obieg w 7 godzin i 39 minut; druga, Dejmos, jest nieco większą: średnica jej wynosi 12 kilometrów i przebiega swoją orbitę w 30 godzinach i 18 min.

Obie te planety, które przeczuł Walter w swoim dziele Micromegas a także i Swift, słynny autor Podróży Gulliwera — odkrył astronom amerykański Hall.

Z powodu swego oddalenia, słońce udziela Marsowi o połowę mniej światła i ciepła, aniżeli Ziemi — lecz wynagradza to długością roku, dłuższego dwa razy aniżeli ziemski.

Obserwacja plam, istniejących na powierzchni planety, dowiodła, iż dokonywa ona obrotu około swej osi w 24 godzinach, 37 minutach, 33 sekundach; skutkiem tego, dzień tamtejszy przewyższa ziemski mniej więcej o pół godziny.

W ten to świat nieznany, pośród ciemnej nocy, spadł pocisk — trumna, ciągnąc za sobą w ciemnościach, jasną smugę, jak bolid. Kołyszące się fale Oceanu smagane deszczem, zamknęły się nad metalowym pociskiem, lecz wbrew przewidywaniom bramina a nawet i Darvela, żadne uderzenie nie dotknęło wydłużonych końców i nie otworzyło wieka, co dałoby więźniowi możliwość powrotu do życia i wolności.

Dzięki swemu wydrążeniu, drewnianej powłoce, oraz zmniejszonej sile przyciągania, pocisk nie spadł na dno wody, ale też i nie powrócił na jej powierzchnię. Pozostał w wodzie, na łasce fal, które wraz z wichrem podrzucały go na wszystkie strony.

Trwało to przez trzy dni, aż wreszcie jakaś fala większa od innych, uderzając o nadbrzeżne skały czerwonego porfiru (granitu), wepchnęła pocisk w rodzaj grotu, będącej po nad poziomem wody i pozostawiła go zawieszonym, jakby cudem, w zagłębieniu skał, wyszczerbionych przez fale.

Uderzenie to było dostatecznym dla sprężyny: wieko drewnianej powłoki odskoczyło.

Gdy Robert odzyskał zmysły, doznał strasznego uczucia, że go pogrzebano żywcem. Fluid, którym Ardavena nasycił całun przed włożeniem go do trumny, ocalił Robertowi życie, dając mu przez kilka minut nadludzką siłę.

Jednym szarpnięciem długich, zaostzonych jak szpony, paznokci, rozdarł owijający go worek bawełniany i ruchem instynktowym wyrwał z nozdrzy wosk, tamujący dostęp powietrza. Potem, wciąż bezwiednie, nadał językowi zwykłe położenie i odetchnął głęboko.

Ale wysiłek ten okazał się zbyt wielkim: Robert stracił przytomność i zapadł w sen, zbliżony do letargu; nie miał nawet czasu zebrać myśli, ani zaniepokoić się swoim otoczeniem.

Zbudziło go uczucie miłego ciepła; zdawało mu się, iż łagodne promienie słońca ogrzewają mu plecy. Otworzył oczy i ujrzał przed sobą masę skał czerwonych, fantastycznie powyżebianych — i otwór grotu głębokiej, sięgającej prawie do środka ziemi.

Zagłębiony jeszcze w swojej stalowej trumnie, obrócił jednak głowę w drugą stronę i.. skamieniał z przerażenia. Teraz mógł sobie zdać sprawę z niebezpieczeństwa, jakie mu groziło każdej chwili. Pocisk zatrzymał się na kilku wystających zrębach skały,

w niezupełnej i przypadkowej równowadze: jedno niezręczne poruszenie mogło go pogrążyć w otchłani fal zielono-szarych, oświetlonych słońcem dziwnem, czerwonawem choć przysłoniętem mgłą. Wydawało mu się ono mniejszem, niż zwykle.

Należało jak najprędzej wydobyć się z tak niebezpiecznego położenia. Robert skurczywszy się, próbował z niesłychaną ostrożnością wysunąć się na zewnątrz tak, aby uniknąć upadku w otchłań morską, huczącą tuż pod nim.

Udało mu się to nareszcie—był ocalonym!

Ku wielkiemu swemu zdziwieniu czuł w całym ciele nadzwyczajną siłę i sprężystość.

Rozciągnął się, uszczęśliwiony swem ocaleniem na czerwonawym piasku, zaścielającym dno groty i dopiero teraz poczuł przytłumiony, lecz ciągiły szum w uszach. Dotknął ich rękami i poczuł, że są nalepione gąłkami wosku! Wyrzucił więc tę zawadę i szum ustał. Teraz rozróżniał doskonale odgłos fal, rozbijających się o skaliste wybrzeże i wycie wiatru.

Dokuczał mu głód i zimno, oraz ogarniał go zawrót głowy, podobny temu, jaki się uczuwa na znacznych wysokościach. To małe osłabienie wynagradzało jednak powiększenie siły muskularnej.

Olśniony tem wszystkim, Robert zamknął oczy i próbował zebrać rozpierchłe myśli. Miał wrażenie, iż spał przez czas długi, a pierwszą jego myślą było, iż znajduje się na wybrzeżu Oceanu Indyjskiego, gdzie zapewne przybył z Ardaveną na jakąś wycieczkę.

Oslabienie powoli przechodziło i Robert, choć z niesłychanym wysiłkiem, próbował sobie przypominać przeszłe wydarzenia, lecz na razie bezskutecznie.



Podszedł następnie do malutkiego jeziorka spokojnej wody między skałami i nachyliwszy się, spojrział wewnątrz z zdumieniem zobaczył tam twarz nieznaną, wychudzoną straszliwie, cały tors miał wygląd szkieletu. I skąd mu się wzięły te nadmiernie długie paznokcie?

Śni, czy też oszalał?

Ścisnął rozpaczliwie rękami skronie, a potem zaczął chodzić po wybrzeżu, przyglądając się morzu i niebu pokrytemu chmurami. Chodził wciąż wielkimi krokami, myśląc, że jest pod władzą jakiejś zmory.

Nagle spojrzenie jego padło na pocisk, z którego się niedawno wydobył: wierzchnia jego powłoka zwęglona, odcinała się ostro czarną swoją barwą od czerniwonego piasku wybrzeża, na którym leżała.

— Tak, — wyszeptał — to musi być sprawka Ardaveyny! Jakżebym chciał powrócić już do Kelambrum, gdzie jestem tak szczęśliwym pośród mego laboratorium i ogrodu! Ale zażadam wytłomaczenia tego wszystkiego od bramina, gdyż w tem wszystkim jest coś niepojętego!

Jego osłabiony mózg nie był w stanie wysnuć myśli jaśniejszych i wyraźniejszych: głód, pragnienie i zimno odbierały mu siły i przytomność. Owinął się szczelnie w swój bawełniany całun, zaczerpnął ręką nieco wody z jeziorka, w którym się przed chwilą przeglądał i poniósł ją do ust. Lecz musiała to być woda morska, zarzucona tam w czasie burzy — gdyż była szkaradną, słono-gorzka.

Miałże tu umrzeć z głodu i pragnienia, w tej grocie, wydrażonej w skałach porfiru, między niebem i ziemią?

Spojrzał dokoła oczami błyszczącymi gorączkowo i zobaczył we wgłębieniu skały kępę roślin niebieskawych. Był to, jak sądził, rodzaj kopru morskiego, nieznanej mu odmiany. Wyrwał garść tej rośliny i począł ją żuć, wysysając z rozkoszą sok orzeźwiający a wypluwając twarde włókna. Powtarzał to dopóty, aż darcie w żołądku dało mu uczuć, że jak na teraz, zjadł dosyć.

Był przez czas tak długi pozbawionym pożywienia, iż kilka łyków soku roślinnego upoiły go prawie: głowa mu ciężyła, chód miał niepewny a oczy same się zamykały. Zdobył się jednak na tyle siły i przytomności umysłu, iż wyciągnął w miejsce bezpieczne i suche, na piasek, metalowy pocisk, z którego się niedawno wydostał, jak piskłę z jajka.

Ustawwszy go między dwiema skałami, ułożył się w nim skurczony, owijając się swym całunem i zasnął wkrótce mocnym, orzeźwiającym snem. Lecz po przebudzeniu, niestety! tak samo nie mógł zebrać rozpierzchłych myśli, jak i przedtem — cierpiał też straszliwie wskutek głodu.

— Ciągle jedno i to samo! — wykrzyknął z rozpaczą — od kiedy się obudziłem, myślę tylko o jedzeniu... Gdybym przynajmniej mógł znaleźć w bliskości coś jadalnego!

Długi sen powrócił mu jednak nieco sił — zawrót głowy, który dokuczał przedtem — przeminał. Czuł tylko teraz ogromny apetyt i nadzwyczajną lekkość w całym ciele: robił z łatwością skoki na sześć do siedmiu metrów! Chwilami zdawało mu się, że ma skrzydła i musiał czuwać nad sobą, aby się nie ześliznąć, przez nieuwagę, po nadbrzeżnych skałach aż do morza.

Przy wejściu do grotty, odkrył w skałach rozpadliny rodzaj stopni wyżłobionych przez fale; przyszła mu więc myśl zejść tędy aż nad wodę i jeśli nie będzie zbyt głęboką, pójść dalej, trzymając się skał. Może natrafi na brzeg gościnniejszy, skąd będzie mógł powrócić do ulubionego Kelambromu, od którego, pomimo wszystkiego, nie sądził się zbyt oddalonym.

Nagle wydał okrzyk radości, a głos jego odbity przez skały, wydał mu się tak mocnym, jak odgłos myśliwskiego rogu: zatrzymał się, zdumiony jego dźwięcznością i siłą. Powodem tej radości była spora ilość okrągłych muszli w rodzaju małżów, przytwierdzonych do skały mocnymi włóknami, tuż nad poziomem wody.

— Jestem ocalony! — zawołał.

Zebrawszy sporą ilość mięczaków, powrócił do grotty, aby się nimi uraczyć. Czuł powracające z każdą chwilą siły.

Dwa dni następne były wypełnione naprzemian spożywaniem mięczaków i snem. Jedno i drugie było pokrzepiającem, lecz zanadto jednostajnem.

— Przecież nie mogę tu pozostać na dłużej i tkwić na tem wybrzeżu, jak mewa w gnieździe — i za całe pożywienie mieć mięczaki — rzekł do siebie Robert drugiego dnia nad wieczorem, — to byłoby zanadto śmiesznem!

Większą część nocy spędził na rozmyślaniu. Szczególniejsze podejrzenia zaczęły mu się nasuwać. Niezwykły wygląd nieba, obecność pocisku metalowego, który mu służył za łóżko, brak ludzkich istot na tym oceanie mgłami pokrytym, — to wszystko niezbitcie dowodziło, że się znajdował bardzo daleko od Indo-

stanu i że skorzystano z jego snu kataleptycznego, aby go wyrzucić na to puste wybrzeże.

— A może — myślał z przestraczem, — chcąc przyswoić sobie moje wynalazki, kazał mię przenieść na północ Syberji, ażeby się odemnie uwolnić?

Podtrzymywała w nim to przypuszczenie ta okoliczność, iż pomimo utraty chronometru, pożyczonego Ardavenie, zauważył niebywałą długość dni i nocy. Ten domysł jednak go nie zadawalniał.

— W krajach polarnych, — myślał dosyć logicznie — jeśli dni są długie, to noce bywają krótkie — i odwrotnie; tu zaś jest inaczej. Jest w tem coś niewytłomaczonego!

Co prawda, Robert nie mógł o tem wszystkiem sądzić jasno: od czasu gdy ustało działanie środków odrętwiających, zadawanych mu przez fakirów, odczuwał ciąglą potrzebę snu; budził się tylko dla jedzenia i zasypiał prawie natychmiast.

Pewnego wieczoru musiał już dostatecznie siły odzyskać, gdyż sen nie przychodził a noc wydawała mu się nieskończenie długą. Postanowił, jak tylko się rozwidni, wejść na najwyższą ze skał nadbrzeżnych.

Usypiał jednak, budził się i znów usypiał, a ciemności wciąż go otaczały. Przez chwilę myślał, iż się znajduje wśród nocy podbiegunowej, trwającej długie miesiące — i zadrzał ze strachu.

Nakoniec czerwonawa jasność zmniejszonego słońca zaczęła przebijać się przez zaslonę mgły.

Robert wstał, zjadł śniadanie i nie namyślając się dłużej, zaczął się wdrapywać na skały z czerwonego porfiru, wznoszące się nad grotą. Zużył na to przeszło godzinę czasu, zatrzymując się dla odpoczynku

na wszystkich spotykanych płaszczyznach, poczem znów piął się w górę, korzystając z najmniejszego krzaczka, lub kępki czerwonawej trawy, aby się wciągnąć nieco wyżej.

Doszedłszy do szczytu wybrzeża, zatrzymał się zdumiony. Wysoki las, o liściach czerwonych i żółtych, w którym rozróżniał buki i leszczynę, kołysał się dookoła niego. Nie było jednak śladu drogi, ani nawet ścieżki, któraby wiodła do jego wnętrza. Czerwonawe jeżyny, maliny o rumianych liściach, mchy brunatne rosły razem, tworząc nieprzebytą gęstwinę roślinności. Na widnokręgu przestłoniętym mgłami, morze rozciągało się między dwoma przylądkami porfiru, zamykającymi dalszy widok.

Zdziwiony przeważającym w tym krajobrazie kolorem czerwonym, Robert doznał dziecięcej prawie radości znalazłszy się w głębi lasu. Myślał, iż jest w Kanadzie, ponieważ czytał, że w tym kraju znajduje się wielka ilość roślin o czerwonym ulścieniu.

Obmyślił natychmiast plan dalszego postępowania.

— Przejdę ten las — rzekł sobie — w linii prostej, idąc ciągle na południe, kierując się słońcem i gwiazdami. W ten sposób muszę się znaleźć w południowej części tego kraju, gdzie są wielkie miasta i koleje żelazne. Choćby mię porzucono w bliskości strefy podbiegunowej, to przecież po jakich ośmiu dniach drogi muszę napotkać jaką wioskę Eskimosów, albo karawanę myśliwych, handlujących futrami lub poszukiwaczy złota.

Przed puszczeniem się w drogę, Robert postanowił zrobić dłuższy odpoczynek w lesie. Zjadł nieco wielkich malin złotego koloru i czarnych porzeczek,

nazbierał czerwonych orzechów, fijołkowych borówek; następnie puścił się w drogę. Za jego zbliżeniem się, podrywały się różne ptaki, podobne do wróbli i drozdów; znalazł też polankę pokrytą białymi gąbczastymi grzybami, z których miał wyborne śniadanie.

Ku wielkiemu zdziwieniu Roberta, słońce, zdawało się nieruchomem w osłonie z mgły. Ten las odziany szatą rudawych liści, przedstawiał mu się jak Eden w jesienny poranek bez końca. Żółte owady skakały w trawie i tylko krzyk ptaków przerywał ciszę.

Roberta ogarniała dziwna odrętwiałość. Marzył o życiu w niezmaconym spokoju, wpośród tego krajobrazu milczącego i sennego. Morze śpiewało swoją jednostajną piosnkę, uderzając o skały nadbrzeżne.

Zwyciężony raz jeszcze przez senność, oparł się o wystające korzenie czerwonego buku i usnął znudzony na mchu.

Gdy się obudził, słońce już było nisko. Wielkie obłoki liljowo-zielone stały na zachodzie i perspektywa zarośli czerwonawych godziła się tak cudnie z barwą obłoków i odbłaskami konającego słońca, że Robert obawiał się, aby cały ten przepych otaczający go nie rozwiął się jak złuda czarodziejska.

Lecz słońce, po wahaniu się tak długiemi, że Robert nieprzypominał sobie nic podobnego, zasunęło się za chmury atramentowego koloru a żywe światło księżycy zajęło miejsce znikłej gwiazdy dnia. Robert zachwycał się świetlikami błyszczącemi w krzakach, lecz odwróciwszy się w stronę morza, pozostał bez ruchu, zdumiony zjawiskiem, które miał przed oczami.

Dwa księżyce świetnej białości, ogromnych rozmiarów, odbijały się w falach morza!



...Robert stał bez ruchu, zdumiony zjawiskiem, które miał przed oczami. •

— Przecież nie śnię, ani nie oszalałem — szepnął.

Przymknął oczy, opuścił się na mech i rozmyślał. W jednej chwili stanęła przed nim cudowna i straszna prawda: ta metalowa trumna, czerwone liście, słońce zmniejszone, oraz dwa księżycy: wszystko się zgadzało!

— Jestem pierwszym człowiekiem, który się znalazł na Marsie! — wykrzyknął głosem, w którym dźwięczała duma i zgroza.

### Pustynia.

Robert Darvel powstał, chwiejąc się na nogach a w głowie czuł zawrót szczególny:

— Planeta Mars!

Te słowa magiczne dźwięczały mu w uszach za każdym podmuchem wiatru, w melancholijnym szmerze liści, jednostajnym szumie morza.

— Planeta Mars!

Wymówił te słowa głośno i przeląkł się. Zdawało mu się, że zmieszane głosy odpowiadają mu z głębi gęstwiny.

Odwrócił się mimowoli i spojrzał dokoła oczami, rozszerzonymi pod wpływem strachu przed Nieznanem.

Miał uczucie, że jakieś niekształtne istoty, wykrzywiając się po za krzakami, powtarzają cicho, naigrawając się:

— Ah! Mars... Mars!...

Zrobił kilka kroków w kierunku polanki, gdzie światło dwóch księżyców rozlewało się, czyste, spokoj-



ne, przecinając jasną smugą rudawe cienie żółtej ło-  
zy i czerwonych buków.

Miał ogromną ochotę biec, uczuwał potrzebę ru-  
chu, — lecz nie śmiał tego uczynić, gdyż miał wraże-  
nie, że ktoś idzie wciąż za nim krok w krok i czuł  
ciepło jego oddechu na swojej szyi.

Słychać było jak stworzenia jakieś gryzły w ko-  
narach drzew owoce; pnie, powalone wiatrem, jęcza-  
ły za jego powiewem, w dali źródło szemrało łkając.  
Wszystkie te odgłosy powiększały grozę Roberta.  
Wspomnienia z czytanych opowiadań o dziwacznych  
mieszkańcach innych planet obległy go tłumnie.

Czy Mars jest zamieszkanym przez ludożercze  
zwierzęta o kształtach potwornych, czy przez istoty  
z wyższą kulturą, rozporządzające cudownymi środ-  
kami nieznannej ludzom wiedzy?

Myśli te kłębiły się w jego mózgu i miał duszę  
tak załęczoną, jak pierwsi ludzie po znalezieniu się  
w pierwotnych latach. Wielkie nietoperze przelatywały  
przed nim cicho na swoich aksamitnych skrzydłach  
a on myślał o skrzydlatych djablikach, złośliwych kar-  
lach i nocnych straszylach, spędzających dzień cały  
w grotach lub wypróchniałych drzewach, a wychodzą-  
cych nocą, na podobieństwo bajecznych wampirów,  
aby wysysać krew ze śpiących ofiar.

Uczucie samotności i opuszczenia opanowało go  
z taką siłą, że tracił zmysły. Cicha noc i las spokoj-  
ny, przejęty wonią dojrzałych liści i ziemi wilgotnej,  
wydawały mu się pełnemi niebezpieczeństw: strach sa-  
motności mroził mu serce. Dawna ojczysta planeta,  
Ziemia, którą teraz mógł z trudnością odnaleźć tylko jako  
nikłą, świetlną plamkę w olbrzymich przestworzach nie-

ba, przedstawiała się jego zrozwyczajonej duszy, jako siedlisko rozkoszy, uprzywilejowany kącik we wszechświecie!

Tam byli ludzie!

Robert byłby się uważał za bardzo szczęśliwego, gdyby się mógł znaleźć sam jeden, bez mieszkania, stosunków, bez pieniędzy nawet — na najuboższym z przedmieść Paryża lub Londynu, lub na najsmutniejszym stepie syberyjskim, nawet więźniem okrutnych dzikusów z wyspy Jawy lub Nowej-Gwinei.

Patrzył nieprzytomnie dookoła i brała go ochota niepowstrzymana wtulić się w jaką rozpadlinę skały lub wgłąb krzaków, jak zwierzę lękliwe i tam czekać dnia.

Nagle znalazł się przy strumieniu, którego jasna powierzchnia błyskała iskrami w świetle dwóch księżyców, Phobosa i Deimosa, płynąc między dwiema olbrzymimi skalami koloru rdzy.

Brzegi jego porastało sitowie i trzcina, wraz z roślinami o liściach mięsistych, rozłożystych, a zwinne ryby złocistego koloru, ruchliwe jak pstrągi, uwijały się w jego falach. Wielkie drzewa z ciemnymi liśćmi przeglądały się w wodzie.

Nigdy Robert nie widział krajobrazu tak pięknego i w tak łagodnym oświetleniu. Odwaga jego wracała, wstydił się poprzedniego przygnębienia.

Ukląkszy na wilgotnej trawie, zaczerpnął w dłonie wody ze strumienia, która mu się wydała wyborną i uśmierzyła gorączkę.

— Niel! — zawołał dumnie — nie poddam się tym głupim obawom! Będę godnym losu, który sam sobie wybrałem: chciałem na własną odpowiedzialność poznać

nowe światy... Przeciw niebezpieczeństwu i nieprzyjaciółom jestem zaopatrzonym w skarby odwieczne wiedzy ludzkiej; czy zwyciężę, czy będę pokonanym, zawsze osiągnę cel, do którego dążyłem: wypełnię kartę, którą zapisać chciałem i posłannictwo moje bezużytecznym nie będzie! Nie mam więc prawa ani skarżyć się, ani obawiać!

Robert, ożywiony tym wybuchem uniesienia, odzyskał całkowicie swe władze umysłowe. Szczegółność położenia podniecała jego energję i rzeźkim krokiem szedł w dalszą drogę.

Zostawiwszy daleko po za sobą źródło i polankę, zagłębił się w długą aleję, o gruncie pokrytym brunatnym i miękkim jak aksamit mchem.

Gdyby ziemscy przyjaciele młodego inżyniera mogli go teraz ujrzeć idącego wielkimi krokami, bez oznaczonego kierunku, ścieżynami dzikiego lasu, nie poznaliby go z pewnością. Wychudły jak szkielec, o ramionach zgarbionych, twarzy zniszczonej, włosy i zarost miał w nieładzie i prawie siwe. Całym jego ubiorem był worek bawełniany, służący mu przedtem za całun; drżał pod nim, choć jeszcze nie było bardzo zimno. Zbolałe swe nogi okręcił pasami z kory drzewnej, tworząc z nich rodzaj sandałów. Nakoniec, nadmiernie długie, zastrzone paznokcie, nadawały mu raczej wygląd człowieka z epoki kamiennej, aniżeli sławnego inżyniera, którym w swoim czasie zajmowały się wszystkie pisma.

Obecnie, mając już pewność, iż opuścił rodzinną planetę oraz że to, co brał za las kanadyjski lub syberyjski, było częścią powierzchni Marsa, szedł wciąż wielkimi krokami. Robił to zarówno dla rozgrzania

się, jak i dla szybszego dostania się do mieszkańców marsyjskich, o których chciał wreszcie dowiedzieć się czegoś pewnego.

— Jeśli są dobrzy i rozumni, — mówił do siebie — postaram się, aby mię zrozumieli a zapewne nie odmówią mi pomocy. Jeśli zaś są źli i głupi, będą się mnie bać i tembardziej będą zmuszeni mi pomagać.

Uspokojony nadzieją, choć niezbyt pewną, szedł wciąż naprzód, lecz wkrótce zmęczenie ośwładnęło nim całkowicie, a nogi pokaleczone, mimo sandałów z kory, bolały go straszliwie.

Ułamał więc wielką, prawie prostą gałąź, która miała mu służyć za laskę i obronę w razie napaści.

Ze zdziwieniem poczuł, że oderwanie od pnia jodły o szpilkach czerwonych — tej wielkiej gałęzi, nie sprawiło mu żadnej trudności; wywiął ciężką pałką z taką łatwością, jak gdyby to była lekka laseczka.

— Do licha! — zawołał nagle — toż zapomniałem, że Mars jest prawie sześć razy mniejszym od Ziemi! Na mocy prawa przyciągania, siła moich mięśni się zwiększa. Niech się Marsjanie mają na baczności, bo jeśli zaczną ze mną bójkę, będę stanowczo od nich silniejszym!

Powiedziawszy to, uśmiechnął się z tego dziecinnego trochę przekonania o swojej wyższości.

Po namyśle jednak, przypomniał sobie mnóstwo drobnych faktów, utwierdzających go w przekonaniu, że zmniejszona siła przyciągania planety zwiększyła jego siłę fizyczną.

— Na Ziemi — myślał — nie potrafiłbym nigdy, będąc tak osłabionym, jak po obudzeniu się mojem — wydobyć się ze środka pocisku i całunu, oraz wdrzeć

się na skały i dojść do lasu. Nie mógłbym tam również przebyć tak wielkiej odległości, jak dziś, będąc tak znużonym!

I rzeczywiście, stawiał teraz prawie bez wysiłku kroki ogromne, czuł że się niejako unosi nad ziemią.

Kiedy chciał przeskoczyć pień powalonego drzewa, zagradzający mu drogę, skoczył z łatwością na parę metrów.

Stwierdzenie tego faktu dodało mu otuchy, a jego ruchliwa wyobraźnia podszeptała mu, aby tej siły i rzeźkości nowej użył na wydanie wojny zwierzętom leśnym.

Pogrążony w tych rozmyślaniach, szedł wciąż naprzód z wielką szybkością, przez okolice jasno oświetloną dwoma bliźniemi księżycami, której zarysy czyste i spokojne, będące mieszaniną koloru różowego w różnych odcieniach na tle srebrzystem przedstawiały widok czarujący, niewidziany dotąd nigdzie.

Aleja, w którą się zapuścił, kończyła się na szczycie pagórka, z którego był widok rozległy. Pobliskie góry, wznosząc się łagodnym półkolem, uwieńczone lasami — otaczały jezioro, którego wody poprzecinane wyspami, zasilane były kilkoma wodospadami z gór.

Wszystko w tym krajobrazie: drzewa, grunt, mchy, liście — było jaskrawego koloru: czerwone, pomarańczowe, ciemno-fioletkowe lub jasno-żółte; zieloność zaś była tam reprezentowaną nader skromnie, przez niektóre tylko rośliny i nie była wcale kolorem głównym.

Natomiast były tam gatunki topoli o liściach zupełnie białych i krzaki podobne do jodły, których cienkie szpilki były szczególnego odcienia niebieskiego i błyszcząły, jak lakierowane. Cała ta masa roślinności,

koloru złota, krwi lub rdzy, oświetlona cudownem, fosforycznem światłem dwóch księżyców, budziła przyniatające uczucie wspaniałości i smutku. I w tym złocistym lesie białe i niebieskie drzewa wyglądały jak widma, poruszające smutnie rękami, lub jak młode zablakane księżniczki, których białe szaty rozwiewał lekko wiatr leśny.

Ponad tem wszystkim niebo czyste — dokoła zaś śmiertelne milczenie, zaledwie zakłócanie nieokreślonymi szmerami lasu i ziemi, które niedawno tak zatrwożyły Roberta: łkanie wiatru w gałęziach, szelesty skrzydeł, jakieś gryzienie, chrapanie — odgłosy ukrytego życia miejsc dzikich i odludnych.

Robert podziwiał długo ten wspaniały krajobraz; jego milczenie i wspaniałość przenikały go mimowoli i czuł jakiś dziwny strach.

Chciałby głośno wypowiedzieć swoje uczucia, lecz żal i rozpacz ścisnęły mu gardło.

Przygnębiony poczuciem samotności, rozglądał się gorączkowo dokoła i byłby wszystko na świecie oddał, byle mieć teraz przy sobie przyjaciela, ba, zresztą obojętnego człowieka, a nawet — wroga! Niechby tylko był ktoś, z kim możnaby się podzielić przyniatającem i uroczystem wrażeniem.

Usiadł na mchu pięknym i miękkim, rdzawo-złocistym, który wszędzie tam napotykał — i próbował raz jeszcze przewyciężyć ogarniające go przygnębienie.

Trwożyło go i to, że pomimo wyteżania wzroku na wszystkie strony, nie odkrył nigdzie śladu mieszkań ludzkich; ani dymu, ani światła, ani lepianek najuboższych, choćby dzikich ludzi — nic, coby zdradzało obecność istot inteligentnych. Samotność zupełna, dzika i wspa-

niała, krajobraz dziewiczy, którego wiekowych puszczych nie tknął ani ogień ani topór — I nic więcej!

Mimowoli nasłuchiwał, czy wśród tego głuchego milczenia nie dosłyszyny nawoływań myśliwych, zabłąkanych w borze, piosenki pasterskiej, lub jakiegokolwiek głosu ludzkiego — i na tę myśl serce jego było gwałtownie.

Zaczął marzyć: przypominały mu się polowania w dżunglach, w towarzystwie przyjaciela naturalisty, Ralfa Pitchera. O! jakże chętnie byłby oddał dziesięć lat życia za to, aby mieć teraz przy sobie tego prawego i dzielnego towarzysza przygód.

Co też on sobie myśli teraz, tam, nad Tamizą? Zapewne obwinia go o zapomnienie i niewdzięczność..., a może już o nim zapomniał wpośród tysiącznych zabiegów walki o byt...

Robert na tę myśl posmutniał jeszcze więcej. Ach! gdyby Ralf był tu przy nim, cóżby to była za rozkosz obejmować w posiadanie tę nową planetę i podróżować wpośród cudów nieznanego kraju!

Ale był samotnym i myśląc o tej dalekiej Ziemi, która teraz była dla niego tylko drobnym światełkiem, czuł, że go odwaga opuszcza; nieprzezwycone wspomnienia napływały tłumnie do jego duszy znękaney, opanowując całą jego istotę.

Westchnął, myśląc o czarującej Albercie, która go kochała i której już zapewne nie ujrzy nigdy; ona także musiała go już zapomnieć, mając go za umarłego lub przypadłego bez wieści.

Cała przeszłość jego stawała mu przed oczami, przeciągała przed nim, jak korowód widziadeł: dzieciństwo, spędzone na wsi pod Paryżem, śmierć rodziców,

k którzy mu nie zostawili ani majątku, ani opiekunów; nauka, której się oddawał z zapałem, jego wynalazki, przygody w Syberji oraz na przylądku Kap, pobyt w klasztorze i podróże po bezmiernych przestworzach nieba.

— Eh! — wykrzyknął nagle — na nic się nie zda rozmyślanie o przeszłości... trzeba walczyć odważnie przeciw terażniejszemu niebezpieczeństwu!

Owinał się swoją bawełnianą opończą, wziął laskę i poszedł dalej, lekko i chyżo, co wciąż jeszcze było dla niego nowością.

Po namyśle postanowił dojść brzegiem jeziora do lasu zamykającego dalszy widnokrąg i dosięgnąć doliny, będącej po drugiej stronie gór; przypuszczał, że tam znajdzie jakie ludzkie istoty.

Po godzinie szybkiego pochodu uczuł głód gwałtowny, który sprawiał mocne bóle żołądka; nie znajdując nic innego, począł żuć młode pędy drzew. Idąc dalej nad brzegiem wody, spostrzegł kępkę roślin, które, różniąc się tylko brunatnym kolorem i wielkością swoich owoców, były zupełnie podobne do orzechów wodnych, rosnących w stawach zachodniej Francji.

Musiał się zadowolić tym posiłkiem cikliwym i mdłym, obiecując sobie wynaleźć środek do zdobycia ognia, któryby mu dał możliwość przygotowania posilniejszego pożywienia.

Podjadłszy jako tako, okrążył w dalszym ciągu jezioro, wciąż z tą samą lekkością, którą zawdzięczał zmniejszonej sile przyciągania.

Ta noc szalonego pochodu wydawała mu się nieskończenie długą, a nie spotykając spodziewanych cudowności, doznawał gorzkiego rozczarowania.



Głód mu dokuczał, lecz szczęśliwym trafem znaleźli wreszcie nieco grzybów, a później bukwy, pod wielkimi, czerwonymi bukami — i zaspokoił nieco swój głód.

O wschodzie zorzy, zimnej i drżącej, gdzie wschodzące słońce przeświecało jakby przez dymy kończącego się pożaru, Robert dosięgnął szczytów łańcucha pagórków po drugiej stronie jeziora.

Widok stamtąd był niezmiernie rozległy: bagniska niezmierne, jak morze, rozpaczliwie jednostajne... wszędzie małe jeziorka i kępki krzaków naprzemian, powtarzające się do nieskończoności. W powietrzu krążyły ptaki, lecz w całym tym krajobrazie przesłonionym drobnym deszczykiem i oświetlonym niepewnym światłem, nie dojrzał żadnego śladu mieszkań ludzkich.

— Co za tragedia! — wykrzyknął z rozpaczą — jestem sam jeden w świecie niezamieszkanym, gdzie nawet na nic się nie przyda unikać zguby i gdzie mnie w przyszłości oczekuje tylko zdziczenie w samotności!

Miał ochotę wołać głośno, krzyczeć i mówić do siebie:

— Przeklęci niech będą marzyciele i szaleńcy, którzy przypuszczają, iż planety niebieskie zawierają istoty i rzeczy prawdziwie nowe i nieznanne! Rozumiem teraz: Wszechświat jest wszędzie prawie jednakowy! Nic nowego pod słońcem i, niestety, nawet po za słońcem... Jestem ukarany za moją głupią dumę — umrę tu jak zapowietrzony — bez przyjaciół i pociechy, w samotności i rozpacz...

### I radość zabija...

Trzeba nam teraz powrócić na Ziemię, choć nie z tą szybkością, z którą Robert dosięgnął Marsa, po-

nieważ nie mamy jak on, potężnej pomocy duchownych indyjskich, ani cudownego przyrzędu, który służył bra-minowi do skupiania w jeden pęk rozproszonej woli tych ludzi.

Ralf, co zresztą jest bardzo naturalne, powoli oswa-jał się z nieobecnością swego przyjaciela Roberta; jednak zniknięcie jego, następnie ów list tajemniczy, zostały mu w pamięci jako wydarzenia szczególnie, niewytłomaczone, o których, nie chcąc się nimi zajmować, myślał jednak ciągle.

Chciał odsunąć od siebie myśli o tem wszystkim; wracały one jednak, opanowywały go, zasłaniając wszystko inne: bywały noce, w których Ralf budził się nagle, z wrażeniem, iż widział przy sobie Roberta, w którego oczach czytał surowe wymówki.

Pod wpływem tej zmory Ralf powrócił do starego domu przy ulicy Yarmouth.

Z dnia na dzień, pod działaniem wiatru i deszczu, budynek ten stawał się większą ruiną.

Brama wjazdowa, całkowicie spróchniała, opadała kawałami; wyrwane zawiasy zwisały na gwoździach— zamki znikły, sprzedane zapewne na wagę przez jakiegoś nocnego włóczęgę.

Ralf mógł więc wejść swobodnie w podwórze, zarosłe rozchodnikiem, wytrwałymi ostami i kaczyńcem, przyjacielem ruin. Wkrótce przejrzał wszystkie piętra tej starożytnej budowli, lecz nigdzie nie znalazł najmniejszej wskazówki.

Narażał się przytem na skręcenie karku na obluzowanych i połamanych schodach lub wpadnięcie w jeden z otworów, które deszcz wyżłobił na wylot w sufitach. Widocznem było, iż wkrótce dom ten stanie się zupełną

ruiną, z której pozostaną tylko grube mury i granitowe kominki z ciężkimi herbami, pochodzące z czasów królowej Elżbiety, lub Anny. Później zapewne zjawi się tu jakiś spekulant, parowe pompy, automobile, zastępy murarzy, którzy na miejsce tych szczątków wzniosą kilkunastopiętrowy dom dochodowy, zaopatrzone w instalacje elektryczne, windy i ogrzewanie centralne.

Tak myślał Ralf, schodząc zadumany z głównych schodów, z poręczą z kutego żelaza: nagle zatrzymał się, ujrawszy na spróchniałych stopniach coś błyszczącego. Schylił się i ujął w palce spory opał, wielkości małego ziarna bobu.

— Niewiele to warte, — mruknął — półtorej korony, gdyby się sprzedało; a kupując, najwyżej dwa suwereny...

Tu urwał i poblady nagle, zaczął się przypatrywać drogiemu kamieniowi mieniącemu się zielono i różowo.

Poznał go! Była to główka szpilki, którą Robert zwykle nosił w krawacie.

— Wciągnięto go tu i zamordowano! — zawołał z gniewem i smutkiem.

— Ależ nie, — dodał po chwili — to jest niemożliwe! Jakżeby wtedy wytłomaczyć pochodzenie owego zagadkowego listu? Któż inny mógł go napisać?

Ralf opuścił ulicę Yarmouth silnie wzruszony i przez cały wieczór umysł jego pracował nad tem zagadnieniem; wreszcie wpadł na pomysł tak prosty, że zaczął sobie czynić wyrzuty dlaczego wprzód o tem nie pomyślał!

Nazajutrz udał się do biura nieruchomości; tam po długim wyczekiwaniu dowiedział się, iż ów dom przy

ulicy Yarmouth, po stuletnim blisko procesie między indyjskimi i angielskimi spadkobiercami, od kilku miesięcy był własnością duchownego indyjskiego, nazwiskiem Ardavena.

Spadkobierca ów cieszył się wielkiem poważaniem swych współziomków, tak dla swej wiedzy, jak i wielkiego majątku.

Była to pierwsza poszlaka, pierwszy ślad!

Ralf postanowił prowadzić dalej swoje poszukiwania i zapewniwszy sobie protekcję znakomitego profesora Zoologicznego Ogrodu a swego przyjaciela, wysłał do rezydenta angielskiego w prowincji Kelamburum długi list, prosząc o szczegółowe informacje, co do osoby bramina Ardaveny, oraz przypuszczalnej obecności w klasztorze młodego inżyniera francuskiego.

Trzeba dodać, że położenie majątkowe Ralfa obecnie bardzo się polepszyło: w jednej z ostatnich swoich podróży szczęśliwy los uczynił go właścicielem znacznego skarbu, który mu pozwolił zaniechać roboty mniej korzystne.

Obecnie zamiast wypychania buldogów, lisów i papug, mógł się poświęcić całkowicie studjom z historii naturalnej i porobił wiele oryginalnych odkryć.

Podpisywał już własnem nazwiskiem uczone, pełne nowych spostrzeżeń rozprawy, które dawniej był zmuszony sprzedawać znanym uczonym, a ci osiągalni jego kosztem sławę i zyski.

Powoli wyrobił sobie dobre imię między prawdziwie uczonymi ludźmi, ogarniętymi czystą i bezinteresowną namiętnością wyświeltania prawdy.

Jego książka „O znikaniu ras zwierzęcych” narobiła wiele hałasu — portret jego pomieściły wielkie

czasopisma francuskie i angielskie. Jednak pomimo tych zapowiedzi przyszłej sławy, Ralf trzymał się uparcie swego sklepiku z wypchanymi zwierzętami. Miał w ten rodzaj zabobonu; przytem, będąc manjakiem, jak większa część uczonych, miał wstręt nieprzewyciężony do wszelkich zmian w życiu.

Żył teraz równie skromnie jak przedtem, zachowując swoje kapitały, złożone w Banku Królewskim, na jakie gienjalne przedsięwzięcie. Obecnie doszły one, razem ze wzrastającymi ciągle procentami, do poważnej sumy 150.000 funtów szterlingów <sup>1)</sup>).

Gdyby Ralf mieszkał w jakimkolwiek innym kraju, to tak dziwaczny tryb życia ściągnąłby na niego różne kłopoty — w Anglii, przeciwnie, podnosił jeszcze jego popularność: zdobył sobie opinię oryginała, odwiedzano jego sklepiki, którego wewnątrz nieraz fotografowano.

Wielkie damy z arystokracji prześcigały się w powierzeniu mu zamówień, a herbowe samochody nieraz się zatrzymywały, ku wielkiemu zakłopotaniu pani Pitcher — przed ich skromnym sklepem.

Ralf był więc człowiekiem znanym i cieszyła go myśl, że władze, do których się zwrócił po szczegóły co do bramina Ardaveny i Roberta Darvela, nie mogą mu tych wskazówek odmówić.

Po wysłaniu listu uspokoił się, a nawet uczuwał radość; jakiej nie doświadczał oddawna. Pracował z zapałem, badając przez mikroskop jajko ptaka Epiornis, nadesłane mu przed kilku dniami z Madagaskaru, gdyż i na tych spostrzeżeniach opierał teorię nową i nader ciekawą.

<sup>1)</sup> Około 1.500.000 rubli.

Wieczorem, dla odświeżenia zmęczonego umysłu, zaszedł raz do tawerny<sup>1)</sup> nad brzegiem Tamizy, gdzie się spotykało publiczność różnych narodowości i gdzie miał zwyczaj czytowania zagranicznych czasopism. Najprzód jednak wziął do ręki wielki dziennik londyński «Times» (Tajms — czas), a wzrok jego, przejrzawszy pobieżnie artykuł wstępny, padł na wielkie, czarne litery, tworzące następujący nagłówek:

#### ŚMIERĆ Z RADOŚCI.

O własnych siłach. — Dramaty spekulacji. — Nieużyteczne miljardy. — Miss Alberta nie umrze. — Jest nadzieja jej ocalenia.

«W chwili oddawania numeru pod prasę, dowiadujemy się o śmierci Johna Téramond, znanego i szanowanego ogólnie bankiera, którego zgon budzi żal ogólny między członkami giełdy londyńskiej. Śmierć ta nastąpiła w niezwykłych okolicznościach. Podczas wojny transwaalskiej, jak wiadomo, zmarił bankier należał do najśmielszych graczy na giełdzie. Po zawarciu pokoju, wbrew radom swych przyjaciół, włożył wszystkie swe kapitały w kupno złotodajnych gruntów, zbadanych poprzednio przez inżyniera francuskiego, Roberta Darvel, którego nieboszczyk darzył zupełnem zaufaniem, a z którym w końcu się poróżnił z błahych powodów.

«W początkach, wszystko szło doskonale;miny złotodajne, zgodnie z przewidywaniem francuskiego inżyniera, wydawały wielką ilość kruszcu, a bank J. Téramonda wypłacał akcjonariuszom bajeczne dywidendy.

<sup>1)</sup> Oberża, restauracja, knajpa.

«Wkrótce jednak żyły złota się wyczerpały, koszty prowadzenia robót, oraz reklamy urządzonej przez Bank, przewyższyły dochód. Wtedy akcje kopalni poczęły spadać gwałtownie; wykreślono je z listy papierów poważnych, a posiadacze ich zarzucili nimi giełdę, pragnąc ich się pozbyć za byle co.

«Każdy inny człowiek, zniechęcony stratami, byłby w ostatniej chwili wycofał choć część włożonych kapitałów i poszukał korzystniejszego interesu.

«Lecz zmarły bankier, głuchy na czynione sobie uwagi i przedstawienia, z niesłuchaną zawziętością trwał przy swoim. Wykupywał wszystkie akcje, których się pozbywano coprędzej, w czym mu nikt nie przeszkadzał, gdyż wieści z kopalni były coraz gorsze. Natrafiono teraz na pokład marglu, który, podług zdania wielu doświadczonych górników, miał stanowić granicę złotodajnych warstw.

«Bankier wierzył jednak w przyszłość kopalni, roboty były wciąż prowadzone bez przerwy, na co poświęcał resztki swoich kapitałów.

«W ostatnich czasach położenie bankiera było uważane za beznadziejne: jego przepyszna galerja obrazów została sprzedana, jak również wspaniałe obszary lasów w północnej Szkocji, gdzie urzędzał z księżącym przepychem polowania, gdy nagle wczoraj jedna depesza telegrafu bez drutu, z przyłądka Kap, zmieniła raptownie postać rzeczy.

«Po przebyciu pokładu marglu, gdzie się żyły złota kończyły, natrafiono na bogactwa, których obfitość przypomina czasy bajecznej wydajności pierwszych kopalń kalifornijskich: bryłki najczystsze złota, wydobyte stamtąd, ważyły po kilka kilogramów.

«W chwili, gdy ta nowina spadła jak piorun z jasnego nieba, na giełdę, pan Téramond kazał właśnie wystawić na sprzedaż swój pałac. Odebrawszy kilka jeszcze depeesz, potwierdzających to niesłychane powodzenie, nie mógł się oprzeć gwałtownemu wzruszeniu i padł martwy, jakby rażony piorunem.

«Radość go zabiła!

«Tego samego wieczoru akcje banku zrobiły skok z trzech funtów szterlingów na sto sześćdziesiąt i można łatwo przewidzieć, iż zwyżka ta jutro i dni następnych będzie jeszcze większą.

«Zmarły bankier zakończył życie w chwili, kiedy do jego kasy miała wpłynąć olbrzymia suma przeszło miljarda funt. szterlingów.

«Jedyna spadkobierczyni tego olbrzymiego majątku, miss Alberta Téramond, na wieść o tragicznej śmierci ojca, padła zemdlona i noc całą była między życiem i śmiercią.

«Obecnie jednak zdrowie jej polepszyło się o tyle, że lekarze sądzą, iż uda się ją uratować.

«W końcu nadmieniamy, że istniał zamiar małżeństwa francuskiego inżyniera, odkrywcy złotodajnych gruntów z miss Albertą, lecz nieporozumienia, jakie wynikły między p.p. Téramond i Darvelem, nie pozwoliły go urzeczywistnić.»

.....

Ralf odczytał powtórnie ów artykuł i zamyślił się głęboko.

Cały dzień następny spędził zamknięty w swem laboratorium, co mu się tylko wtedy zdarzało, gdy był pochłonięty jakąś ważną myślą.



Po trzech dniach, ubrany starannie i wyświeżony, zjawił się w pałacu Téramong, prosząc o przyjęcie go przez miss Albertę.

Początkowo doznał odmowy, gdyż młoda dziewczyna była cierpiącą i pogrążoną w smutku; poleciła prosić go, aby powtórzył swe odwiedziny później, gdyż obecnie nie przyjmuje nikogo.

Odpowiedź była stanowczą, lecz niezrażony Ralf powiedział służącemu, aby zawiadomił swą panią, iż gość chciałby jej udzielić ważnych wiadomości o inżynierze Robercie Darvel.

Słowa te wywarły skutek magiczny: w kilka chwil później wprowadzono Ralfa do małego saloniku, obciągniętego biało-zieloną materją, o sprzętach delikatnych i wytwornych.

Naturalista był pewnym, iż ujrzy bankierównę, jako modną lalkę, której życie zapelniają sporty, stroje i przyjęcia.

Ze zdumieniem zobaczył twarz poważną, o zamyślonych, niebieskich oczach, z włosami koloru jasnej miedzi. Wypukłe czoło, energiczny zarys podbródka i nosa, nadawały tej pięknej twarzy wyraz siły woli, odziedziczonej po zmarłym spekulancie.

Alberta wskazała swemu gościowi krzesło i rzekła głosem przenikającym a stanowczym, mimo wielkiej słodyczy:

— Panie Pitcher, jesteś pan jedynym człowiekiem, którego przyjąłem w tych ciężkich dniach, jakie przeżywam obecnie. A robię to z dwóch powodów: pan Robert Darvel wspominał mi o panu, a także znam pana z jego prac. Wiem, jak wielkim a zarazem skro-

mnym uczonym pan jesteś i jestem pewną, że nie trudziłbyś mię pan dla błahego powodu.

Te słowa proste i niewymuszone przywróciły Ralfowi natychmiast całą swobodę umysłu.

— Nie omyliła się pani — rzekł głosem przyciszonym — musiałem koniecznie panią zobaczyć; to, co powiem, może panią zadziwić, lecz zaręczam, że opowiem dokładnie zdarzenie prawdziwe.

Tu Ralf opowiedział tajemnicze zniknięcie Roberta, zagadkowy list oraz swoje ostatnie poszukiwania.

Miss Alberta słuchała, nie przerywając, a twarz jej w miarę opowiadania Ralfa ożywiała się; bolesne opuszczenie kątów ust zniknęło.

Wyprostowawszy się i podniósłszy głowę, rzekła:

— Wierzę najzupełniej we wszystko, co mi pan opowiedział i wzrusza mię przywiązanie pana do swego przyjaciela. Nie myśl pan, że to mówię bez powodu. Ciężkie chwile, jakie przeżywał mój ojciec przed tryumfem, który przypłacił życiem, dały mi drogo okupione doświadczenie. Wtedy opuścili nas wszyscy: wobec blizkiej ruiny doświadczyłam i gburowatości wierzycieli i pogardliwego obchodzenia się służby.

— Teraz — dodała, wznosząc dumnie głowę — powracają wszyscy! Prześcigają się w pochlebstwach, uniżoność zajęła miejsce szorstkości — wszyscy są przekonani, że pokierują łatwo młodą dziewczyną, nie mającą doświadczenia w interesach. Jakże się mylą! Mój ojciec zostawił mi nietylko swoje miljony, ale odziedziczyłam po nim także jego przezorność i siłę woli: przedsięwzięłam już wszelkie środki dla zabezpieczenia moich kapitałów i żaden z tych drapieżnych ptaków, krążących około moich pól złotych i cieszących

się nadzieją — nic nie zyska! Majątek mój liczy się na miljardy: lecz go użyję podług własnej woli. Gdyby mój ojciec żył jeszcze, wiem, że pozostawiłby mi zupełną w tym względzie swobodę: kochał mnie bardzo i raz jedyny między nami tylko doszło do sprzeczki, gdy mu zrobiłam zarzut niewdzięczności względem pana Darvela, którego kochałam i kocham. Wiem teraz już, co mam zrobić: powzięłam to postanowienie jeszcze przedtem, zanim pana poznałam.

— Co pani chce przez to powiedzieć?

— Chcę odnaleźć Roberta Darvel'a i zostać jego żoną; przyrzekłam sobie, że nie wyjdę za nikogo innego.

Serce Ralfa wezbrało radością; nie marzył o podobnym przyjęciu, a prawy i szczerzy, nieco szorstki, anglo-saksoński charakter Alberty, podobał mu się niewypowiedzianie.

— Pani — rzekł — widzę, że się zgadzamy zupełnie; nie przybyłem tu szukać pomocy pieniężnej, gdyż, choć w porównaniu z panią jestem ubogim, mam jednak w banku trochę pieniędzy, więc nie mówmy o tem...

— Więc czegoś pan chcesz? Jestem gotową dać panu czek bankowy na sumę, jakiej pan zażąda.

— Ależ tu nie chodzi o pieniądze — rzekł Ralf zniecierpliwiony. — Poznawszy panią, prosiłbym o nie bez namysłu, gdyby ich było potrzeba, lecz tu idzie o co innego. Pani jest teraz wszechwładną: najmniejsze jej życzenie będzie z pośpiechem spełnione. Proszę więc tylko o napisanie do Kelambrumu, a jestem pewny, że na odpowiedź nie będzie pani czekać. Czemże jest biedny wypychacz ptaków, a nawet mędrzec, wobec królowej złota, jaką pani jesteś?

— Jest w słowach pana wiele słuszności; napiszę natychmiast i poproszę pana o wysłanie tego listu. Pozwolę sobie jednak uzupełnić myśl pańską: trzeba wyznaczyć nagrodę w kwocie 5 tys. funt. sterlingów dla tego, kto będzie mógł dostarczyć wiadomości o panu Darvel.

— Nie pomyślałem o tem — zauważył naiwnie Ralf.

— Jestem prawdziwą córką swego ojca, nieprawdaż? Doświadczyłam teraz na sobie, jaką potęgą są pieniądze!

Usiadła przy swem biurczku z oliwnego drzewa, wykładanem srebrem i konchą perłową i za chwilę list był gotów.

Ralf powrócił do siebie, pełen nadziei.

W parę tygodni później był jeszcze w łóżku, gdy mu matka przyniosła, podług zwyczaju, dziennik poranny i listy wraz z imbrykiem, pełnym kawy.

Była to dla Ralfa jedna z najmiłszych chwil dnia; popijając powoli wonny, gorący napój, przeglądał pośpiesznie naukowe sprawozdania, namyślał się, układał plany prac swoich i wstawał zwykle dopiero wtedy, gdy mu przyszła jakaś nowa i ważna myśl do głowy.

Przeglądał właśnie z wielkiem zajęciem fotografie spektroskopowe różnych planet, kiedy wzrok jego padł na list ze stemplem cesarstwa anglo indyjskiego; otworzył go śpiesznie i zaczął czytać. Było to zawiadomienie urzędowe, datowane z Kelambrumu.

Wiadomości, zawarte w dokumencie, zredagowanym w stylu suchym, urzędowym, pogrążyły młodego naturalistę w głębokie zdumienie.

Wysłaniec angielskiego rezydenta zdawał, jak umiał, sprawę z katastrofy, wywołanej szalonym pomysłem

bramina Ardaveny, której widownią był klasztor Kelamburum. Stwierdził on stanowczo obecność młodego a nieznanego mu z nazwiska inżyniera francuskiego w czasie tego wypadku i zapewniał, że padł on ofiarą zuchwałego doświadczenia, czynionego w niewiadomym celu. Ten sam los spotkał kilkuset jogów, czyli bra-minów niższych stopni.

Zaledwie przeczytawszy list do końca, Ralf wyskoczył z łóżka, a ubrawszy się pośpiesznie, zbiegł szybko ze schodów i wskoczywszy do pierwszego lepszego samochodu, kazał się wieźć do miss Alberty.

Powrócił stamtąd bardzo zamyślony, lecz i zadowolony zarazem.

\*

\*

\*

Po ośmiu dniach, wszystkie dzienniki angielskie rozbrzmiewały niesłychaną, sensacyjną wiadomością.

Oto miss Alberta Téramond, świeżo zubożona milijarderka, nabyła za ogromną sumę statek, zbudowany podług najnowszych wymagań techniki i zbytku, a przeznaczony dla jednego z Vanderbiltów<sup>1)</sup> i udała się na nim w podróż. Dokąd? Nikt tego nie wiedział.

Niektóre dzienniki zapewniały, iż będąc równie czynną, jak jej ojciec, pojechała, aby sprawdzić naocznie dochody z kopalni złota; inne utrzymywały, iż wyjechała tylko w podróż dla rozrywki po morzu Śródziemnem.

Co jednak w tym tajemniczym wyjeździe rozbudzało do najwyższego stopnia już podnieconą ciekawość ogólną,

<sup>1)</sup> Znanych bogaczy amerykańskich.

to fakt, że młodej dziedzicze towarzyszył znany przyrodnik, Ralf Pitcher.

Najruchliwsi reporterowie wahali się z podaniem do druku swoich domysłów o małżeństwie skromnego wypychacza ptaków z miliarderką. Lecz cóż mogło być w tem innego?

Gubiono się w różnych przypuszczeniach.

### Zdobycie ognia.

Zniechęcenie Roberta Darvela nie trwało długo. Czując się bardzo zmęczonym, położył sporą wiązkę świeżej trawy, jako materac, w środku kolczastego krzaku jałowcu — i odpoczął na nim pięć do sześciu godzin.

Przegląd okolicy, którego dokonał przedtem, dał mu pewność, iż nie grozi mu żadne nagle niebezpieczeństwo: nie było tu ani mieszkańców, ani szkodliwych zwierząt.

Mógł zatem spać spokojnie. Po przebudzeniu się, ubierał kilka garści czerwonych orzechów, oraz kasztanów wodnych i grzybów. Ta uczta mogłaby zachwyć każdego jarosza, lecz Robert, nie będąc zwolennikiem jarstwa, obiecywał sobie, że natychmiast po obraniu miejsca zamieszkania, odda się polowaniu i rybołówstwu, wynajdzie sposób rozniecienia ognia i stworzy sobie jaknajwygodniejsze schronienie.

Był on obdarzony wyobraźnią twórczą; nie zabrał wprawdzie z Ziemi w swoją podróż ani okrętu, zawierającego konserwy i broń, ani też jego pocisk nie był zaopatrzony w udoskonalone narzędzia: musiał sobie

dostarczyć wszystkiego sam! Posiadał jednak gruntownie chemję, mechanikę i wszelkie nauki potrzebne wynalazcom; a te wiadomości były dla niego cenniejsze, aniżeli cała flotylla statków, naładowanych maszynami i żywnością.

Ułożył już sobie cały plan życia: najprzód wynajdzie jakieś mieszkanie, przysposobi narzędzia do rybołówstwa i polowania, zdobędzie ubranie i obuwie. Zabezpieczywszy jako tako swoje istnienie, wydobędzie, czy to z głębi skał, czy z szlamu błotnych jezior, czy z samego powietrza nawet, substancje potrzebne do wykonania wielkiego dzieła, które zarysowało się w jego umyśle natychmiast po obudzeniu się z zagadkowego snu.

Oto, korzystając ze swej znakomitej pamięci, potrafi naszkicować mapę lądów marsyjskich. (Przesiadywał nad nią nieraz na Ziemi i przedstawiała mu się z zupełną dokładnością w najdrobniejszych szczegółach). Dla uczynienia jej wyrazistszą, używać będzie nazw, nadanych kanałom i morzom przez astronomów ziemskich: Erebus, Titanum, Arcus, Gigantum, Cyclopum, Nilusi t. p. Dzięki rozległym wiadomościom astronomicznym, potrafi wybrać miejsce najwidoczniejsze dla Ziemi i musi wynaleźć sposób urządzenia sygnałów świetlnych, jak niegdyś w Syberji. Tylko tym razem odtwarzać będzie litery, lub też znaki telegraficzne systemu Morse'a.

— A wtedy — zawołał radośnie — niepodobna, aby po jakimś czasie nie zauważono moich sygnałów! Odpowiedzą mi swojemi i w ten sposób ustali się komunikacja między mną a Ziemią.

Opowiem szczegółowo moje nieprawdopodobne przygody; stary Ardavena będzie zmuszonym w celu sprowadzenia mię z powrotem na Ziemię, użyć tych samych środków, za pomocą których wysłał mię tutaj.

Powrócę na Ziemię wzbogacony nową umiejętnością, doprowadziwszy do skutku najzuchwalsze z przedsięwzięć, na jakie człowiek kiedykolwiek się odważył

.....

Odkąd zuchwały zamiar powrotu na Ziemię zabył przed oczami Roberta, zaszła w nim wielka zmiana. Znikło zniechęcenie, niepewność i niepokój pierwszych chwil: teraz czuł w sobie odwagę i siłę, zdolną zwyciężyć wszelkie przeszkody.

Wyszedłszy z koleczastego krzaku, w którym spał, przeciągnął się radośnie i rozejrzał wkoło. Wilgotny i płaski krajobraz, z mnóstwem suchej trzciny, nasunął mu myśl o pięknym, jasnym ogniu; osłoniony cienką bawełnianą tkaniną, drżał z zimna i powiedział sobie, iż przedewszystkiem musi się postarać o ogień, gdyż w tym kraju chłodnym życie bez niego było niemożliwym.

Postanowił więc wyszukać krzemień, oraz metalowy pocisk, który go tu przyniósł i wykrzesane zeń krzemieniem iskry zebrać na suchy mech. Lecz w ciągu ostatniej doby chodził tak wiele w różnych kierunkach, iż nie mógł trafić do tego miejsca, gdzie leżał pocisk.

Błądził tak, zmieszany, gdy z zarośli zerwało się stado wielkich ptaków, wydających gardłowe krzyki. Mimowoli Robert chwycił spory kamień i rzucił w tę gromadę; zrećność jego, czy przypadek sprawiły, iż jeden z ptaków spadł ze złamanem skrzydłem, podczas



gdy reszta uciekała, wrzeszcząc chrapliwymi głosami coraz donośniej.

Robert chwycił zranionego ptaka za nogę i pomimo wściekłych jego uderzeń dziobem, udusił go wreszcie, z wielkim trudem.

Ptak, podobny do dropia, był większym, niż gęś; upierzenie miał na grzbiecie i skrzydłach brunatne, spód ciała zaś pokrywał biały, nadzwyczaj gęsty puch.

— Jak widzę, mogę mieć wkrótce pierzynkę puchową — zawołał, śmiejąc się, Robert — ten piękny puch nie ustępuje wcale edredonowemu!

Tak rozmawiając ze sobą, zabrał się do skubania ptaka, czego wreszcie po dłuższej pracy dokonał.

Znalazłszy potem kawałek kamienia, dzielącego się na warstwy, jak łupek, oddzielił odeń cienki kawałek, któremu nadał kształt trójkąta, zaostrzył brzegi jego na skale i osadził go w kawałku drzewa.

Za pomocą tego pierwotnego noża, oczyścił i pokrajał na części ptaka, a chociaż, w braku ognia, musiał jeść teraz surowe mięso, jednak po długim wygłodzeniu smakowało mu ono wybornie i dodało sił.

Na pierwszy raz zjadł oba uda ptaka, resztę zaś zawiesił w kolczastym krzaku, który mu służył za sypialnię. Był pewien, że przed wieczorem wynajdzie sposób rozniecenia ognia i będzie miał już na wieczrę pieczone mięso; potem, z wyparowanej wody morskiej zrobi zapas soli, a gdy nabierze sił, potrafi urządzić sobie wygodne schronienie i zdobyć broń, bez której nie wyruszy na przegląd dalszej okolicy!

Przez resztę dnia był gorączkowo czynnym; postępując się swoim niezgrabnym, lecz ostrym nożem, ścinał młode drzewko z żywicznym zapachem, należące

do rodziny iglastych. Pień jego cienki, gładki a prosty, nadawał się wybornie na łuk; Robert przypomniał sobie, iż w wiekach średnich używano na łuki cisu lub innych drzew żywicznych.

Po godzinie pracy, miał już wyborny łuk, równo zgięty, długości około 2 metrów. Złamał wprawdzie na nim swój nóż łupkowy — lecz to drobnostka — łatwo na to poradzić!

Pozostawała do zrobienia cięciwa. Skąd ją wziąć? Przyszło mu na myśl powyciągać nitki ze swojej płachty bawełnianej, pozwiązywać je i skrócić z nich sznurek: okazał się dość mocnym, a natarty żywicą drzewną, zrobił się śliskim i gładkim. Odłamkiem noża naciał dużo kawałków gładkiej trzciny, które w jednym końcu zaopatrzył w ostrza krzemienne, a w drugim nasadził piórami — i miał wyborne strzały.

Był zachwycony swoim dziełem! Żaden z uczonych wynalazków, dokonanych przez niego dawniej, nie sprawił mu tyle radości, co ten łuk!

Cieszył się nim, jak dziecko nową zabawką i wypróbowywał różne sposoby strzelania z niego.

Zajęcie to nie przeszkadzało mu zauważyć gromady ptaków, podobnych do zabitego przed kilku godzinami: poderwały się one z blizkiego bagna.

Robert, schowawszy się za pień drzewa, próbował swej nowej broni z najlepszym skutkiem: siedm ptaków padło, przesytych strzałami na wylot.

Dobił je swoją pałką drewnianą i zawiesił z tryumtem w swojej «śpiżarni» czyli krzaku kolczastym. Teraz był pewien, że nie umrze z głodu.

Później przysposobi sobie z puchu tych ptaków, których mógł teraz nazabijać potrzebną ilość, miękkie

materace i poduszki; a młoda kora brzozy i sitowie, muszą, odpowiednio przyrządzone, dać materiał na pokrycie puchu.

Drżąc z zimna pod mglistym niebem, widział się w niedalekiej przyszłości okrytym ciepłym ubraniem, uplecionem z sitowia, a podwatowanym puchem drobia: także czapka dopełni stroju — ach! wtedy drwić będzie z chłodu! Z kości ptaków wystruże sobie igły, haczyki do wędki oraz szydła, a z delikatnego ich tłuszczu, z dodaniem czerwonej glinki — mieć będzie atrament.

Spodziewał się wreszcie odnaleźć szczątki metalowego pocisku, które potrafi przerobić na broń i narzędzia wszelkiego rodzaju: siekiery, noże, piły, młotki i t. p.

— Ale do tego wszystkiego jest mi niezbędnym ogień — muszę go zdobyć... to nawet nie musi być trudnym, tylko trzeba wpaść na jakiś dobry pomysł

Zachęcony dotychczasowem powodzeniem, Robert był najlepszej myśli i puścić się w drogę powrotną ku skalistym pagórkom. Podczas drogi zbierał troskliwie suche liście i mech, tarł je w palcach na proszek i składał na wielkim liściu nenufarowym, zerwanym poprzednio.

Kiedy uzbierał już sporo tego proszku, wyszukał dwa krzemienie, a uderzając jeden o drugi, próbował wydobyć iskrę zapalić improwizowaną hubkę — na próżno jednak! Drobnutkie iskierek gasły, nie zapalając suchych liści.

Brak krzesiwa dotkliwie uczuwać się dawał. Na próżno dodawał do liści sproszkowanej żywicę: nic to nie pomagało.

Wieczorem, spożywszy kawał mięsa, ociekającego krwią, rozciągnął się na postaniu z liści, lecz usnąć nie mógł. Zimno mu było, a oprócz tego groźne pomruki i ryki zwierząt leśnych przejmowały go dreszczem.

Zdenerwowany swem niepowodzeniem, postanowił pochodzić trochę przy jasnym świetle Phobosa i Deimosa, tak dla rozgrzania się, jak i dla uspokojenia nerwów; lecz zaledwie doszedł do brzegu trzęsawiska, zatrzymał się zdumiony. Gęsta mgła, unosząca się z ziemi, sięgała mu do ramion — lecz wyżej, powietrze było czyste, a niebo pogodne. W tej mgłę błyszcząco mnóstwo małych niebieskawych płomyków, które w ciągłym ruchu zapalały się, gasły, leciały, to się zatrzymywały, znikaly i znów się ukazywały, kapryśne i płoche.

— Błędne ogniki! — zawołał z zachwytem.

I natychmiast w myśli mu stanęły stare legendy, opowiadane w dzieciństwie przez niańkę, lub czytane w pięknych książkach ze złoconymi brzegami, otrzymywanych jako nagrody, i westchnął ciężko...

Jakże teraz była od niego daleką Ziemia, dzieciństwo i ci wszyscy, których kochał! Miał się tu zesterzać samotny w tem pustkowiu, zapomniawszy nawet dźwięku głosu ludzkiego!..

Szczęściem jednak nie tracił na długo odwagi — i teraz, człowiek nauki wziął szybko górę nad uczuciowym marzycielem.

Tak.. to błędne ogniki! — wyrzekł głosem tak poważnym, jak gdyby zdawał najwyższy egzamin — i mówił dalej: jest to gaz błotny, wydobywający się z trzęsawisk. Powszechnie mniemają, że płoną one

z powodu fosforu, wydobywającego się z materji, będących w stanie rozkładu w wodzie stojącej...

Lecz nagle, porzucając ton poważny, zawołał:

— Do licha! Cóż ja robię najlepszego! pocóż mam szukać innego ognia, kiedy go mam tyle pod ręką... tylko się schylić i brać, ile trzeba!

Wiedział jednak dobrze z bajek i z nauki, że błędne ogniki są nadzwyczaj kapryśne, za zbliżeniem się uciekają, a odchodzących gonią, skaczą lub gasną za najlżejszym podmuchiem powietrza. Postanowił więc o tem pamiętać. Ułamał dwa kije proste i długie, a zbliżywszy się do miejsca, gdzie było najwięcej płomyków, zaczął jednym kijem poruszać szlam bagniska.

Małe bańki gazu zaczęły wyskakiwać z bulkotaniem na powierzchnię i zapalać się od sąsiednich ogników. Przez chwilę błysnął prawdziwy, jasny płomień. Teraz Robert rozszczepił jeden kij na końcu ostrym krzemieniem i włożył w rozszczepienie pęk suchego mchu, startych liści i nitek bawełnianych ze swojej opończy. Serce jego biło gwałtownie. Drżącą ręką ujął kij i poruszył nim błoto; a gdy błysnął jasny płomyk, przytknął do niego kij z mchem. Za pierwszym razem nie udało mu się, lecz po kilku próbach mech się wreszcie zapalił. Jakże starannie rozdmuchiwał ten słaby ogienek, jak pędził z nim do swego schronienia, aby go podłożyć pod suche, przygotowane wprzód gałęzie!

Nakoniec, niby drugi Prometeusz, ujrzał z nieopisaną radością jak mały płomyczek rośnie, wzbija się w górę, podsycany małemi a potem i wielkimi gałęziami, aż utworzył się z nich prawdziwy stos, przy którym ogrzewał się z rozkoszą.

Grzejąc swe ręce nad ogniem, biedny samotnik pomyślał, że jest zapewne pierwszym człowiekiem, który zapalił ogień na Marsie...

Kiedy gałęzie się przepaliły, nagarnął na duży kawał łupku sporo węgla żarzących się jasno i zaniósł ten skarb do swojej jaskini. Tego wieczoru jadł na wieczerzę mięso pieczone na węglach, które mu nadzwyczajnie smakowało, a przykrywszy węgle wielką ilością gałęzi, ażeby do jutra nie wygasły, usnął, kołyszany rozkosznymi marzeniami.

### Spotkanie z potworem.

Po kilku godzinach orzeźwiającego snu, Robert wstał, choć dzień jeszcze nie świtał i wyszedłszy z jaskini, skierował się ku morzu, które w tym miejscu tworzyło zatokę, daleko w ład zachodzącą. Oba księżycy świeciły jasno i widać było, że czerwony, z odcieniem fioletowym, piasek wybrzeża usiany był różnokolorowymi muszlami: były tam różowe, pomarańczowe, czerwone i żółte, trafiały się niekiedy i lazurowego koloru.

Znalazł też szczątki skorupiaka ogromnych rozmiarów, którego dziwaczny kształt zastanowił go.

Szeroki a krótki tułów, pokryty twardymi tarczami, miał długość wzrostu człowieka: nogi nieproporcjonalnie krótkie, miały zaledwie parę cali długości. Zwierzę to za życia musiało się więc poruszać nadzwyczaj wolno, Dwie przednie nogi, zakończone groźnymi kleszczami, były nadmiernie długie.

Robert odłamał jedną z tych nóg, mając zamiar zachować ją jako osobliwość, lub mieć za broń w razie

potrzeby. Zabawiał się, tak jak to czynił niegdyś na Ziemi, wynajdywaniem w piasku muszli, których obecność zdradzały dołki regularnego kształtu; wydobyl w ten sposób kilka, wielkości ostryg, a otwierając skorupy, zjadał znajdujące się w nich ślimaki: okazały się nader smaczniemi.

Doszedł do małego jeziora, pozostałego po odpływie morza — i gdy w nie spojrział, zobaczył w czystej i płytkiej wodzie, stworzenie w rodzaju polipa niewielkich rozmiarów, lecz zaopatrzonego w niezliczoną ilość długich ramion. Wyciągnął rękę, aby go schwytać. lecz w tejże chwili zwierzę znikło bez śladu, jak gdyby się roztopiło w wodzie, lub wsiąkło w ziemię.

Spojrzawszy na ziemię, Robert zauważył w wilgotnym piasku rodzaj rozety, utworzonej z mnóstwa małych otworków w piasku, jak gdyby na nim odcisnięto spód wielkiego durszlaka. Domyślając się obecności w tem miejscu jakiegoś fantastycznego skorupiaka, zaczął odłamaną od szkieletu kraba nogą kopać piasek. Odkrył w ten sposób w każdym z owych małych otworków długiego, białego robaka z czerwoną głową, lecz pomimo wszelkich wysiłków, nie mógł żadnego wydobyć z jego kryjówki.

Gubił się więc w domysłach, przypuszczając, że ma przed sobą jakieś stworzenia morskie, żyjące gromadnie, jak niektóre owady. Gdy tak rozmyślał, naraz wszystkie owe robaki znikły jednocześnie, a piasek zasunął się powoli nad niemi.

— Cóż za dziwna rzecz! — zawołał Robert — muszę się dowiedzieć, co tam siedzi pod tym piaskiem!

I schwyciwszy wielką muszlę, zaczął nią, jak łopata, kopać piasek. Wkrótce wykopał spory dołek, który zaczął napełniać się przesiąkającą przez piasek wodą.

Nagle w tej wodzie coś się zakotłowało i kłęb widzianych poprzednio robaków ukazał się raptownie, zbitych w jedną masę, tworzących jakby krzak koralu białych z czerwonymi razem splecionych. Wszystko to mieniło się połyskami opalu i perłowej konchy.

Robert cofnął się instynktownie, a w tejże chwili jakaś masa nieokreślonego kształtu wyskoczyła z dołu, napełniającego się wodą, na piasek wybrzeża.

Robert stał bez ruchu, zdumiony i przerażony: to, co widział, przechodziło w grozie najdziwaczniejsze zmory.

Wyobraźcie sobie twarz ludzką prawie, lecz wielką i jakby obrzękłą, utworzoną z masy przejrzystej i klejowatej. Oczy pozbawione powiek, patrzyły lodowatym wzrokiem, a drżące, wielkie nozdrza i ogromna paszcza o zębach czarnych, miały wyraz srogi i odrażający.

To fantastyczne oblicze było otoczone długimi białymi mackami, które Robert wziął za robaki morskie — a były ich setki!

Młodego człowieka przejął ten potwór większą zgrozą, aniżeli widok lwa lub tygrysa. Ta nieokreślona istota była jakimś potwornym zlepkiem polipa i człowieka i Robert, zapominając o grożącym mu niebezpieczeństwie, miał przerażające widzenie planet, które zaludniali ludzie-rośliny, ludzie-płazy, ludzie-owady...

Kształty ich były olbrzymie, inteligencja dorównywała naszej, a nawet ją przewyższała. Czyż to było niemożliwym? przecież wiele stworzeń na ziemi, np. słonie, posiadają prawie ludzki rozum!



Robert był zawsze zdania, że wszystkie, nawet najszaleńsze wytwory naszej wyobraźni, istnieją gdziekolwiek we wszechświecie, a możliwości ich istnienia dowodzi fakt, że umysł nasz mógł je sobie wyobrazić.

Myśli te jednak zostały raptownie przerwane, a uwaga zwrócona na szczególnego i groźnego przeciwnika. Obecnie straszdyłło to leżało na piasku jak spłaszczony krąg, przypominając słońce, rysowane przez dzieci: twarz ludzką, otoczoną dokoła promieniami. Lecz ze zmianą kształtu zmieniła się i barwa jego; na czerwonym piasku przybrało tenże sam kolor, jak to czynią polipy i kameleony. Była to teraz masa bezkształtna, klejowata, w której wszelkie podobieństwo do twarzy ludzkiej znikło bez śladu.

Robert nieco ochłonął z wrażenia i miał już odejść, gdy potwór dzwignął się z ziemi i po raz trzeci przeraził go zmienionym wyglądem.

Teraz było to jakby ogromne koło, pędzące po ziemi z zawrotną szybkością; długie, białe macki były wyprężone a wśród nich twarz ohydna, nabrzmiała, z wargami obwisłymi, miała jakiś wściekły wyraz. Jeszcze raz zmieniła ona barwę i była teraz krwistoczerwoną, a w tej czerwieni białawe i wypukłe oczy wyglądały przerażająco.

Ten szalony bieg po piasku nasunął Robertowi myśl, że potwór ucieka przed nim, aby się ukryć gdzieś indziej — lecz wkrótce poznał swoją pomyłkę! Dziwaczny jego przeciwnik okrążył go wielkiem kołem i pędził wciąż, bez ustanku, zataczając coraz to ciśniejsze kręgi.

— Widocznie jest to zwykła taktyka tego wielonoga marsyjskiego — pomyślał Robert — chce mnie olśnić,

przerazić i niejako zahypnotyzować przez swe nagłe rzuty i przemiany barwy i kształtu; ale przecież nie dopuszczę do tego, aby się rzucił na mnie!

Puścił się zatem w drogę, ku złożonemu z czerwonych drzew lasowi, o którym mówiliśmy powyżej, aby na drzewie znaleźć schronienie przed tym dziwnym wrogiem; zauważył jednak wkrótce ze zdziwieniem a następnie ze zgrozą, że potwór ten nie ustając w biegu, jest jednak ciągle między nim, a lasem! Nie mógł też oderwać od niego oczu: jakaś dziwna władza przykuwała wzrok jego do tej masy dziwacznie mieniającej się różnemi kolorami: to lśniła polyskami drogich kamieni w podwójnem świetle księżyców, to za chwilę znów stawała się szara, wstrętną galareta...

Uczuł wkońcu zmęczenie i zawrót głowy; zauważył też z przerażeniem, że wpatrzony w ruchy szybkiego wroga, oddalił się od zbawczego lasu a zbliżył do trzęsawiska, pokrytego porostami różnego rodzaju.

Postanowił otrząsnąć się z tego uroku.

— Jeśli się nie wyrwę z tego zaczarowanego koła— zginę napewno! — wyszeptał. — To ohydne stworzenie wpadnie na mnie i otoczywszy mię swemi tysiąciami mackami, za pomocą brodawek na nich umieszczonych, wyssie krew moją co do kropli. Brońmy się więc! ten ludzki polip nie musi być inaczej zbudowany, jak podobne mu ziemskie stworzenia!

I ujawszy mocno nogę olbrzymiego kraba, poszedł z nią wprost na głowonoga.

Ten zaczął uciekać, zapewne w celu odprowadzenia Roberta w stronę morza: lecz on nie dając się tym złudzić, szedł wciąż prosto w głąb ładu, nie zważając na napastnika. Wtedy ten zaczął go gonić, trzymając

się jednak w odległości, zabezpieczającej go od uderzeń improwizowanej maczugi. Robert całą swą uwagę zwrócił na tę nową taktykę potwora, gdy wtem uczuł ostry ból w nodze: dotknął się tego miejsca i stwierdził ze zgrozą, iż drugi głowonóg, zagrzebany w piasku, otoczył mu nogę kilkoma ramionami i począł wysysać z niej krew.

Ujrzał się zgubionym: teraz zginie na tych piaskach, pożarty przez ohydne zwierzęta..

Wściekłość go ogarnęła; zaczął zadawać maczugą silne, szybkie uderzenia, miażdżąc macki, dążące do ogarnięcia go całego.

Pochłonięty tą walką, zapomniał o pierwszym wrogu — oswobodziwszy z trudem swą nogę, już się wyprostowywał, gdy wtem... krzyk rozpaczliwy wyrwał mu się z piersi: jakiś wielki ciężar spadł mu na ramiona. Poczł że ciało jego oblepia jakaś masa śliska, galaretowata...

Za chwilę, nieznośne mrowienie się, przesuwanie się po całym ciele lepkich, lodowatych ramion, które otaczają jego twarz, tamują oddech...

Ogarnęło go uczucie niewypowiedzianej odrazy.

Zrozumiał, że pierwszy napastnik, skorzystawszy z jego zajęcia się drugim, rzucił się na niego.

Może nawet obydwie potwory były w porozumieniu?

Wszystka krew spłynęła do serca nieszczęśliwego: musiał użyć całej siły woli, aby nie uleść i znaleźć się do obrony.

Uczł wielkie, obwisłe wargi na swojej czaszce, podczas gdy lodowate macki przesuwały się po nim, szukając zapewne większych żył i arterji, aby więcej krwi wysssać. Olbrzymi ciężar przygniatał go ku ziemi,

nogi się ugiwały, a odrażająca woń, mdła i ostra zarazem, sprawiała mu nudności — pomimo tego bronił się rozpaczliwie.

Wstrząsał całym ciałem, rozdzierał i szarpał paznokciami lepkie ciało, z którego wypływała mu na ręce jakaś ciecz...

Nic to nie pomagało! Co chwila w nowem miejscu uczuwał ból ostry, piekący, tysiące brodawek wysysało krew z jego szyi, twarzy, bioder...

Uczuł, że słabnie i doprowadzony do szaleństwa, zaczął biedz w głąb łądu; lecz potwór trzymał się mocno i nie opuszczał ani na chwilę.

Na domiar nieszczęścia, uderzył nogą o kamień, wystający z piasku i straciwszy równowagę, upadł ciężko na piasek...

To było ostateczną klęską. Uczuł, że życie go opuszcza, wysysane tysięcznymi lodowatemi ustami odrażającego stworzenia, było mu coraz słabiej... słabiej... W końcu ogarnęła go noc — utracił przytomność...

. . . . .

Kiedy ją odzyskał, uczuł się niesłuchanie osłabionym, jakby oszołomionym. Był zbolełym, jak po przejściu snu, spowodowanego narkotykiem; miał uczucie, że podczas snu pogryzły go tysiące jadowitych owadów i ujrzał ze wstrętem, że jest pokryty lepka, ciągnącą się masą.

Wstał z wysiłkiem i rozejrzał się wkoło.

To jednak, co ujrzał, wróciło mu pamięć jego strasznego położenia: o kilka kroków od niego, wstrętny głowonóg, którego o mało nie padł ofiarą, szamotał się w kurczach przedśmiertnych, przygnieciony przez jakieś dziwaczne stworzenie.



Wściekłość go ogarnęła, zaczął zadawać maczugą silne, szybkie uderzenia ...

Robert wziął to początkowo za wielkiego ptaka, lecz po bliższem przyjrzeniu się, okazało się podobniejszym do olbrzymiego nietoperza.

Pojał łatwo, co zaszło podczas jego omdlenia.

Podczas gdy głowonóg wysysał jego krew, został sam pochwyconym przez innego nieprzyjaciela, łakomego na jego mięso, tak jak u nas mewy i albatrosy pożerają różne mięczaki, pozostałe po odpływie na piasku.

Chwila namysłu dała Robertowi poznać, że nie może się spodziewać niczego dobrego od tego wybawcy.

Zebrał resztę sił i odwagi i nie oglądając się na to, co się dzieje na wybrzeżu, pobiegł, jak mógł najprędzej, w stronę swego schronienia i rozciągnął zboleiałe ciało na posłaniu z mchu, ułożonem w bliskości ogniska, które szczęściem jeszcze nie wygasło.

Wkrótce zapadł w sen ciężki, a jak śmierć, głęboki...

## W a m p i r.

Zaledwie Robert usnął, gdy po kilku minutach został rozbudzony uczuciem tak przykrem i szczególnem, iż początkowo wziął je za zmorę senną. Zdawało mu się, że usiadł mu na piersiach wielki, tłoczący ciężar, a jednocześnie uczuł na szyi, w pobliżu ucha, bolesne ukąszenie.

Wyciągnął mimowoli rękę i palce jego napotkały, z uczuciem wstrętu, coś ciepłego a miękkiego jak puch ptasi, lub włochata skóra nietoperza. Jakaś ciemna masa wzniosła się nad nim z cichym szelestem, a wzrok jego napotkał w ciemności dwoje oczu wielkich i błyszczą-

cych; jednocześnie uczuł mocne uderzenie w skroń, które go prawie pozbawiło przytomności.

Chciał krzyknąć, wołać pomocy, lecz ogarnęło go uczucie takiej zgrozy, że wydał tylko jakies żalodne łkanie.

Przebudzenie i walka z nowym wrogiem trwały zaledwie dziesięć sekund, lecz wyczerpały go strasznie. Widział wciąż błyszczące w ciemnościach oczy jego, gdy się nad nim unosił, gotów do nowej napaści.

Robert pojął, że ta planeta, którą uważał za zupełnie pustą, była zaludnioną straszliwymi zwierzętami, niekształtnymi resztkami tworów pierwotnych, gotującymi mu zgubę nieuchronną.

Musi tu zginąć bez wszelkiej pomocy i obrony!

Jednak, pomimo strachu, ścinającego mu krew w żyłach, w umyśle jego błysnęła myśl o potężnym środku obrony.

— Ogień! — zawołał chrapliwym głosem — ogień! Te nocne straszzydła muszą go się zląknąć!

Skoczył, jak szalony, ku wpół przygasłemu stosowi i wyciągnąwszy z niego tlejącą jeszcze głównię, rzucił ją w kierunku swego nieprzyjaciela.

Błysk jej oświecił przez kilka chwil zjawisko prawdziwie piekielne, godne zająć miejsce przy potworach wyśnionych przez wieki średnie.

Wyobraźcie sobie nietoperza, wielkości człowieka, lecz o skrzydłach mniej rozwiniętych; błony ich były rozpięte wzdłuż całej ręki, zakończonej długimi szponami i schodziły wzdłuż żeber aż do bioder. Podobne szpony zakończyły też stopy i na nich to właśnie zawiesił się u grubej gałęzi potwór, który ugryzł Roberta.

Ten spoglądał ze strachem i odrazą na to nowe a wstrętne zjawisko. Dla nieszczęsnego wygnańca z planety rodzinnej, wszystko w nim było wstrętne: i brudno-żółty kolor błon skrzydłowych i twarz podobna do ludzkiej, lecz z wyrazem chytryści i okrucieństwa—i wargi ogromne, krwisto-czerwone... Całości dopełniały oczy mrugające, otoczone czerwoną obwódka, oraz nos krótki i mocno zadarty, jak u buldoga; długie, kończaste uszy sterczały po bokach głowy.

Ujrawszy tę poczwarę przy blasku płomienia głowni, Robert chwycił z ogniska drugi kawał płonącego drzewa i rzucił w tymże kierunku.

I ten pocisk nie chybił celu; wampir, sparzony w nagie ciało, oślepiiony blaskiem nieznośnym dla jego przywykłych do ciemności oczu, wydał krzyk bolesny, po którym nastąpiło łkanie żałosne, a ponure — i spadł z gałęzi na ziemię, wirując w powietrzu.

Zachęcony tem powodzeniem, Robert podbiegł ku niemu z trzecią głownią, chcąc go dobić — lecz wampir, przerażony widokiem ognia, zaczął niezgrabnie skakać, jak kangur, na prawo i lewo, nie przestając jęczeć głosem prawie ludzkim. Wpadł wreszcie między krzaki i zniknął z oczu Roberta, który był już pewnym schwywania go.

Nieco uspokojony, młody człowiek powrócił do ognia, a podsyciwszy go kilkoma kawałkami drzewa, zaczął rozmyślać o przygodach tej nocy i swem cudownem ocaleniu, przyczem, jak wszyscy samotnicy, myślał głośno:

— Nie zdaje mi się — mówił — aby mi w dzień grozić miało to szkaradne stworzenie, które mię napadło we śnie; (tu dotknął małej ranki za uchem, z której



jeszcze krew płynęła). Te wampiry są wyłącznie nocnymi stworzeniami. Ale już się teraz będę miał na bacności; powiadają, że człowiek ostrzeżony starczy za dwóch. Jak na teraz, muszę mieć ogień i czuwać; a gdy się tylko rozjaśni, wyszukam jaką grootę, do której wejście zatarasuję wieczorem gałęziami i kamieniami. Urządzę sobie lampę z mięszu sitowia i ptasiego tłuszczu — no i będę miał ogień, jako środek obrony przeciw różnym straszidłom!

Pomimo tych i jeszcze innych argumentów uspokajających, Robert nie mógł myśleć bez drżenia o straszliwym stworzeniu, którego obraz widział zawsze dokładnie, ile razy tylko przymknął powieki.

Najmniejszy szmer liści, najcichszy szmer krzaków lub trzciny podrywał go ze spoczynku; drżąc z przerażenia i wstępu, nasłuchiwał z niepokojem, gdyż zdawało mu się, że słyszy w ciemności delikatny szum włochatych, błoniastych skrzydeł.

— Ale co poradzić, jeśli ten pierwszy potwór naprowadzi inne? — zapytywał się ze strachem. — Czem zdołam się obronić przeciw całej ich gromadzie, jeżeli zużyję wszystkie główne z ogniska?

Widział się powalonym na ziemię i rozszarpanym na sztuki przez stado straszyleł o wargach obwisłych, krwawo-czerwonych, oczach złośliwie mrugających.

Zawrotny strach przed czemś tajemniczym przenikał go do głębi. Któż wie, jakie go jeszcze walki czekają, jakie niebezpieczeństwa ze strony nieznanych zwierząt, któremi zapewne zaludnionym jest ten pęsnny świat?

Dreżony temi myślami, ujrzał z uczuciem ulgi i radości, wschód słońca; przez mgłę świeciło ono blade, przyćmione, rozjaśniając wody pokryte ciemną trzcina.

Śmiał się, śpiewał i kpił sobie teraz ze wszystkich wampirów; światłość dzienna wróciła mu wiarę we własne siły, która tworzy wielkich ludzi i wielkie wydarzenia.

— Doprawdy — rzekł, śmiejąc się — jestem ostatnim tchórzem! Z moją siłą mięśni, podwojoną wskutek zmniejszonego przyciągania, wytlukę wszystkie wampiry! No, a teraz zabierzmy się do śniadania!

Świadomość niebezpieczeństwa dodała mu siły i odwagi — czuł się dość silnym do zniesienia tego, co go mogło czekać w tym dniu, rozpoczynającym się za ledwie.

Przejrzał się w jeziorku wody, aby zobaczyć ranę na szyi; była niewielka, lecz dała mu do myślenia.

— Do licha! — zawołał — możnaby myśleć, że te potwory znają dobrze anatomję... ta rana jest na samej arterji szyjnej!

Przyłożył na ranę pogniecione wonne zioła, które mu się wydały podobne, jedno do mięty, inne do rozmarynu, melisy lub szalwji.

— Oto ciekawe odmiany! — mruknął — podaruję je ogrodowi Muzeum paryskiego, gdy powrócę na Ziemię!

Udał się potym do swojej «szpizarni», której wampir, na szczęście, nie opustoszył; przyrządził sobie na śniadanie kawał soczystej pieczeni z wodnemi kasztanami, które mu zastępowały chleb i jarzyny.

Po śniadaniu wybrał się w drogę: wziął swój łuk, strzały, resztę mięsa z zabitych ptaków przywiązał sobie na plecach za pomocą sznurków z sitowia, a wrzucawszy na ogień sporo gałęzi — puścił się w podróż.

Miał jednak tyle ostrożności, że idąc przez bagnisko, pokryte trzcina, co kilkanaście kroków łamał

jej zdźbła, aby w ten sposób trafić do swego schronienia i ognia.

Szedł już przez kilka godzin, wesoło, ponieważ niebo czyste nie zapowiadało deszczu, który mógł zalać jego ognisko, gdy nagle drogę mu zagroziło miejsce, porosłe łożyną, nieznanego gatunku, o żółto-czerwonej korze, która iskrzyła się i gorzała w blasku porannego słońca.

Przez środek tych zarośli szła aleja równa, jakby wycięta ręką ludzką. Robert wstąpił w nią, lecz uszedłszy kilkadziesiąt kroków, zatrzymał się nieprzytomny prawie z zachwytu i radości..

Krótką aleją, którą szedł, wprowadziła go w środek wioski marsyjskiej, której wygląd naiwny i dobroduszny zachęcił go do bliższego jej poznania. Miał wreszcie przed sobą ludzi!

### Pokaz kapitana Wad.<sup>1)</sup>

Dzienniki londyńskie doniosły, iż jacht miss Alberty Térmond, nazwiskiem «Conqueror» (zdobywca) przybił do wysp Kanaryjskich; niepokój spekulantów zmniejszył się.

— To było do przewidzenia — mówili — młodej dziedzicze przyszła fantazja spędzić zimę na tych «wyspach szczęśliwych», które są Niceą dla ludzi prawdziwie bogatych — stanowczo, nie jest podobną do swego ojca, który nigdy na podróże pieniędzy nie tracił!

Lecz zdanie to uległo zmianie, gdy się dowiedziano, iż «Conqueror» zabawił w Las Palmas tylko przez

<sup>1)</sup> Wymawia się Ued.

czas konieczny do naładowania nowego zapasu węgla— i odplynął. Pytanie, jaki jest cel podróży miss Alberty, pozostało nierozstrzygniętem, a kroniki świata finansowego zanotowały poczynione w tej kwestji znaczne zakłady.

Ludzie praktyczni tryumfowali już głośno, kiedy depesza z Cape Town zawiadomiła wszystkich, iż statek «Conqueror» zarzucił kotwicę w poblizkiej zatoce.

— Byliśmy tego pewni — mówili poważni finansiści — to jest dziewczyna z głową na karku i to z dobrą głową! Pojechała zwiedzić swoje złotodajne pola... to się nazywa dbałość o swoje interesy!

Lecz i ci doznali ciężkiego rozczarowania i zawodu, dowiadując się, iż «Conqueror», po upływie czasu ściśle potrzebnego do nabrania nowego paliwa, znów odplynął dalej.

Teraz fantastycy i marzyciele, robiący zakłady w celu dowiedzenia ogółowi, iż miss Alberta wyruszyła w podróż naokoło świata, podnieśli dumnie głowy.

Tym razem twierdzenie ich miało pozory prawdy: miss Alberta każe zarzucić kotwicę w Australji, zwiedzi cały łańcuch wysp Oceanji, rozrzuconych jak świeże bukiety w opaskach z białych koralu.

Córka bankiera straciła nieco w opinji ludzi poważnych: uznano za prostą stratę czasu zajmowanie się jej młodzieńczą fantazją podróży naokoło świata. Nie, stanowczo to nie jest osoba rozważna i praktyczna!

Lecz opinję publiczną czekało jeszcze jedno wstrząśnienie, jeszcze jedna zmiana frontu! Statek wysadził na ląd swych podróżnych w Karikal, posiadłości francuskiej w Indjach, a stamtąd miss Alberta w towarzystwie licznej, prawie królewskiej świty, udała się w kierunku wielkich gór.

Teraz tryumfowali spekulanci; cel podróży stał się im jasnym, od czasu, gdy się dowiedzieli, że w orszaku miliardkerki znajduje się znany przyrodnik, Ralf Pitcher.

Wiedziano ogólnie, że zoologja i geologja nie miały dlań tajemnic, pamiętano jego sławną podróż przez dżungle przed kilku laty — i nikt teraz nie wątpił, że miss Alberta obecnie, za jego sprawą, stanie się posiadaczką kopalni djamentów, pokładów radium lub innego drogocennego kruszcu.

— Co to za bystrość i znajomość ludzi! — mówili starzy giełdjarze. — Jej ojciec «wykopał» tego wynalazcę, inżyniera Darvela, a córeczka w lot się poznała na tym naturaliście i zagarnęła go!

— Bezwątpienia podwoi odziedziczone kapitały — dodawali inni — to jest rzeczywiście nadzwyczajna kobieta!

Tymczasem, tak jej wielbicielem jak i przeciwnicy, byli równie dalekimi od prawdy; podróż miss Alberty i Ralfa miała na celu jedynie dalsze poszukiwania zaginionego w sposób niewytłomaczony, Roberta Darvela.

Rozmawiając często o nim podczas drogi i roztrząsając znane wydarzenia, wyciągali zawsze z nich wniosek, że Robert musi żyć! Nic dziwnego: wierzy się zawsze w to, czego się pragnie!

W wypadku zaś jego śmierci (w co wierzyć nie chcieli), pragnęli się dowiedzieć, w jaki sposób się to stało i ukarać winnych.

Nie przypuszczali wcale, żeby Robert miał umrzeć śmiercią naturalną — ale może urządzono nań jaką zasadzkę...

— Czyż pani może przypuszczać—unosił się nieraz Ralt — ażeby Robert zginął tak łatwo, jak każdy inny człowiek, z febry, gorączki, czy porażenia słonecznego? Czyż był zwyczajnym robotnikiem, tragarzem, lub źle aklimatyzowanym Chińczykiem?

— Nie, nie myślałam tego nigdy — odrzekła młoda dziewczyna, a na czole jej rysowała się zmarszczka pełna stanowczości, nadająca jej wielkie podobieństwo do ojca. — Taki uczony chemik, fizjolog, higienista, jak on, byłby rozpoznał w samym początku każdą swoją chorobę i umiałby się od niej obronić, tak jak odwaga, siła i rozum broniły go od nieprzyjaciół. Jest w tej sprawie coś ukrytego, o czem jeszcze nie wiemy, ale się potrafimy dowiedzieć, panie Ralfie!

Rozmowa ta miała miejsce podczas jazdy pysznym samochodem, który córka bankiera kazała zbudować specjalnie do tej podróży. Był to obszerny salonik, osadzony na bajecznie mocnych kołach, o sile 500 koni.

Pochodził od najlepszego fabrykanta londyńskiego: cena tego cacka sięgała pięćdziesięciu tysięcy funtów szterlingów, a był urządzony tak zbytownie, że tylko pociągi specjalne dla panujących mogłyby o nim dać niejakie pojęcie. W tej chwili pyszny ten samochód przebywał z szybkością drogę, po obu stronach której rosły palmy, latanje i inne podzwrotnikowe rośliny.

Gromady małych, rudych małpek przebiegały po ich gałęziach, a nawet, ku zdziwieniu miss Alberty, spadały na budę samochodu, aby za chwilę śmiałym skokiem znaleźć się znów na drzewie.

Lecz wkrótce lasy ustąpiły miejsca bogatym plantacjom bawełny, tytoniu i maku strzeżonym przez silne, kolczaste żywopłoty.

Na ten widok Ralf uśmiechnął się.

— Poznają tu gienjusz praktycznej kolonizacji — rzekł; — musimy być niedaleko od mieszkania rezydenta angielskiego, kapitana Wad'a.

I rozpromieniony patryjotyczną dumą, która, rzecz można, jest główną częścią składową duszy każdego Anglika, wskazał wysoki maszt, na którym powiewała flaga Wielkiej Brytanji.

Wkrótce samochód zatrzymał się przed śliczną rezydencją, będącą połączeniem pałacu i domu wiejskiego, przy drzwiach której pełnił straż krajowiec w białym ubraniu, z bronią w ręku.

Nasi podróżni wkrótce mogli się przekonać, że Indie są jedynym może na świecie krajem, w którym wiekowe doświadczenie nauczyło człowieka skutecznie zwalczać upał.

Miss Albertę i jej towarzysza wprowadzono do wysokiej sali, w której olbrzymie wentylatory z płynem powietrzem roztaczały chłód orzeźwiający. W Europie urządzenie to jest dotąd prawie nieznanem; posługujemy się przestarzałymi przyrządami, które najczęściej nie odpowiadają celowi i sprowadzają często szkodliwe przeciągi.

Wentylator ten, posiadający sześćdziesiąt otworów, którymi wypływało powietrze aseptyczne i lodowatozimne, jest nieocenionym w krajach gorących. Ten udoskonalony przyrząd wyrugował z użycia dawne «punka», które można jeszcze spotkać u bogatych indusów: jest to rodzaj podwójnego wachlarza, któremu nadaje ruch niewolnik, pociągający naprzemian dwa sznury. Ma to pozór wielkiego motyla, trzepoczącego się u sufitu.

Nasi podróżni nie czekali długo na gospodarza. Doznali jednak miłego zawodu, gdyż spodziewali się zobaczyć urzędnika, wycieńczonego przez klimat, chorującego na wątrobę, jak wszyscy prawie Anglicy w tym kraju, z powodu uporu w spożywaniu wielkich ilości mięsa i napojów wysokokowych. Zostali więc przyjemnie zdziwieni widokiem zdrowego, rzeźkiego człowieka, ubranego w krajowe «pijama» lekkie i obszerne, koloru zielonego z różowym. Obejście jego świadczyło o wielkiej radości, jakiej doznawał, przyjmując w swym domu rodaków.

— Nie mogło mię spotkać nic miłszego!—zawołał—byłem prawie pewnym przyjazdu kogo z państwa i to do tego stopnia, że kazałem sporządzić obszerny memoriał w sprawie Ardaveny, wyłącznie dla waszego użytku. List, który pani otrzymała, musiał pochodzić od jednego z tych hindusów, którzy poduczyszy się nieco angielskiego języka, dumni z tego, że są poddanymi Anglii, zdradzają w każdym wypadku swoje niedoświadczenie i nieuctwo!

— Kapitanie — przerwała miss Alberta — przede wszystkim proszę mi powiedzieć, czy inżynier Darvel żyje?

Oficer zmarszczył czoło i zamyślił się.

— W tej sprawie wiem tyle co i pani, nie mogę więc o niczem zapewniać! Dramat klasztoru w Kelamburum wzruszył mię głęboko: jest to tajemnica jeszcze niewyjaśniona i na każdym kroku napotykam w niej różne sprzeczności. Jednak w śmierć pana Darvela nie wierzę. Poszukiwania moje wykryły, iż był on współpracownikiem Ardaveny w jego psychiczno-dynamicz-



nych doświadczeniach, co do których braknie mi bliższych wiadomości.

— Na czymże pan opierasz swoją pewność?

— Na jednym, lecz bardzo ważnym szczególe. Po katastrofie owej, dałem u siebie przytułek braminowi Fara-Szib, temu, który posiada tajemnicę zachowania w sobie życia, będąc przez przeciąg kilku tygodni zakopanym w ziemi i to bez żadnych złych skutków dla swego zdrowia. Otóż on twierdzi z całą pewnością, że inżynier Darvel żyje.

— Gdzie jest ten człowiek? — zawołał Ralf gwałtownie.

— Nie mogę panu nic więcej powiedzieć, aż go pan sam zobaczysz i przekonasz się, do jakich cudów jest zdolnym ten odziany łachmanami asceta.

— A jakież jest jego zdanie? — szepnęła miss Alberta.

— To już on sam pani powie—odpowiedział kapitan i dodał w sposób zamykający dalszą rozprawę nad tym przedmiotem:

— Wszystko to rozpatrzmy po obiedzie; teraz chcę użyć radości z przyjmowania u siebie ziomków, których mi przysyła mój kraj rodzinny — droga, stara Anglja!

Obejście jego, choć nieco szorstkie, miało tyle serdeczności, a wiara w to, że Robert żyje, była tak niezachwiana, że miss Alberta i jej towarzyszy, szczęśliwi z tego, co słyszeli, zgodzili się na tę zwłokę.

Nie mieli zresztą czasu do namysłu. Na głos wielkiego gongu pojawili się młodzi krajowcy, służący w jasnych, lekkich tkaninach i towarzystwo przeszło do przepysznej sali jadalnej.

Urządzono ją według pomysłu kapitana, który był z niej nadzwyczaj dumnym.

Z pod wysokiego jej sklepienia, w małym oddaleniu od ścian, gęste a drobne strugi wody spadały ze szmerem, roztaczając miły chłód i dając złudzenie jakiejś zaczarowanej grotty wodnych boginek; szalony upał indyjski był tu zupełnie bezsilnym. Pod ścianami kwitły drobne, liljowe kosańce.

Uczta była szczytem wytworności europejskiej, z przymieszką krajowej obfitości i przepychu. Stół zdobiły kwiaty białych grzybieni (lotosów), kaktusów, magnolji, nigdzie nie spotykanych odmian storczyków; zwinni, zręczni służący, baczni na każde skinienie biesiadujących, podawali wyszukane potrawy i napoje.

Było tam sławne wino Oporto z miasta Goa, przeszło stuletnie; tykwy napełnione winem palmowem i różne napoje wysokowe na imbirze, mircie, cytrynach dzikich, i jaśminie, tajemnicę przyrządzania których posiadają tylko krajowcy.

Wyszukane gatunki ryb i wykwiwna zwierzyna, które tu podawano, pochłonyby w Londynie spory majątek; przepiękne owoce piętrzyły się na kryształowych paterach, co w połączeniu ze szmerem wody, spadającej wokoło i odurzającą wonią kwiatów, czyniło ów obiad jakąś zaczarowaną ucztą.

Miss Alberta i Ralf byli oczarowani tem, co widzieli. Teraz pojęli niezrozumiały wprzód dla nich wstręt, jaki uczuwają Anglicy na myśl o powrocie do Europy, po przebyciu kilku lat w Indjach: tak czarownego kraju nie zapomina się nigdy! Tam miljardy pokoleń, rozwijając i kształcąc swe upodobania, przekazywały swoim

następcom zdobyte doświadczenie i umiejętność urządzania życia.

Oprócz tego kapitan, będąc bardzo wykształconym, interesował się wszelkimi wydarzeniami świata naukowego i artystycznego, przytem posiadał umiejętność wciągania w rozmowę każdego z obecnych i użytkowania z ich zasobów umysłowych.

Wśród ożywionej rozmowy przy stole rzekł z uśmiechem:

— I cóż, kochani rodacy! Czy nie robię wrażenia człowieka odsuniętego od cywilizowanego świata, zdziwiałego? Przyznaję, że broniłem się wszelkimi siłami, aby się nie dać owładnąć tej ociążałości fizycznej i moralnej, w jaką wpadają tu wszyscy, używający dżinu (wódki) i opjum.

— Widać z tego, — mruknął Ralf — że pan jesteś stronnikiem zalecanej przez yogów i braminów wstrzeźliwości...

— Bezwątpienia — ale jeśli pan wspominasz braminów dlatego, aby przypomnieć mi moją obietnicę, to jestem gotów; Fara-Szib jest uprzedzony o waszej bytności i możemy tam pójść, kiedy pani będzie sobie życzyła — rzekł, zwracając się do miss Alberty.

— Chodźmy zaraz, kapitanie! — zawołała młoda dziewczyna — gdyż pomimo całego wykwintu pańskiej uczt, która byłaby zdolną zawstydzić Lukullusa i innych smakoszków, drzę z niecierpliwości poznania tego cudotwórcy!

Kapitan wstał od stołu i poprzedzając swych gości wszedł do galerji, okrążającej dom, wsparty na kolumnach. Stamtąd roztaczał się przepyszny widok na lasy i ogrody, zalane srebrnem światłem księżyca.

W kapitanie zaszła od tej chwili dziwna zmiana; uprzejmy dotąd gospodarz zmienił się jakgdyby w dowódcę wyprawy, spojrzenie jego nabrało ostrości, głos brzmiał prawie rozkazująco.

— Jesteście państwo jedynymi osobami, które będą widzieć to nadzwyczajne doświadczenie: ostrzegam też, że podczas całego tego widowiska musimy zachować najgłębsze milczenie: jeden ruch, jedno słowo może na nas sprowadzić najstraszniejszą klęskę.

— Rozumiem to, lecz po nieszczęściach i moralnych wstrząśnieniach, jakie przeszłam, żadne czary nie są zdolne mnie przestraszyć.

Powiedziała to z wielką stanowczością.

Za chwilę służący podał kapitanowi pochodnię z pachnącej żywicy; jej wonny jasny płomień palił się równo w spokojnym powietrzu.

— Teraz — rzekł gospodarz — wchodzimy do wieży. Rezydencja moja jest zbudowaną na miejscu dawnego pałacu pewnego radży indyjskiego, a wieża ta jest jedynym zabytkiem dawnych czasów. Jest ona ozdobiona na zewnątrz bogatymi rzeźbami, a ma tę osobliwość, iż nie posiada żadnego okna. Wszystkie jej sale, zbudowane z olbrzymich głazów, są całkiem ciemne, a najszczególowsze badanie wszystkich ścian i ozdób nie wykryło żadnych otworów, któremi mogłoby się dostawać do środka powietrze, potrzebne do oddychania.

Kapitan otworzył drzwi — Alberta i Ralf ujrzeni przed sobą stopnie schodów, wykutych w granitowej ścianie.

Wijące się po ścianach powykrzywiane postacie, wykute w płaskorzeźbie, zdawały się wstępować w górę razem z ludźmi; zewsząd było widać przymrużone

oczy, głowy tygrysów i panter zdawały się węszyć zdobycz, a cały ten korowód straszliwych bóstw i zwierząt stawał się coraz tłumniejszym, w miarę wstępowania wyżej.

— Co za wyobraźnię mieli ci budowniczo! — zauważył Ralf, lecz umilkł natychmiast.

Kapitan, wnosząc do góry swą pochodnię, oświetlił olbrzymią salę pierwszego piętra, do której wchodzili.

Ściany pokrywały rzeźbione w ścianach posągi bóstw o twarzach tępych i srogich; ich ręce i nogi, powykręcane i splątane, dosięgały w dziwacznych skłębieniach aż do sklepienia, zakończonego pośrodku, wyrzeźbionym w kamieniu i opuszczonym na dół, kwiatem lotosu. Pod ścianami było pełno kości ludzkich.

Nasi znajomi wyszli stamtąd copędzej, aby się oswobodzić od straszliwych wspomnień.

Sala następnego piętra była jeszcze posepniejszą przez swą zupełną pustkę. Jej okrągłe ściany zawierały mnóstwo nisz obecnie pustych, w których dawniej mieściły się posągi. Jak objaśnił kapitan, posągi te, z miedzi, srebra lub złota, zostały zrabowane podczas buntu cipajów, pozostały po nich tylko puste, zięjące ciemnością framugi.

— Nie chciałem tu nic zmieniać — rzekł — gdyż zdawałoby mi się, że popełniam świętokradstwo... A teraz, nieco cierpliwości! Zostaje nam jeszcze jedno piętro do przebycia. Ta najwyższa sala jest zarazem największą, gdyż wieża ta jest szerszą u góry, niż na dole.

I ta ostatnia sala była pustą; zamiast rzeźb lub malowideł, było tam tylko kilka kolumn, które, łącząc się na sklepieniu, tworzyły łukowe arkady.

Pośrodku widniał rodzaj niskiego ołtarza, na którym siedział Fara-Szib zgarbiony, z podwiniętymi nogami, tak nieruchomy, że zdawał się być kamiennym posągim.

Był całkiem nagi i tak straszliwie chudy, że miss Alberta mimowoli się cofnęła. Byłże żyjącym człowiekiem ten szkielet, powleczone ciemno-brązową skórą, bez śladu mięśni i wnętrzości, gdyż poniżej żeber skóra brzucha prawie dotykała kręgosłupa?

Tylko wielka głowa, z płomieniejącymi oczami, zdawała się skupiać w sobie życie tego wynędzniałego ciała.

Na widok przybyłych nie uczynił najmniejszego poruszenia, jak gdyby był jakimś posązkim bóstwa, odwiecznym przez ciekawych.

Lecz miss Alberta i Ralf cofnęli się instynktownie przed płomienistym wstrząsającym jego spojrzeniem.

Pitcher przyznał później, że mniejszego wrażenia doznawał, gdy go dzicy Tugowie zostawili przywiązanego do wylotu działa, przy którym tlił się lont zapalony, aniżeli przed tem morderczym spojrzeniem.

Przeszło kilka chwil w uroczystym milczeniu. Wreszcie kapitan szepnął:

— Ten asceta nie jest zwyczajnym czarodziejem: posiada on tajemnice praw kosmicznych, których głębokość i śmiałość mię zdumiewa. Utrzymuje on, iż w pierwszych wiekach istnienia człowieka, ziarna zboża zostały przyniesione przez pewnego joga z planety, sąsiadującej z ziemią. Zna tajemnicę zniknięcia Atlantydy, gdzie ludzie byli prawie bogami i gdzie pewien mag, powierzywszy nierozważnie tajemnicę pewnych słów kobiecie, spowodował zatopienie całego

ładu, a tym sposobem zaginęły cudowne wysiłki ludzkiej woli. Wie także, dlaczego pobudowano piramidy. Faraonowie porobili z nich później swoje grobowce, lecz pierwotnem ich przeznaczeniem było chronić ludzi przed kamiennym deszczem bolidów, który kilkakrotnie zdziesiątkował ludność ziemi. Tego wszystkiego nie widzieli najuczeńsi historycy. A czyż w tym samym celu nie strzelali starożytni Gallowie ze swych łuków do nieba? Biedna, nawpół zwierzęca ludzkość owych czasów opływała krwią i umierała z trudów przy budowaniu schronienia przeciw śmierci!..

W tej chwili z ciemnego kąta wysunął się olbrzymi tygrys, a otarłszy się lekko o suknię Alberty, przeciągnął się i zaczął na granicy posadzki ostrzyć swe pazury. Wreszcie powoli, z posępnem i zamyślnem spojrzeniem, ułożył się przy nogach młodej dziewczyny.

Ralf, na widok dzikiego zwierza, cofnął się o kilka kroków — miss Alberta zbladła, lecz się nie poruszyła. Wszystko, na co patrzyła, było tak niezwykłem. Czula, że tym zwierzęciem kieruje czyjaś wola; stanowił on harmonijną całość z temi wszystkimi dziwami, na które od kilku godzin patrzyła.

Lecz kapitan stanął szybko między nią a zwierzęciem.

— Nie obawiaj się pani — szepnął — jest zupełnie nieszkodliwym... Leżeć, Mowdi! Poprzednio był obłąskawionym przez Ardavenę, który mógł z nim robić, co mu się podobało, tak to zwierzę było bezgranicznie posłusznem.

— Słyszałem nieraz o tem — rzekł Ralf, otrząsnawszy się z wrażenia strachu — że bramini posiadają

tajemnicę, prawie zagubioną, znaną tylko w niektórych klasztorach, poskramiania i obłaskawiania dzikich stworzeń wszelkiego rodzaju i nadawania im prawie ludzkiego rozumu.

Mowdi odszedł na rozkaz kapitana i zwiąwszy się w kłęb, legł spokojnie na posadzce.

Nastała chwila ciszy: wszyscy mimowoli czuli się pod władzą spojrzenia tego ponurego szkieletu, które ich przytłaczało i błdziło po ich twarzach ciężkie, tajemnicze...

— Teraz — rzekł kapitan — będziecie państwo świadkami jednego z nadzwyczajnych doświadczeń Fara-Sziba. Przypominam raz jeszcze i zalecam najmocniej, aby zachować bezwzględne milczenie i nieruchomość, cokolwiek będziemy widzieć lub słyszeć! Jeśli pani nie czuje się dość silną, to możebyśmy posiedzenie odłożyli, gdyż mówię otwarcie, iż chodzi tu o życie.

— Niel — zawołała miss Alberta — nie jestem wątłą kobietą, rządzoną przez własne nerwy i zapewniam pana, iż się nie boję.

— Dobrze więc — rzekł poważnie kapitan i wskazał swoim gościom kamienne krzesła, których boczne poręcze były zakończone pięknie rzeźbionymi krokodylami głowami.

To oczekiwanie, w połączeniu z niezwykłym otoczeniem i tajemniczym zachowaniem się kapitana, działało jednak niewidocznie na nerwy przybyszów.

Teraz gospodarz, podszedłszy do nieruchomego wciąż joga, mówił coś do niego cicho, a potem pochodnią swoją zapalił siedm świec woskowych, ustawionych w krąg na posadzce sali, nieco z boku niskiego ołtarza.



Ku zdziwieniu naturalisty, każda ze świec miała inną barwę płomienia: odpowiadały one siedmiu kolorom zasadniczym. Tworzyło to nader fantastyczny widok.

Następnie, wyjąwszy z pudełka jakieś kolorowe proszki, wysypywał nimi dokoła wywyższenia, na którym siedział bramin, rodzaj kręgu, odgraniczającego go od świec.

Potem rzucił na węgle z drzewa oliwnego, płonące w brązowych trójnogach, inne jakieś proszki.

Gęsty dym uniósł się ku sklepieniu, powietrze stało się w tej wielkiej, dusznej sali ciężkie, zamglone..

Dym wydzielał woń dziwną, ostrą i mdlą zarazem.

Ralf rozpoznawał zapach ziół trujących, sprowadzających obłąd, z rodziny psiankowatych, baldaszkowych i makowych. Te dymy, mieniające się w świetle różnymi kolorami, pochodziły ze spalania się ruty, bieluniu, cykuty, belladonny, konopi indyjskich i maku.

Wszyscy oddychali z trudem w tej dusznej atmosferze; pot oblewał twarze Alberty i Ralfa, serca były gwałtownie z wrażenia trwogi i niepokoju. Skronie uciskała jakby obręcz żelazna, a oczy prawie wychodziły ze swych orbit, z uczuciem nieźnośnego bólu.

Powoli przykre te uczucia znikły, czuli tylko lodowate zimno w kończynach; nakoniec ogarnęła ich dziwna błogość, spokój i jasność umysłu. Powietrze, dotąd duszne, wydało im się zupełnie czystem a postać Fara-Sziba otoczona była jakąś mgłą fosforyzującą, która go otaczała świetlaną aureolą.

Jog rzucił teraz na posadzkę, w okrąg utworzony przez siedm świec płonących, jakiś czarniawy łachman pięciokątny, który miał pozór kawałka starej skóry,

miejscami zmarszczonej, to znów pokrytej kępkami białawych włosów. Po chwili wziął w rękę rodzaj fle-tu, czy piszczałki z trzciny bambusowej, którą każdy indjanin potrafi zrobić za pomocą małego nożyka, jako najprostsze, najpierwotniejsze narzędzie muzyczne i zaczął na niej grać cicho i łagodnie, przebierając swemi wyschłemi palcami.

Miss Alberta uczuła dreszcz przestachu, przypomniawszy opowieść o owym grajku, który swoją czarowaną muzyką sprowadza grono gości weselnych nad brzeg przepaści...

Jog tymczasem grał jedną z tych wschodnich melodji prostych a zawrotnych, w których jedne i te same tony powtarzają się ciągle, to prędkiej, to wolniej, ciągle te same...

Uwaga widzów była naprężoną w najwyższym stopniu. Czuli, że mają przed sobą coś więcej nad zwykle kuglarstwa, o których tyle czytali, a które wydając się z pozoru cudami, dają się zwykle wytłomaczyć logicznie.

Teraz Fara-Szib przyśpieszał stopniowo rytm swojej muzyki, która wywierała wpływ dziwny, w miarę jak stawała się coraz szybszą.

Niekształtny strzęp skóry, leżący między świecami zdawał się drgać, jakby poruszany niewidzialnym podmuchem, potem się skręcił, wzdął i rozwinął, jak pergamin, położony na żarzących węglach.

Czuło się jakąś mękę w konwulsyjnych ruchach tej rzeczy martwej, poruszającej się z wysiłkiem, zmuszanej do życia i posłuszeństwa przez potężną, czyjąś wolę.

Muzyka stawała się gorączkową, rozkazującą; wyschłe wargi joga powtarzały ciągle, uparcie te kilka nut, które stawały się despotycznym rozkazem, któremu sama przyroda posłuszną być musiała.

— Tak trzeba... tak chcę... tak każe!... — zdawała się powtarzać niezmordowana piszczalka trzciniowa.

I pod wpływem tej siły wszechmocnej, martwy, nieokreślony przedmiot rozciągał się, wydłużał, wzdymał i przybierał kształt wyraźny.

Po chwili uniósł się nad ziemią i Ralf rozróżnił mętne zarysy wielkiego nietoperza.

— Prędeży... prędeży!... ja chcę!... — powtarzał teraz flet rozkazująco, a nuty urwane, ostre, leciały ulewą, wirem, oszałamiając szybkością.

Powrót do życia, czy tworzenie zwierzęcia skrzydatego szło teraz z przerażającym pośpiechem.

Zjawisko było już wzrostu człowieka i stojąc na nogach, rozwijało szerokie, błoniaste brudno-żółte skrzydła, coraz się powiększające.

Miss Alberta, blada, sztywniejąca, czuła ogarniającą ją zgrozę; Ralf był niemniej wzruszonym.

Potwór, powołany do życia przez Fara-Sziba, był mieszaniną człowieka i zwierzęcia; podobne demony można widzieć w miniaturach, ozdabiających średnio-wieczne księgi czarnoksiężskie. Był to rodzaj człowieczego nietoperza, lecz górny brzeg skrzydeł był zakończony ręką z długimi pazurami, a twarz o czole wysokiem, nadmiernych szczękach, wyrażała inteligencję nadludzką, lecz pełną chytryści i okrucieństwa. Wargi wielkie, krwisto-czerwone, odkrywały zęby ostre i białe; nos krótki, zadarty jak u buldoga, oczy wkleśnię, mrugające, jakby odwykłe od światła, zwracały się

wciąż ku płomieniom świec: niebieskiemu i zielonemu. Pokrywały je powieki nabrzmiące i czerwone. Uszy nadmiernie wielkie, ruchome, dopełniały wstrętnej całości.

Zjawisko to utrzymywało się w powietrzu nad głową bramina, poruszając niewidocznie skrzydłami dla zachowania równowagi. Zdawało się nie wiedzieć o tych, którzy na niego patrzyli, a nawet o tym, któremu musiało być posłusznym; znać na nim było wielki niepokój i cierpienie. Nagle potwór rozwinął szeroko skrzydła i chciał wzbić się pod sklepienie. Źrenice jego zabłysły czerwonym blaskiem, nabrał pozoru prawdziwego życia, a natomiast bramin Fara-Szib stał się niewyraźnym, mglistym jak cień.

Ralf tłumaczył sobie, iż to zapewne życiodajny fluid ascety, ulatniając się, wytworzył to szczególne widziadło, mające wszelkie pozory życia. Przy żywszym ruchu, część jednego ze skrzydeł wysunęła się poza koło zakreślone przez świece i — rzecz zadziwiająca! — cała ta część jego znikła zupełnie, odcięta linją prostą, jak margines obcina brzeg obrazka.

Potwór, jak gdyby zrozumiał, że istnienie jego jest niemożliwym poza magicznym okręgiem świec, cofnął się na poprzednie miejsce. Nagle bramin przerwał swoją muzykę: tajemnicze zjawisko przyćmiło się, natomiast on odzyskał pozory życia.

Teraz zdawało się widzom, iż płomień świec bledną, a ciemność, jak drobne, czarne płatki, spada z góry i że inne nietoperze ludzkie w ogromnej liczbie, wylaniają się z tej mglistej ciemności.

Fara-Szib znów zaczął grać: melodia była ta sama, co pierwej, lecz rytm jej powolny, przygniatał słuchaczy

ponurym nastrojem. Późniejsze widziadła rozproszyły się...

Nagle, błądny profil inżyniera Darvela ukazał się z ciemności, przejrzysty jak widmo, a skrzydlaty potwór rzucił się na niego natychmiast, z wyciągniętymi szponami.

Było to już nad siły miss Alberty: nie mogąc znieść tego widoku, wydała straszny krzyk i omdlała.

Nastąpiła chwila straszna!...

Na krzyk młodej dziewczyny świece zgasły, zjawiska znikły, a Ralf doznał wstrząśnienia tak potężnego, piorunującego, jakie chyba pochodzić mogą od prądu elektrycznego o sile tysięcy wolt.

W oczach mu pociemniało, stracił wszelką świadomość.

. . . . .

Gdy oprzytomiał, ujrzał stojącego przed sobą kapitana, bladego jak trup; wargi jego zbieleły, a płomień pochodni, którą z trudem zapalił, chwiało się w jego drżących rękach.

— Miss Alberta... — wyszeptał z trwogą śmiertelną Ralf.

— Nie wiem, czy zdołamy ją ocalić — mruknął głucho kapitan i wskazał ją, leżącą wciąż jak martwą na kamiennem krześle.

— A Fara-Szib?

— Oto, co z niego pozostało!

Tu kapitan wskazał rozpaczliwym ruchem ołtarz.

Ralf ujrzał tam ze zgrozą tylko stos białego popiołu, wśród którego dymiły jeszcze zwęglone i zczerniałe kości... Milczał osłupiały, a oficer mówił dalej.

— Jest w tem, co się stało, wiele mojej winy; powinienem był przewidzieć, iż miss Alberta, choć odważna i bardzo energiczna, nie zniesie tego widoku.

I dodał z goryczą:

— Księgi święte mają słuszność, mówiąc, iż nie należy dopuszczać kobiet do praktyk magicznych i zeknięcia z niewidzialnymi duchami...

Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie przerażeni.

Ogarniał ich zawrót głowy, czuli straszne znużenie, nogi uginały się, a powieki, ciężkie jak ołów, opadały na oczy.

— Nie możemy się dać ogarnąć temu wyczerpaniu — rzekł z wysiłkiem kapitan — wychodzmy z tej wieży przekłetej, w której powietrze jest przesycone trującymi wyziewami! Gdybyśmy tu zostali jeszcze kwadrans, przyplącimy to wszyscy życiem — my i ona! Pomóż mi pan wynieść ją coprędzej na świeże powietrze!

Wzięli się więc do tego; ale choć każdy z nich był niepospolicie silnym i wyćwiczonym w różnego rodzaju sportach, z największym wysiłkiem udało im się podnieść bezwładne ciało, które im się wydawało ciężkiem, jak bryła ołowiu.

Zaledwie po upływie godziny znaleźli się na dole, a gdy nakoniec weszli do ogrodu pełnego woni róż, jaśminów i magnolji, byli zupełnie wyczerpani z sił.

Złożyli wciąż nieruchomą miss Albertę na kamienną ławecę, a kapitan udał się do domu po sole trzeźwiące, eter, wzmacniające kordjały, słowem, po wszystko, czego mogła dostarczyć jego domowa apteczka.

Za powrotem znalazł ją zbudzoną z omdlenia, lecz nadzwyczajnie osłabioną; doznane wstrząśnienie odebrało jej siły i mowę.

Przeniesiono ją ostrożnie do wygodnego pokoju i otoczono wszelkimi staraniami, jakich jej zdrowie wymagało.

Umysłny posłaniec popędził natychmiast do najbliższej stacji po doktora, który przybył śpiesznie, dowiedziawszy się, iż chodzi tu o życie miliardarki.

Po długim badaniu, wysłuchawszy z uśmiechem niedowierzania objaśnień kapitana, oświadczył, iż odpowiada za życie chorej, ale nie może zapewnić, czy jej umysł nie zostanie dotkniętym nieuleczalnie.

— Najpilniejszym na teraz—rzekł, napisawszy receptę—ocalić jej życie i zwalczyć podniecenie nerwów, które może spowodować powikłania tem groźniejsze, że jest skłonną do chorób sercowych.

— Jej ojciec umarł na aneuryzm—zauważył Ralf.

— Więc to jeszcze jeden powód do troskliwego nad nią czuwania; trzeba ją chronić od wzruszeń, choćby najslabszych!

Szczęściem, obawy te okazały się płonnymi: Alberta powoli, lecz stale powracała do zdrowia i wkrótce można się było spodziewać, iż fantastyczny dramat, którego była świadkiem, nie zostawi głębszego śladu w jej umyśle.

Na drugi dzień po śmierci Fara-Sziba, kapitan rzekł do Ralfa:

— Jeterm pewny, że to, cośmy widzieli w wieży, musiało mieć miejsce w rzeczywistości. Inżynier Darvel żyje, lecz grozi mu zapewne wielkie niebezpieczeństwo.

— Ale przecież potwór, który nam się ukazał, nie istnieje wcale w zoologii ziemskiej! — zawołał naturalista.

— Ja też tego nie utrzymuję, chociaż i na ziemi są jeszcze grotty i jaskinie, w których człowiek dotąd nie postał, a które mogą ukrywać wiele istot nieznanych. Czyż nie schwytano przed kilkoma laty w Chinach pewnego gatunku skrzydlatej jaszczurki, będącej wiernym wizerunkiem tych dziwacznych smoków, które mieliśmy za wytwór fantazji malarzy Państwa Niebieskiego?

Ale Ralf nie odpowiadał, zamyślony głęboko.

Umysł jego pracował; posłyszana wczoraj legenda o zbożu, przyniesionem z sąsiedniej planety przez jednego z jogów, powracała uparcie do głowy. Przypomniały mu się dawne zamiary Roberta.

Nagle powstał, ogarnięty niewypowiedzianem wzruszeniem.

— Kapitanie! — zawołał — czy chcesz pan, abym mu wyjawiał prawdę? Przejrzałem ją w tej chwili i jestem pewnym, że się nie mylę: inżynier Darvel ziścił swoje dawne marzenia... zdołał się dostać na Marsa!... Inaczej być nie może: potwór, przez nas widziany, musi być jednym z mieszkańców tej gwiazdy, z którymi Robert, uzbrojony całą wiedzą swej rodzinnej planety, musi staczać straszliwe walki...

— I ja tak myślę — rzekł po chwili namysłu kapitan.

### W wiosce marsyjskiej.

Całość wyglądała na rysunek dziecinny, naiwny w pomyśle i wykonaniu. Było to zbiorowisko chat niskich, okrągłych, pokrytych plecioną trzcina, bez śladu kominów.



Staw, na brzegach którego stały te lepianki, pokryty był stadami kaczek i nadzwyczaj tłustych ptaków, podobnych do pingwinów, czyli tłuszczeli. Po drugiej stronie, trzęsawisko było podzielone trzciniowymi opłotkami na pola, gdzie rosły w obitości wodne kaszany, rzeżucha i nenufary o liściach szerokich i korzeniach jadalnych.

Całość robiła wrażenie kultury zastosowanej do przyrody.

Mieszkańcy, siedzący przed drzwiami chat, lub zajęci różnemi robotami, przedstawiali widok szczególnie i zabawny.

Byli oni wzrostu dziesięcioletnich dzieci, przy nadzwyczajnej tuszy, z beczkowatemi brzuchami. Twarze ich okrągłe, świeże i różowe, otoczone włosami i brodami mocno rudemi, miały uśmiech nieco głupkowaty, stale jaśniejący na ich pełnych, dobrodusznym obliczach. Nosy ich ginęły prawie wśród gąbczastych policzków, a małe, nieco zamglone oczy, wznosiły się ukośnie ku skroniom.

Co do dzieci, to te wyglądały jak bryły tłuszczu, lub jak drób dobrze utuczony na jaką uroczystą ucztę.

Bawiły się powoli i niezgrabnie z oswojonemi kaczkami oraz dwoma rodzajami zwierząt wąsatych, z których jedno były podobne do fok a drugie do wydr.

Były też tam wielkie szczury wodne, siedzące na tylnych nogach na dachach domów, lub biegające między ludźmi, oswojone z nimi zupełnie.

Na żerdziach położonych na utkwionych w ziemi widelkach, siedziały ptaki wielkie z rodzaju kormoranów, o czerwonych dziobach i łapach.

Ubiory ludzi były również szczególne. Wszyscy mieli długie, grube suknie, utkane z różnobarwnych piór, na głowach rodzaj wysokich, spiczastych czapek, zrobionych z najdłuższych piór dzikich gęsi, związanych u góry i dołu cienkimi rzemyczkami.

Niektórzy (zapewne żeglarze lub robotnicy) mieli oprócz sukien okrycia z kapturami, które zdobiły rysunki kolorowe; wśród nich Robert ze zdziwieniem rozpoznał rysunek wampira, zwyciężonego przezeń zeszłej nocy.

Wszystkie te istoty, otulone w ubrania z piór, miały ruchy ciężkie i niezgrabne, poruszały się powoli. Wydały się Robertowi bardzo podobnymi do błotnych ptaków, żyjących w ich sąsiedztwie.

— To są prawdziwe pingwiny z ludzkiemi twarzami — pomyślał.

Lecz te stworzenia, choć tak pierwotne, naiwne, niezgrabne, były jednak ludźmi! Radość rozsadzała mu piersi, serce biło gwałtownie, a oczy zachodziły łzami... Miał ochotę uściskać serdecznie tych wszystkich tłuściochów bez wahania, jak przyjaciół, odzyskanych po długim niewidzeniu. Czuł, że go los zetknął z ludźmi naiwnymi i dobrymi — może byli nieco głupi, miał jednak dla nich sympatję i litość.

— Biedacy! — zawołał, przypatrując się wiosce — nie znają użytku ognia, a więc zapewne i kruszców.

Gwałtowne wzruszenie go ogarnęło i nasunęło moc humanitarnych projektów. W kilka tygodni, może miesięcy, da poznać tym grubasom wszystkie zdobycze cywilizacji, na które się składały miliony pokoleń na ziemi. Czuł się istotą wyższą od nich i nie miał najmniejszej obawy.



Mieszkańcy, siedzący przed drzwiami chat, przedstawiali widok szczególnie i zabawny.

Nakoniec, wolnym krokiem, uśmiechnięty, z wyciągniętymi rękami, zbliżył się do starszych mieszkańców wioski.

W ich mózgach otłuszczonych i z trudnością zdobywających się na myśl, zdziwienie jeszcze nie zdążyło w strach się zamienić, gdy już Robert był między nimi. Wciąż uśmiechnięty, popieścił dzieci, rozdał przyniesione kawałki mięsa starszym, w końcu usiadł na darniowej ławce przy drzwiach chaty, jak człowiek zadowolony z życia i ukończenia podróży, która go przywiodła pomiędzy przyjaciół.

Otyły staruszek, którego szata, zielona z przodu a brązowa na plecach, czyniła podobnym do olbrzymiej, tłustej kaczki, zbliżył się do Roberta z ruchami uspokajającymi i dotknął jego bawełnianej opończy.

— Zapewne się lituje nade mną, że jestem tak lichy przyrodziany — pomyślał Robert.

Stary Marsyjczyk, za którym skupiła się cała ludność wioski, zdumiona i uśmiechnięta, zdawał się najbardziej zdziwionym wielką chudością przybysza; wyraził mu też swoje współczucie, dotykając pulchnych policzków swoich i zaokrąglonej postaci.

Następnie wyrzekł kilka zdań, których wyrazy pojedyncze zdały się Robertowi utworzonymi wyłącznie z samogłosek — i dwie młode dziewczyny, ubrane w białe pióra, z włosami uwiecznionymi w workach ze skóry, przyniosły koszyki plecione z sitowia, napełnione świeżymi, różowo-zielonymi jajami, kawałkami surowego mięsa, oraz kasztanami wodnymi. Przyniesiono też wydrążony pień drzewa, pełen słodkiego soku z korzeni nenufarów, nakoniec w małym koszyczku z czerwonej wikliny, nieco soli na którą zwracały

się pożądlive spojrzenia całego zgromadzenia, jako na największą ozdobę tej szczególnej uczty.

— Oto nieszczęśliwi, którzy nie znają gotowanego jedzenia, a sól uważają za przysmak... Ale to się da zmienić — nie upłynie pół roku, a muszą poznać dzieła Brillat-Savarin'a, Carême'a i barona Brisse!

Dziecinna myśl sprzedawania Marsyjczykom dzieł tych sławnych smakoszków, w ozdobnych wydaniach, dała mu kilka chwil szalonej wesołości. Opanował ją jednak, przypomniawszy sobie, iż powinien się zabrać do ofiarowanego mu jedzenia, co też i uczynił, dla zrobienia im przyjemności choć głodnym nie był.

Wywołało to niezmierną, hałaśliwą wesołość obecnych.

Ich radość nie miała granic, kiedy Robert, chcąc użyć po tej niestrawnej uczcie nieco ruchu, wziął za rękę staruszkę w zielonobronzowych piórach, oraz młodą dziewczynę, która mu jedzenie przynosiła i poszedł między nimi, aby obejrzyć wioskę.

Oswojone foki i wydry, rozciągnięte na brzegu wody, dały mu się głaskać; wielki szczur wodny, wdrapawszy się na ramię Roberta, pociągał go lekko zębami za ucho, a duże, poważne kormorany chwytaly dziobami jego bawełnianą opończę. Tłum kobiet i pucołowatych dzieci towarzyszył tej trójce, patrząc na przybysza z ciekawością, pełną życzliwości i uszanowania.

Żaden król lub prezydent rzeczypospolitej, odwiedzając kraj zaprzyjaźniony, nie czuł się dumniejszym od Roberta — a nawet jego położenie było o tyle wygodniejszym, iż nie potrzebował się obawiać bomb anarchistów! Zostawił nawet swój łuk, strzały i ma-

czugę na ławce darniowej przed chatą, gdzie poprzednio siedział.

Tymczasem słońce wznosiło się coraz wyżej, jednak Marsjanie, pomimo swych puchowych ubrań, wygrzewali się w jego promieniach na progach swych chat, błogo uśmiechnięci.

Robert spostrzegł ze zdziwieniem, iż około trzydziestu ludzi było bardzo zajętych budową nowej chaty. Wkopawszy w ziemię cztery bukowe słupy, pletli teraz ściany i dach z trzciny, powoli, lecz z wielką uwagą i pilnością, co w robocie bywa nieraz lepszym, niż nerwowy pośpiech. Staruszek w brązowych piórach wytłomaczył Robertowi na migi, iż mieszkanie to miało być dla niego przeznaczonem, czem ten ostatni uczuł się wzruszonym i rozrzewnionym.

— Oto dzicy — pomyślał — którzy przechodzą cywilizowanych ludzi dobrocią i delikatnością!

I wstyd go ogarnął na wspomnienie walk o pieniądź i potęgę, wszystkich okrucieństw, jakich widownią jest Ziemia... Uczuł jednak pewną dumę, myśląc, jak hojnie będzie mógł obdzielić różnemi umiejętnościami tych biedaków, którzy nie znali nawet użytku ognia, żywiąc się surowem mięsem i takiemiż roślinami.

Zauważył, iż mowa tubylców składa się wyłącznie z samogłosek, lecz chciał wiedzieć imiona starca i dziewczyny; pocałował ją więc w rękę (co jej zdawało się być nader przyjemnem) i po długiej mimice dowiedział się, iż imię jej było Eoja.

Następnie z równą grzecznością zapytał staruszka, na co otrzymał uśmiech i odpowiedź: — Uau!

Powtórzenie tych imion przez Roberta rozradowało

ich posiadaczy: śmieli się dobrodusznie i głaskali go po twarzy.

Nagle powstał wielki ruch w wiosce. Na łodziach, uplecionych z trzciny i okrytych zewnątrz skórami fok, przyplýwali ludzie, przywoząc worki różnych jadalnych korzeni i stosy zwierzyny, którą to żywność kobiety i dzieci rozdzielaly z wesołością i śmiechem między wszystkich mieszkańców wioski.

— Szczęśliwi ludzie! — wykrzyknął Robert — nie znają uczucia posiadania czegobądź na własność, a zatem i różnych walk i nieszczęść, jakie ono za sobą pociąga!

Usiadł na ławie darniowej przed swoim przysłem mieszkaniem, lecz Uau, zbliżywszy się do niego, dał mu znak, aby szedł za nim. Zaprowadził go na koniec wioski, gdzie wznosił się rodzaj szopy z gliny i gałęzi: w głębi widniały zarysy jakiejś wstrętnej postaci.

Bożyszczce to przedstawiało z przerażającą wiernością wampira, podobnego temu, który napastował Roberta.

Tułów był wyrobiony z drzewa, a skrzydła, podtrzymywane cienkimi gałęziami, były umalowane na kolor żółto-brudny mieszaniną jakiejś delikatnej gliny z tłuszczem. Głęboko osadzone oczy, krótki, jak u buldoga, nos, potężna paszcza — wszystko czyniło tę twarz straszliwą i oddane było ze ścisłością drobiazgową.

Lecz, co najdziwniejsza, u stóp wzniesienia w kształcie ołtarza, na którym był umieszczony ów ohydny bożek, były poprzywiązywane przy palach wbitych w ziemię — różne zwierzęta i ptaki. Były tam wszystkie gatunki zwierząt i ptaków, od fok i kormoranów, do szczurów: słowem, okazy całej fauny tego kraju.

Robert spostrzegł tam nawet zwierzę, którego dotąd na tej nowej planecie nie spotkał: był to gatunek wołu, na nogach bardzo niskich, z końskim ogonem i rogami niezmiernej wielkości. Było ono podobnem do yaka, żyjącego w Himalajach, do antylopy gnu, oraz kanadyjskiego wołu piźmowego.

Wszystkie te zwierzęta na uwięzi, ryczały, wyły, piszczwały, co razem tworzyło zespół ogłuszający.

Widok ten dał poznać Robertowi, iż wampiry były dla mieszkańców tego kraju pasożytnemi bóstwami, którym musiano poświęcać najlepsze sztuki bydła i zwierzyny; w razie przeciwnym sami stawali się ofiarami tych krwiożerczych potworów.

Znać było zresztą po wytrzeszczonych ze strachu oczach Marsjan, po drzeniu, jakie ich przejmowało pomimo puchowych ubrań, jak się lękali tych groźnych straszyleł.

Robert zapytał na migi staruszka o imię tego bożka.

— Erloor! — odrzekł bojaźliwie Uau.

To posępne imię zastanowiło Roberta. Dotąd we wszystkich słowach Marsjan słyszał wyłącznie samogłoski — w tej jedynej nazwie usłyszał spółgłoski. Dlaczego tak było?..

Zamyślony, dał się zaprowadzić do drugiej podobnej świątyni, gdy wtem myśl nagła przejęła go strachem i niepokojem.

— Mój ogień! Pewnie go wampiry zagasiły!..

### Ogólna radość.

Krew ścieła się z przerażenia w żyłach Roberta na myśl, że skorzystano z jego nieobecności, aby zagasić ognisko. O mało nie oszalał z niepokojem.



Zaczął na migi prosić i nakazywać naprzemian swoim towarzyszom, aby szli za nim jaknajprędzej.

Ich obecność wprawdzie nie mogła mu się na nic przydać; lecz szło mu o zyskanie odrazu możliwie wielkiego wpływu na Marsjan, obudzając ich podziwienie!

W głębi duszy błogostawił tych pocziwców, obiecując sobie bronić ich od nieprzyjaciół i wydać wojnę bez miłosierdzia krwawym Erloorom.

Marsjanie, choć nieco zdziwieni, dali się namówić i wkrótce Robert uśmiechnięty mimo niepokoju, prowadził ich znajomymi już ścieżkami przez zarośla czerwonej wikliny.

Droga była dość krótką, lecz w miarę zbliżania się do celu, serce Roberta ogarniał niepokój i musiał użyć całej siły woli, aby nie okazać trwogi tym dwojgu, którzy wzięwszy go za ręce, szli obok uważnie i z uszanowaniem, jak grzeczne dzieci.

Jeszcze jeden zakręt drogi... i krzyk przerażenia wy dobył się z ust Roberta. Ujrzał przed sobą ognisko, niepojętym sposobem zalane prawie zupełnie. Gęsty dym wznosił się z wielkiego stosu gałęzi wilgotnych, a żar, wydzielając kłęby pary, syczał i trzaskał. W pobliżu nie było nikogo.

Robert skoczył, jak szalony, nie dbając na poparzenia, chwycił żarzące się jeszcze węgle i odrzucał na miejsce suche. Zgarnawszy je razem, zaczął na nie rzucać, co miał pod ręką: suchą trawę, gałęzie, kawałki drzewa—a przykucnąwszy na ziemi, zaczął z całej siły płuc dmuchać rozpaczliwie na te resztki ogniska.

Wkrótce dym biały, a po nim piękny jasny płomień wzbity się w górę ze stosu prawie tak wielkiego, jak poprzedni.

Robert powstał zmęczony, zdyszany i otarł uznajone czoło.

— Ładnie pilnowałem mego skarbu — mruknął — ale to już się nie powtórzy!

Spojrzał na swoich towarzyszy: stali z początku wystraszeni szybkimi ruchami Roberta, a teraz widok płomienia wprowadził ich w niesłychane zdumienie...

Uśmiechnął się do nich, uspokoił przyjaźnie, a następnie zaczął się przyglądać zgasłemu ogniewi, chcąc się dowiedzieć, jakim sposobem niegodziwe Erloory (gdyż było to niewątpliwie ich sprawą) potrafiły go zalać.

Zobaczył ze zdumieniem, iż od stosu do trzęsawiska biegł rodzaj kanału, tak prostego, jak gdyby go wyznaczył biegły geometra. Kanał ów okrężał dokoła ognisko i dlatego woda wystąpiwszy z brzegów, tak szybko je zalała...

Robert stał niepewny, zamyślony. Ta praca, obmyślona i wykonana tak starannie, celowo — zdumiewała go i przerażała.

Przypominał sobie kanały, odkryte na Marsie przez astronoma Schiaparellego w 1877 r. i rozmyślał, dlaczego ich tu dotąd nie spotkał? Przecież są one znane wszystkim obserwatorom nieba, a wymiary ich bywają olbrzymie: długie na 1000 do 5000 kil.; są szerokie zwykle przeszło na 120 kil.

Sposób wykonania tej pracy, wprawne rozmieszczenie wyrzucanej z kanału ziemi, dowodziły zupełnej w tych rzeczach biegłości. Jednak, zdaniem Roberta, robota obecna musiała być wykonaną przez stworzenia niezbyt inteligentne, trzymające się ślepo danego wzoru: robota człowieka myślącego podczas niej i o innych

rzeczach, miewa zwykle drobne niedokładności, których unika istota mniej inteligentna, spełniająca swoje zadanie z dokładnością maszyny. Pszczoła, pająk, bób — nie popełniają w robocie swojej omyłek; człowiek się myli.

Tu zaś kopczyki torfu i ziemi gliniastej, wyrzucane na brzegi kanału, były z nadzwyczajną symetrią ukladane i rozmieszczane. Żaden nie był ani na linję większym od drugiego, ani nie stał w większym oddaleniu od drugiego; wszystkie były kształtu stożkowego i nosiły odciski szponów.

— A jednak — rzekł do siebie Robert — to nie jest robota Erloorów! Z budowy ich oczu<sup>1</sup> znać, że mogą widzieć i szkodzić tylko w nocy...

Przyszło mu na myśl więc, że wampiry mają jakichś groźnych pomocników — lecz to nie zachwiało jego odwagi.

— A więc będziemy walczyć! — zawołał — wolę świat zaludniony potworami, aniżeli pusty! Mam do pomocy, jako swego sprzymierzeńca, wszystką wiedzę, zdobytą przez lata całej nauki na Ziemi! Pomoc to wielka i mogę wierzyć, iż przyjdzie dzień, w którym zostanę władcą lub bóstwem tego nowego świata... Tego zresztą nie pragnąłbym, lecz pokonać złe i szkodliwe istoty — starać się będę ze wszystkich sił.

Zatopiony w tych marzeniach, Robert zapomniał o swych towarzyszach, którzy tym czasem spoglądali trwożnie na ów kanał.

Nieszczęsny mieszkaniec Ziemi, bez swej woli znajdujący się tutaj, zrozumiał, że siłą jego w przyszłości, będzie zaufanie tych ludzi; postanowił więc zdobyć je — i utrzymać. Z miłym uśmiechem przyprował

ich do stosu, który teraz wybuchał jak pożar i wyciągnawszy ręce, począł je grzać przy ogniu.

Marsjanie naśladowali go z rozkoszą i tak ochoczo, że ich musiał nieco odciągnąć, aby sobie nie poparzyli rąk.

— Nie omyliłem się — mruknął, patrząc na nich z litością — ci biedacy nie znają dobrodziejstw ognia... Trzeba więc, abym był dla nich Prometeuszem!

I uśmiechał się na myśl o radości, zdziwieniu, jakich napewno będzie świadkiem. Na początek, wziął ze swej «spiżarni» ćwiartkę surowego mięsa i osadziwszy je na kiju bukowym, jak na rożnie, zaczął je piec nad żarzącymi się węglami.

Wkrótce przyjemny zapach uderzył powonienie Marsjan, którzy zbliżyli się z zajęciem, uśmiechnięci, spoglądając pożądliwie na dopiekające się mięso.

— Wybornie! — zawołał Robert, zapominając, że nie może być zrozumianym — oto jest pieczeń z rożna, tak znakomita, jakiej nie kosztowaliście zapewne nigdy! Ale trzeba wszystko robić porządnie — oto tak!

I łącząc czyn do słów, ostrym kawałkiem łupku odkrajał dwa zrazy soczystego mięsa i podał je swym gościom, którzy nie dali się prosić i zajadali z apetytem. Na ich twarzach malowało się tak radosne zdziwienie, iż znać było wyraźnie, iż biorą Roberta za jakąś wyższą istotę.

Uau chylił przed nim głowę z uszanowaniem, a Eoja całowała pokornie jego ręce.

Podczas, gdy tych dwoje dojadało resztki mięsa, «wyższa istota» naścinała sitowia i trzciny, a upłotszy z nich naprędce niezbyt wprawdzie zgrabny, lecz mocny koszyk, wyłożyła dno jego kawałkami

wilgotnego łupku, na które nasypała popiołu, na to sporo żaru, który został również przykryty popiołem. Ten szacowny koszyk przywiązano na środku długiego kija, którego końce ujęli mężczyźni i puszczone się w drogę powrotną do wioski.

Eoja otwierała pochód, niosąc łuk, strzały i resztę zwierzyny.

Tak wyglądał tryumfalny pochód inżyniera Roberta Darvela.

Przed odejściem na nowy stos narzucił mnóstwo gałęzi, aby na wszelki wypadek było tu jeszcze przez jakiś czas zapasowe ognisko.

Ludność wioski, zgromadzona pośrodku na placu, oczekiwała ich niecierpliwie i przyjęła okrzykami radości, która doszła do szalu, kiedy Robert z pomocą Eoi, złożywszy uroczyście węgle na miejscu suchem i wyniosłem, rozpałił wielki ogień, nad którym słup dymu wznosił się ku niebu.

W godzinę później wioska przybrała wygląd olbrzymiej kuchni: wszędzie porozkładano ogniska, na których pieczono kaczki i dropie, a przed chatą Uau, na skrzyżowanych palach zawieszono całego wołu, wypchanego aromatycznymi ziołami. Pod popiołem pieczono kasztany wodne, wydające po upieczeniu zapach świeżego chleba.

Wioska nie pamiętała zapewne takiej uczty. Przejorniejsi uzbili się zawczasu w łyżki, aby bez straty czasu wziąć się natychmiast po podziale żywności do jedzenia.

Ogień zaś wzbudził w nich taki zachwyty, że ogrodzili miejsce, gdzie płonęły stopy, mocnym częstokołem i postawili przy nim stróżów z drewnianymi maczugami.

### Niszczzenie bożków.

Robert po namyśle osądził, iż ostrożność ta nie była zbyt dużą. Dziwiło go tylko to, iż pośród ogólnej wesołości, Uau i Eoja pociągali go często za rękę, jakby mając coś ważnego do powiedzenia. Kiedy zwrócił na to uwagę, zaprowadzili go do szopy, gdzie królował wstrętny Erloor; Uau miał minę smutną i niespokojną, Eoja oczy pełne łez. Wielu z mieszkańców wioski przyszło za nimi.

Dla uspokojenia ich Robert uśmiechnął się. Przez głowę przebiegła mu myśl, iż jest to właściwa chwila, by się zdobyć na krok stanowczy.

Bez namysłu zbliżył się do bożka i silnym pchnięciem zrzucił drewniane straszdyło ze wzniesienia, na którym stało, a przyciągnąwszy je za skrzydło do najbliższego ogniska, rzucił w płomień. Następnie szybko i zręcznie poprzecinał rzemyki, trzymające na uwięzi wszystkie stworzenia, przeznaczone na ofiarę mocnemu bożkowi.

Nigdy żaden misjonarz, burzący fetysze jakiegoś narodu afrykańskiego, nie był tak dumny z dokonanego przez siebie dzieła.

Wkrótce jednak zjawiono się w umyśle Roberta pytania: jakie następstwa będzie mieć ten krok dokonany bez namysłu?

I zaniepokoił się tem nieco.

Widząc posąg groźnego władcy, padający w ognisko, Marsjanie wydali przeciągły okrzyk zdumienia i zgrozy, po którym tłum stał długo milczący i nieruchomy.

Drżeli całym ciałem, bladzi ze strachu, a nawet Uau i Eoja usunęli się z ruchami wyrażającymi zgorzelenie.

— Zdaje mi się — rzekł w duchu Robert — że posunąłem się nieco za daleko tym razem.

Trzeba było teraz jaknajprędzej uspokoić i umocnić moralnie, wystraszonych, drżących Marsjan. Lecz to okazało się niezbyt łatwym zadaniem: zmieszani i strwożeni usuwali się od Roberta, nie ośmielając się spojrzeć na niego.

Niektórzy z nich, myśląc zapewne o zemście krwawych Erloorów, mieli łzy w oczach. Byli pewni, iż z nadejściem nocy żarłoczne Wampiry wyprawiają sobie z nich zbiorową ucztę.

Robert zrozumiał odrazu stan duszy tych biednych dzikusów i smutek ich wzruszył go do głębi.

— Uspokójcie się! Nic się wam nie stanie! — zawołał głosem pełnym siły i pewności siebie — nie obawiajcie się! Przymierzam, że będę was bronił przeciw Erlooram; od dziś zaczynam z nimi walkę i jestem pewien zwycięstwa!

Strwożony tłum nie rozumiał tych słów, lecz wyraz twarzy i uspakajające ruchy Roberta wywarły dobre wrażenie. Dla utrwalenia go, starał się im wytłumaczyć na migi, iż pod jego opieką i mając na swe usługi ogień, nie potrzebują obawiać się Wampirów.

Patrzyli na niego uważnie i życzliwie, lecz widocznym było, iż nie rozumieją go dokładnie. Nakoniec Uau i drugi jeszcze starzec pojęli myśl Roberta i z okrzykami radości zaczęli to tłumaczyć zebrany, w języku dziwnym, bo pozbawionym zupełnie spółgłosek.

Ta wiadomość uradowała Marsjan mocno; niektórzy byli jeszcze nieco strwożeni, lecz większość uspakajała się stopniowo i pociągani ciekawością obejrzenia przygotowań do uczyty, rozeszli się z hałaśliwą wesołością.

Jednak Uau i Eoja nie odeszli, lecz ku zdziwieniu Roberta, znów go brali kolejno za ręce, wskazując mu coś w oddali; poszedł więc z nimi a oni wkrótce zaprowadzili go do przeznaczonej dla niego chatki. Była już prawie gotową i bezsprzecznie najładniejszą i najwygodniejszą ze wszystkich.

Ściany ułożone z cegieł glinianych, przeplatanych gałęziami, były grube i stanowiłyby wyborną osłonę od zimna, gdyby nie to, że wejście było tylko zawieszane matą, uplecioną z sitowia. Podłogę stanowiły bryły łupku; była ona wprawdzie chropowata, lecz pokryto ją ładną matą z czerwonej wikliny.

Najprzyjemniejszym jednak był dla Roberta widok ciepłej kołdry puchowej z piór dropia, leżącej na wzniesieniu ułożonem z mchu, oraz wbitych w ziemię gałęzi. Nakoniec zimno przestanie mu dokuczać podczas snu!

Były tam też niektóre sprzęty i naczynia: ławka z drzewa i trzciny, oraz miski i łyżki z drzewa bukowego, lub wydrążone w kamieniu; noże krzemienne oraz inne pierwotne bronie.

Nakoniec, w jednym kącie leżały ćwiartki mięsa, jarzyny, kasztany wodne i mała ilość soli, jako największego przysmaku.

Lecz właściciel tego pięknego mieszkania nie pozostawał w niem długo. Podziękowawszy, jak umiał najlepiej, swoim przewodnikom, zatknął za pas największy i najostrzejszy z krzemiennych noży i wziął



w rękę krótką, lecz bardzo grubą maczugę, przeznaczoną zapewne do zabijania fok i wołów marsyjskich i udał się za swymi gospodarzami, którzy znów go ciągnęli w inną stronę.

Zaprowadzili go znów do świątyni, podobnej do pierwszej, a ich dobroduszne twarze wyrażały ciekawość i obawę. Chcieli się widocznie przekonać, czy ich gość okaże się również mężnym wobec drugiego bóstwa.

Robert, ujrzawszy owo bożyszcze, zaledwie powstrzymał okrzyk zdziwienia. Miał przed sobą dziwaczny twór, długi a przysadkowaty zarazem, stojący na sześciu bardzo krótkich łapach, zaopatrzonych w czerwone, długie, zakrzywione szpony, które się zdawały umyślnie stworzone do kopania ziemi.

To dziwaczne, niezgrabne straszdyło było połączeniem kształtów płaza, owadu i kreta. Głowa, koloru czerwono-brązowego, jak i reszta ciała, nie miała śladu oczu; lecz paszcza była uzbrojona licznymi i silnymi zębami, wystającymi na zewnątrz, jak kły u dzika. Nos, wydłużony w kształt trąby, miał na końcu twardy pazur, co czyniło napad tego zwierzęcia, (jeśli istniało ono rzeczywiście), dość niebezpiecznym.

Robert milcząc przypatrywał się potworowi, usiłując odgadnąć jego naturę, podczas gdy Marsjanie, pełni trwogi, śledzili wyraz jego twarzy.

Zrozumiał więc, iż nie powinien okazywać bojaźni, gdyż wtedy utraciłby dla nich cały swój urok.

— Otóż to jest piękny okaz roślinożercy i kopacza na wzór kretów ziemskich, tylko w olbrzymich rozmiarach! — zawołał z wymuszonym uśmiechem. — Poznając teraz biegłego sapersa, który wykopał rów, dla zalania mego ogniska wodą i pojmuję dlaczego podłoga

w chatach jest wyłożona bryłami łupku. Teraz już wiem, dlaczego powierzchnia Marsa jest poprzecinana kanałami!

Po tej przemowie, objawszy silnie wstrętne bożyszczę ramionami, zwałił je ze wzniesienia na ziemię, następnie, popychając nogą, wyrzucił ze świątyni.

Dowiedział się nazwy tego straszzydła: brzmiała ona «Roomboo».

— Doskonale! — zawołał Robert — niech więc Roomboo idzie tam, gdzie już poszedł Erloor!

I zaciągnął kłodę do najbliższego ogniska, gdzie niebawem spłonęła.

Zauważył przytem z wielkiem zadowoleniem, że ta powtórna egzekucja słabsze zrobiła na Marsjanach wrażenie niż pierwsza; widocznie, pomimo ociężałości swych myśli, zaczęli już pojmować prawdę.

Robert jednak nie pozostawił im czasu do rozmyślań nad następstwami swego śmiałego kroku: zwrócił ich uwagę na ucztę, która się miała wkrótce rozpocząć, a której oczekiwali z pożądlivością — mieli jeść po raz pierwszy pieczone mięso!

Wygląd ich podczas zdejmowania z rożnów mięsa, był wysoce komiczny; cisnęli się do ognia, który ich ogrzewał z rozkoszą a zarazem ze strachem: nuż się poparzą, lub przypalą swoje piękne ubrania z piór? Oblizywali się przytem na myśl o uczcie i wdychali z zachwytem zapach piekącego się mięsa.

Kiedy nareszcie wszystko już było gotowe, ułożono pieczone na wielkich misach drewnianych, a wprawni krajczowie, krzemiennymi nożami krajali je na kawałki.

Robert, chcąc zachować swoją powagę i wyższość, nie czekał ogólnego podziału; nałożył na swój półmisek najlepszy kawał wołowiny, kilka kawałków kaczek, oraz dropi, dodał do tego największe i najlepiej upieczone kasztany — i wszystko to zaniósł do swojej chaty.

Jadł więc sam, nie mieszając się z tłumem biesiadującym, aby zachować pozór istoty wyjątkowej i winszował sam sobie swej energii oraz przytomności umysłu.

Zrazu jadł jak żarłok: głód i ciężkie niewygody ostatnich czasów dały mu szalony apetyt — wszystko mu smakowało wybornie i miał wrażenie, iż się nigdy nie nasyca.

Z zewnątrz dochodziły go głosy radosne, tłumione pochłanianem łakomie jedzeniem; to ludność wioski wyrażała swój zachwyt z posiadania ognia i smacznego jedzenia.

Robert czuł całą swoją wyższość nad tymi biedakami — postanowił też zaznajamiać ich stopniowo z temi zdobyczami cywilizacji, które mogły im być potrzebne.

— Poczciwi ludziska! — szepnął z rozrzewnieniem. — Nauczę ich wielu, wielu rzeczy... Najprzód pokażę im, jak się robi garnki, gdyż ich naczynia są zanadto pierwotne i niedołążne! Potem przyjdzie kolej na stolarstwo — niech mają przynajmniej ławki i stoły... A później, później... znajdę prawdopodobnie rudę żelazną i miedzianą między skałami, (a czemużbym nie miał znaleźć złota, platyny, lub radu), nauczę ich sztuki wytapiania i obrabiania metali. Co za rozkoszna rzecz, budować, cegielka po cegielce, nową cywilizację, przechodzić szybkim krokiem te okresy, które z takim

trudem i mazurem przebywała ludzkość na Ziemi... Tego wszystkiego ja dokażę!

Z tych błogich marzeń wyrwał go szelest u wejściowej zasłony: to Eoja weszła i stojąc zdaleka, patrzyła na niego z uśmiechem smutnym, lękliwa i niespokojna.

Wziąwszy go za rękę, wyprowadziła z chaty i wskazała najprzód na zachodzące za ciemne chmury słońce, a potem na przygasające ognisko, z którego zamiast jasnych płomieni, wznosiły się ku niebu cienkie smugi dymu.

Serce się ścisnęło Robertowi, gdy ujrzał wszystkich mieszkańców wioski tak najedzonych, że się wprost ruszyć nie mogli. Siedzieli bezczynnie na ławkach w pobliżu chat, trzymając na kolanach misy z resztkami smacznego jadła.

Nic dziwnego, iż Robert zadrżał na myśl, że podczas nocy, która wkrótce miała już zapaść, Wampiry mogą wyrzucić straszną zemstę na tych bezbronnych i ocięzanych istotach.

Jakże gorzko sobie wyrzucał zbył długi odpoczynek. Szczęściem było jeszcze dosyć czasu na przygotowania do obrony.

Eoja spoglądała na niego z pokorą i lękliwie; zaczął więc jej tłumaczyć, przeważnie na migi, że nie potrzebują przy nim się obawiać niczego. Słuchała go chciwie, wierzyła, nie rozumiejąc jego słów, a to jej zaufanie dodało mu nowych sił do pracy dość ciężkiej.

Pierwszem staraniem jego było zgromadzenie takiej ilości paliwa, aby utrzymać ogień przez noc całą; Eoja pomagała mu w tym usilnie. Później pobudzili ze snu najmniej ospałych, między nimi i szanownego

Uau, który, ziewnąwszy kilkanaście razy, oraz kichnąwszy potężnie, zdał sobie wreszcie sprawę z groźnego położenia.

Miał i on jednak dosyć kłopotu, zanim wytfomaczył swym ociężałym współziomkom, o co chodzi, gdyż ci w swej naiwności byli mocno przekonani, że skoro wstrętne bóstwa zostały zniszczone, nie potrzebują się niczego obawiać.

Nakoniec, po wielu przemowach i pantominach, przystąpiono do zabezpieczenia się od napaści Erloorów.

Dokoła wioski zapłonęły ogniska i miały się palić przez noc całą, do czego przysposobiono mnóstwo paliwa. Każde ognisko było ułożone na bryłach łupku, aby nie tak łatwo było podkopać się pod nie i zalać je wodą.

Robert wyznaczył stróżów, mających czuwać przy ogniskach: mieli nie spać, lecz podsycać ogień, aby się wciąż palił. On sam zaś, jako kierujący obroną, postanowił sobie nie kłaść się wcale, tylko obchodzić stróżujących, aby ocenić ich gorliwość, a zarazem odkryć zawczasu wszelkie zasadzki nieprzyjaciela.

Główny posterunek przy wielkiem ognisku pośrodku wioski, miał być dla Roberta miejscem odpoczynku między jednym a drugim obchodem wartowników.

Eoja przyniosła sobie matę z wikliny, a ułożywszy się na niej, wkrótce usnęła głęboko.

Tymczasem noc zapadła. Dwa księżycy, otoczone białemi chmurkami, zabłyśły na tle ciemnej nocy, wartownicy, przejęci ważnością chwili, czuwali nad ogniami, a reszta ludności, budząc się stopniowo ze swej ociężałej drzemki, rozeszła się do chat. Płomienie ognisk w spokojnem powietrzu wznosiły się prosto

w górę, a blask ich odbijał się w pobliskich jeziorach. Wszystko zapowiadało noc spokojną, i wioska, otoczona kręgiem ognisk, spała cicho.

Trzy razy już Robert obszedł ogniska i nie znalazł żadnego zaniedbania: wszyscy czuwali — ogniska płonęły.

Okolo północy, znużony dniem pracowitym i rozmarzony ciepłem ogniska, przyniósł ze swej chatki matę, obiecując sobie odpocząć godzinę lub dwie; lecz był tak zmęczony, iż usnął natychmiast.

Dzienne wrażenia powtórzyły się we śnie: ujrzał (co mu się często od niejakiego czasu zdarzało) swą ziemską narzeczoną, która tu przybyła wraz z Ralfem, a on podzielił się z niemi swoją najwyższą władzą.

Miss Alberta, jako królowa, wzięła na damę dworu małą Eoję, Ralf był pierwszym ministrem, a szanowny Uau, za swój dobry apetyt, intendentem wydziału żywnościowego.

Straszliwe Erloory i Roomboo zostały ujarzmione i służyły wiernie swoim poskromicielom.

Następnie Robert ujrzał się w wielkiej muszli, ciągnionej w powietrzu przez dwanaście wampirów, któremi z łatwością kierował za pomocą drażka z ostrym kolcem, jakiego używają przy jeździe na słoniu.

Cóż to za czarowna była podróż! Skrzydła wampirów wydawały stłumiony, lekki szelest i unosiły Roberta wysoko, aż do dwóch księżyców.

Nagle ujrzał się z powrotem na Ziemi; przywieszone przez niego minerały, rośliny, zwierzęta, drogic kamienie, wywołują zdumienie wśród uczonych... Monarchowie europejscy zasypują go listami — dostępuje

zaszczytu wprowadzenia go do Akademji Królewskiej w Londynie i Akademji Nauk w Paryżu..

Oto wchodzi do sali posiedzeń tego świetnego zgromadzenia, lecz ze zdziwieniem widzi się w jakiejś ciemnej jaskini, olbrzymiej, ponurej, gdzie setki Erlo-orów latają wciąż z ogłuszającym szumem skrzydeł, krążąc tuż nad nim... czuje na sobie spojrzenia tych strasznych, płomiennych źrenic..

Zbudził się z czołem, oblanem zimnym potem i miał zasnąć na nowo, gdy krzyk rozzwierający zmałował ciszę nocy...

Co to było?...

. . . . .

### N o c n a w a l k a .

Robert zerwał się, pełen zgrozy. Ten krzyk szalonego przestachu, stłumiony jakby chrapaniem, nie pozostawiał żadnej wątpliwości: to jeden z czuwających strażników został napadnięty, a może i zamordowany!

Chwyciwszy więc maczugę i nóż krzemienny, pobiegnął w stronę, skąd krzyk dał się słyszeć. Było to na końcu wioski; po drodze widział, jak jej mieszkańcy wybladli, strwożeni, stali wsłuchani w ów krzyk krótki, urwany.

Może teraz gorzko żalowali swego zaufania względem przybysza, który im dał ogień a poniszczył ich bóstwa?...

Myśl ta była dla Roberta prawdziwym wyrzutem sumienia: uważał za nikczemność swój długi odpoczynek—

przecież jest jedynym obrońcą tych biedaków, na których ściągnął prześladowanie!

Ostatnie ognisko zastał prawie zagasłe, strażników przy niem nie było, natomiast w trzcinie nadbrzeżnej słychać było jakieś szamotanie się...

Pobiegł tam: nieszczęśliwy Marsjanin, pochwycony w połowie ciała przez potężne łapy jakiegoś zwierzęcia, ukrytego w zaroślach, rzucał się i chwycił rękami trzcinę i krzaki z jakąś rozpaczliwą siłą. On to napadnięty w pierwszym śnie, wydał ów krzyk, który zbudził Roberta.

Wśród krzaków, w dostatecznej odległości od ognia, błyszczały tysiące światełek; były to iskrzące oczy Erloorów, siedzących tam na czatach.

Nie było chwili czasu do stracenia: Robert zadał potężne uderzenie maczugą w tył głowy potwora, a ten ogłuszony ciosem, wypuścił trzymaną zdobycz. Nie dając mu czasu do obrony, Darvel zanurzył mu głęboko między łopatki swój nóż krzemienny. Zwierz ryknął stłumionym, chrapliwym głosem, zaczął bić ziemię wszystkimi łapami, z pyska buchnęła fala czarnej krwi i wkrótce już nie żył.

Oswobodzony Marsjanin pobiegł do ogniska, na które natychmiast zaczął z pośpiechem i przerażeniem rzucać gałęzie, drząc jeszcze ze strachu.

Robert przyciągnął do ogniska zabite zwierzę. Był to przepyszny okaz: łapy silne, jakby stworzone do kopania ziemi, miały palce połączone błoną, ułatwiającą pływanie; kły były bielsze od słoniowych, a futro miękkie i puszyste, jak u wydry morskiej.

Robert postawił stopę na powalonym wrogu i ruchami nakazał patrzącemu nań z uszanowaniem Marsja-





Robert zadał potężne uderzenie maczugą w tył głowy potwora, ...

ninowi sprowadzić towarzyszy, aby byli świadkami jego tryumfu.

Wkrótce przybyło ich ze dwudziestu; otoczyli martwe zwierzę dokoła, a na ich puciołowatych twarzach widniał podziw i strach razem...

Ażeby im ostatecznie dać do poznania, iż teraz nie potrzebują obawiać się Roomboo, ale mogą je uważać za zwyczajną zwierzynę, nożem swoim naciął skórę zwierzęcia, następnie ściągnąwszy ją, odkrajał jedną z ćwierci i położył na węglach.

Wywarło to wielkie wrażenie: Marsjanie pociągnięci przykładem, wzięli się tak śpiesznie do dzieła, że w krótkim czasie groźny wprzód Roomboo został poćwiartowany na kawały. Dla wyrażenia swojej radości, zaczęli tańczyć dokoła ogniska, wdychając z lubością zapach piekącego się mięsa.

Obróciwszy się, Robert zobaczył przy sobie małą Eoję, która spoglądała na niego z uśmiechem. Obudzona również jak i on, rozpaczliwym krzykiem, przyszła aż tu za Robertem, który był wzruszony jej troskliwością o niego. Ofiarował jej też porządny kawał upieczonego mięsa, który natychmiast zaczęła zajadać z wielkim apetytem.

Zwycięzca także go skosztował: było smaczne i soczyste, czerwone, lecz bez zapachu tłuszczu, jak się tego obawiał.

Teraz cała wioska była w ruchu: wszędzie dorzucano gałęzi na stosy, które płonęły jasno, a kobiety i dzieci, odziane tylko w rodzaj długich koszul, uplecionych z miękkiego łyiczka, przypatrywały się skórze Roomboo. Niektórzy mężczyźni padali na kolana przed Robertem.

Ażeby utrwalić w nich przekonanie o swojej wyższości, polecił Eoji, aby mu przyniosła łuk i strzały, a wtedy przytwierdziwszy do strzały niewielką, płonącą jeszcze główkę, wycelował swój łuk w stronę, gdzie oczy wampirów iskrzyły się gęsto w ciemnościach, jak świętojańskie robaczki — i wypuścił strzałę, wespół ogólnego milczenia.

Pocisk musiał być celny, gdyż w ciemnościach rozległy się ostre chrapliwe krzyki, rozdzierające miauczenia, głuchy szum — i wszystkie światełka znikły, tylko przez czas jakiś słychać było jeszcze jakby błagania, czy pogróżki, wygłaszane w nieznanym języku.

Wreszcie i to ucichło, lecz natomiast ogień zaszczał, zaszumiał i wybuchnął słupem pary i dymu. Woda, doprowadzona przez drugiego Roomboo podziemnym kanałem pod ognisko, wybuchła i ogień zalała.

Ale tym razem, nauczony już doświadczeniem, Robert szybko odgarnął żarzące się z boku węgle na miejsce dalsze i suche, i z maczugą w jednej ręce a z gałęzią płonącą w drugiej, stanął nad brzegiem blizkiego jeziora. Gdy wkrótce wynurzyła się z wody wstrętna głowa Roomboo, zadał jej cios tak potężny, że wkrótce wyciągnięto na brzeg martwego potwora. Wtedy to Robert mógł się jeszcze lepiej przyjrzeć dziwnej budowie jego ciała, a szczególnie nóg.

Przednie, nadzwyczaj długie i rozrośnięte, miały tak silne pazury, iż mogły w kilka chwil wykopać dół w najbardziej kamienistym gruncie. Druga para, umieszczona po bokach, przypominała raczej pletwy: te nogi miały palce grube a krótkie, połączone błoną; pazurów prawie nie było. Musiały one służyć temu ślepe-  
mu zwierzęciu do opierania się na błocie lub grzązkiem

bagnie były zaś umieszczone w połowie ciała; za nimi kręgosłup się skrzywiał, tułów się zwięzał jak u osy, a biodra i tylne nogi ogromne, z pazurami i palcami wykręconemi na zewnątrz, wyraźnie były przeznaczone do wyrzucania rozkopanej ziemi. Zupełny brak oczu, zaledwie widzialne uszy i paszcza uzbrojona w kły straszliwe, z długim nosem, zakończonym twarzym pazurem — uzupełniały wstrętny a dziwaczny wygląd tego olbrzymiego kreta.

Robert, który nie tracił nadziei powrotu na Ziemię, obiecywał sobie, iż kiedyś uzyska od zarządu Ogrodu Aklimatyzacyjnego w Paryżu, porządną sumkę za taki okaz, jaki ćwiartowali przed jego oczami najprzedniejsi mieszkańcy wioski, wydając gardłowe pomruki radości.

Wioska oświetlona zewsząd płonąciami stosami, miała wygląd niezwykły: Marsjanie wracali do chat, a każdy z nich niósł kawał mięsa z groźnego wprzód Roomboo, wszyscy zaś wrzeszczeli jakieś pieśni, złożone z gardłowych dźwięków.

Zapewne był to hymn tryumfalny.

O ile się okazywali tchórzliwymi wobec niebezpieczeństwa, o tyle powodzenie ich rozzuchwalało.

Stopniowo wszyscy się rozeszli i Robert pozostał przy swem ognisku sam jeden; mała Eoja, znużona czuwaniem i przebytymi wrażeniami, znów spała na swej macie.

Nasz zwycięzca, nie zaślepiony powodzeniem, zdawał sobie jasno sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa. Przerażała go ciężąca na nim odpowiedzialność za życie tych bezbronnych ludzi, gdyż wiedział dobrze, że godzina deszczu wystarczy na to, by ogniska zalać, a całą ludność wydać na łup krwiożerczym wampirom.

Był zatem zdenerwowanym i wzburzonym a spokoj, z jakim Eoja spała na swej macie, nie udzielał mu się wcale. Jakże niecierpliwie wyglądał pierwszego blasku jutrzeńki!

Co pewien czas, z maczugą w rękę i nożem u pasa, obchodził wszystkie ogniska, budząc uspionych, dorzucając gałęzi na ogień, badając okolicę — bardziej zajęty, niż Napoleon w wigilję bitwy pod Austerlitz.

Obłoki stały się ciemniejsze, stosy paliły się cicho i milczenie nocy przerywały tylko złowróżbne krzyki ptaków nocnych, które zdawały się wołać chrapliwie:

— Biada! biada!

Zmęczony Robert usiadł przy ognisku, lecz tu zauważył rzecz zatrważającą: z góry leciały ciągle jakieś drobniutkie ziarenka, spadały gęsto na ognisko i pokrywać je zaczęły białawą powłoką. Spojrzał w górę i dojrzał jakiś punkt ciemniejszy na tle chmur, wielki i ruchomy, z którego spadał na ognisko deszcz wilgotnego, czerwonego piasku, coraz gęstszy, gwałtowniejszy, grożąc rychłem zasypaniem ognia.

Co robić? Niegodziwe Erloory krążyły tak wysoko, iż strzały nie mogły ich dosięgnąć. Obchodząc wioskę, widział je, jak spuszczały się całemi stadami na ziemię, to znów unosiły się w górę...

Zapewne wtedy robiły zapasy piasku.

Przerażała go szczególna zaciętość wampirów, które wybrały do zagaszenia jego ognisko z pomiędzy tylu innych; widział, że wkrótce musi ono zniknąć pod rosnącym wciąż pokładem piasku. Rozbudził małą Eoję, która mogła być żywcem zasypaną przez ten deszcz szatański.

Robertem o władnęła rozpacz: pojął, że po zniszczeniu jego ogniska, ten sam los spotka wszystkie, a wtedy mieszkańcy wioski, pogrążonej w ciemnościach bezbronni i niedołężni, staną się łupem tych potworów — i to z jego przyczyny!

— A jednak nie ulegnę w tej walce! — zawołał z wściekłością — muszę ich pokonać — muszę!

Już mu jednak brakło pomysłów do obrony: napróżno otrząsał głownie, rozdmuchiwał płomień: powolny a gęsty deszcz piaskowy, nieustannie dusił i przygasał ognisko. Zaczął strzelać z łuku na oślep w górę, przytwierdzając do strzał małe głownie. Z początku skutkowało to trochę, kilka ostrych krzyków dało się słyszeć, lecz piasek wciąż padał, a wampiry wzniosły się wyżej, gdzie już były niewidzialne.

Wtedy mała Eoja, przytulona lękliwie do Roberta, powzięła myśl szczęśliwą. Ognisko to było od wczoraj otoczone palisadą: pokazała mu więc na migi, że na pale te trzeba nakłaść gałęzi, aby utworzyły dach gęsty, nie przepuszczający piasku. Wzięli się oboje do roboty i wkrótce ognisko zostało pokryte gałęziami oraz kawałkami darni. Pale były dość wysokie, tak, że ogień mógł się palić swobodnie do rana i trzymać tymczasem wampiry w przyzwoitej odległości.

To nasunęło Robertowi myśl urządzenia podstępu, który, w razie powodzenia mógł zapewnić stanowcze zwycięstwo.

Pozastaniał poznoszonemi z chat matami oraz darnią, przerwy między palami, zakrywając ognisko, a sam położył się w pobliżu i mając pod ręką maczugę i nóż, leżał cicho, bez ruchu.

Jak to przewidział, Erloory znużone walką i dźwiękiem spoglądaniem na blask ognia, nie mogły zrozumieć, co się stało z ich prześladowcą.

Podstęp powiódł się w zupełności: gromada wampirów opuściła się na ziemię z cichym szelestem skrzydeł.

Serce Roberta biło gwałtownie, lecz postanowił nie zrobić żadnego ruchu, dopóki go nie dotkną swymi zimnymi, wstrętnymi rękami... nakoniec uczył na twarzy i plecach lodowate, miękkie dotknięcie...

Skoczył na równe nogi, zerwał z ogniska okrywające je maty i zaczął, jak szalony, walić maczugą na prawo i lewo!

Wampiry przerażone, oślepione blaskiem ognia, zakotłowały się w miejscu, tworząc spletaną gromadę, wrzeszczącą dzikimi głosami. Ich twarze przybrały ze strachu barwę ziemistą; niektóre z nich, lecąc na oślep, wpadały wprost w płomień, wyjąc straszliwie. A ciosy maczugi spadały wciąż, rozbijając głowy, łamiąc ręce!

Z bystrością, o którą Robert jej nie podejrzewał, Eoja dopomagała mu na swój sposób, rzucając wciąż nowe paliwo na ogień, który teraz buchał wysokim płomieniem, oświetlając pole bitwy, zasłane trupami.

Kilka Erloorów, ruchami prawie ludzkimi, prosiło o litość.

Odgłosy tej walki rozbudziły niektórych Marsjan; przybiegli z nożami w rękę i po chwili wahania, rzucili się, by dobijać ogłuszonych uderzeniami maczugi.

Dzień wschodził powoli i przy jego blasku można było ocenić cały ogrom porażki wampirów.

Ku wielkiemu zdziwieniu Roberta, spokojni Marsjanie okazywali zawziętość i okrucieństwo, o które trud-

no było ich posądzać. Zapewne mścili się za całe wieki prześladowania i tyranji.

Potem spokojnie podzielili się zabitymi wampirami, unosząc je do domów, aby uraczyć się ich mięsem.

Z trudnością udało się Robertowi ocalić od zemsty Marsjan jednego wampira, który raniony w skrzydło, rzucał się po piasku, jak wielki nietoperz.

Eoja już się nań zamierzyła maczugą, lecz inżynier zasłonił go i wytłomaczył jej na migi, iż go sobie zabiera, jako swoją część łupu.

Związał swego niewolnika pętami z kory wierzbowej i uprowadził do swej chaty, gdzie wampir w ciemności przyszedł do siebie i uspokoił się nieco.

Robert złożył go na macie i postawił w pobliżu mięso, oraz korzenie roślin jadalnych.

Erloor nie tknął jednak tych pokarmów i leżał nieruchomo dość długo; poczem chciał się wdrapać na ściany, wydając jęki żałosne, przyczem drżał całym ciałem i przeciągał się, chcąc zerwać swe więzy.

Światło zdawało się sprawiać mu ogromną przykrość: gdy Robert otwierał drzwi, wampir rozwijał skrzydła, drapał ściany pazurami, jęcząc i krzycząc naprzemian.

Zdawał się być trudnym do oswojenia, lecz Robert postanowił próbować tego, myśląc, iż jedynie z pomocą Erloorów poznać może wszystkie tajemnice nowej planety.

## O d k r y c i a.

Kilka dni następnych były dla Roberta dniami triumfów, a czas ulatywał jak sen czarowny.



Władza jego nad Marsjanami była nieograniczoną. Odziany we wspaniałą suknię z piór jaskrawych i w takiż kołpak w kształcie djademu, miał straż przyboczną z dwunastu silnych, uzbrojonych ludzi.

Uau i Eoja towarzyszyli mu ciągle, ucząc go miejscowego języka, którym się już posługiwał nieźle, w czym nie było nic dziwnego, gdyż mowa ta składała się zaledwie z dwustu wyrazów, utworzonych wyłącznie z samogłosek: spółgłoski występowały tylko w nazwach rzeczy strasznych lub szkodliwych.

Robert cieszył się szacunkiem i przywiązaniem swoich podwładnych, posuniętem do fanatyzmu i uwielbienia.

Pewnego dnia spostrzegł ze zdziwieniem swoją podobiznę, wyrobioną z drzewa, gliny i kolorowej skóry, umieszczoną w jednej ze świątyń, gdzie niegdyś odbierał cześć Erloor.

Wytłomaczył jednak otaczającym, że nie życzy sobie być stawianym na równi z tymi drapieżnymi zwierzętami, ponieważ chce ludzi obdarzać tylko dobrem: dostatkiem, sprawiedliwością i pokojem.

Zasady te odpowiadały łagodnej i spokojnej naturze ludności, co mu zjednało wielką popularność.

W kilka dni po walce z wampirami, stanęły dokoła wioski wysokie kominy z surowej cegły, a raczej otwarte piece, pokryte dachami, w których ogień palił się swobodnie, zabezpieczony od deszczu lub piasku z rąk wampirów, na podkładzie z wielkich kamieni, przeciw którym Roomboo były bezsilne.

Porobiono też na nie doły, w które to zasadzki wpadało ich po kilka codziennie, a ludność zabijała je

maczugami. Odtąd wioska spała spokojnie, otoczona wieńcem płonących ognisk.

Pewnego dnia Robert wsiadł w łódkę, uplecioną z sitowia i obciągniętą skórami fok i używał pysznej przejażdżki po kanałach, obserwowanych przez ziemskich astronomów; miały one pozór wielkich rzek, któremi woda z morza dostawała się w głąb lądu, na południe. Nie zwracając uwagi na wprawę swoich wiosłarzy w kierowaniu łódką, do czego używali wiosel, zakończonych rodzajem łyżki, Robert kreślił ostrym kamieniem na kawałku łupku zarysy lądów planety, posiłkując się wspomnieniami z dzieł Schiaparellego i Flammariona.

W szkicu tym uderzała go pewna szczególność: wszystkie oceany znajdowały się na północy, a lądy na południu. Zdawało mu się, iż rozwiązał zagadkę, nad którą tak długo suszyli głowy astronomowie i uczeni.

— Ależ to bije w oczy! — zawołał z uniesieniem — dziwi mię, że nikt się tego dotąd nie domyślił! Cały Mars jest jednym wielkim bagniskiem i w porze puszczania lodów po sześciomiesięcznej zimie wszystko byłoby wyschniętem podczas wiosny i lata, trwających każde po sześć miesięcy, gdyby nie kanały! Niemi to z północy na południe dochodzi ożywcza woda!

Zastanawiało go tylko to, iż astronomowie stwierdzili istnienie w pasie zwrotnikowym gór, których szczyty bieleją podczas zimy.

— To wcale nie obala mojej teorii — rzekł, jak gdyby odpowiadając komu niewidzialnemu — mogą być wśród tych bagnisk i górzyste okolice... Lecz jeśli są góry, muszą być i doliny zaciszne, ogrzewane półrocznem latem, gdzie rosna wszelkie rośliny krajów gorących,

a zimą stanowi pora deszczów... Astronomowie zapominają widocznie o tem, że rok na Marsie ma 687 dni, wszystko więc ma czas do dojrzenia!

Tu zapadł w głęboką zadumę; teraz pojął, dlaczego tu drzewa były tak olbrzymie, a rośliny tak rozrośnięte: istnienie ich bowiem było dwa razy dłuższem, niż na Ziemi. Pragnął zobaczyć, jak piękną będzie jesień, pogodna a tak długa, gdy cała przyroda będzie powoli i długo zamierać, strojna w bogate kolory, nieznanne mieszkańcom Ziemi. Jakże cudnem tu być musi powolne, długie budzenie się natury ze snu zimowego, co za przepych kwiatów, po śnie tak długim witających powrót słońca!

Później lato zwrotnikowe upalne, lasy złocistego koloru, jesień w czerwieni i złocie, wśród żalonych okrzyków ptaków wodnych, lecących całemi chmarami...

Myślał o tych zmianach przyrody z zapalem naturalisty. W myśli jego rysowały się wymarzone wspaniałe rośliny; widział cieniste, głębokie wąwozy, zarosłe gęstwiną drzew, splątanych ljanami: tam to chroniły się Erloory przed jasnością dnia, po swych krwiożerczych, nocnych wycieczkach; na wzgórzach rosły palmy kokosowe i daktylowe, pomarańcze, obciążone owocami, roztaczające jednocześnie upajający zapach swych śnieżnych kwiatów.

Nagle gniew go ogarnął:

— Nic nie znam dotąd — zawołał — nic nie widziałem jeszcze na tej planecie tajemniczej! Wiem tyle, ilebym wiedział, spadłszy na Ziemię między Eskimosów lub mieszkańców Ziemi Ognistej! A przecież mogą tu istnieć, oprócz Erloorów, inne istoty, piękne, rozumne, szczęśliwe, zamieszkujące inne, cieplejsze okolice

o żyznych polach i kwiecistych łąkach, gdzie panuje obfitość i szczęście!

W tej chwili spostrzegł, że Uau i Eoja słuchali go w zdumieniu, patrząc mu trwożnie w oczy.

Uspokoił ich uśmiechem i ruchem ręki, a tymczasem nowa zmiana krajobrazu przerwała jego smutne myśli.

Spód łódki uderzył o dno kanału, wyłożone granitem, wybornie obrobionym. Przyjrząwszy mu się bliżej, Robert stwierdził, że budowniczkowie tych kanałów, równie jak starożytni Egipcjanie, rozsadzali bryły granitu za pomocą marznącej wody, bez używania jakichkolwiek narzędzi.

Pomiędzy trzcunami pływało sporo tych ziemnowodnych stworzeń, które Marsjanie zwali Roomboo. Na jedno z nich Robert już był wznosił maczugę, gdy Eoja chwyciwszy go za rękę, zdołała mu wytłumaczyć, iż na kanałach nie wolno ich zabijać; są to niejako urzędnicy tych arterji wodnych — istoty pożyteczne, a więc nietykalne.

— Zjadają wprawdzie wiele ryb — mówiła — lecz zato oczyszczają rzeki, są więc bardzo potrzebne. Zabijamy je tylko wtedy, gdy nas napastują, lecz to już zapewne nigdy się nie powtórzy, ponieważ władcy ich, Erloory, zostali zwyciężeni raz na zawsze!

Robert wysiadł na brzeg, porośły czerwonymi roślinami, lecz dalszą drogę zagroził mu wał kamienny, utworzony z głazów źle obrobionych w kwadraty, nie spojonych niczem, lecz ułożonych jedne na drugich.

Pojął wtedy, co znaczą owe linje na brzegach kanałów, obserwowane przez ziemskich astronomów:

zabezpieczały one ład od wylewów gwałtownie na wiosnę płynących wód, utrzymując je w kanałach.

Z tych rozmyślań zbudziły go wołania wiosłarzy: pokazywali mu strome schody, wiodące na szczyt skał.

Któż to mógł zbudować? przecież nie opaśli, dobrodusznym Marsjanie!

Lecz czekały go jeszcze inne niespodzianki.

Niedaleko stamtąd, ujrzał prawdziwe miasto marsyjne, gdyż miało około dwóch tysięcy chat; przyjęto go z uniesieniem, do którego się przyczyniły opowiadania Eoji.

Ci nowi znajomi dostali dar królewski: w glinianej misie nieco żarzących się węgli. Eoja nauczyła ludność, jak się trzeba obchodzić z tym szacownym podarunkiem i wkrótce powtórzyły się tu sceny, już przez nas opisane: stos buchał płomieniem, zapach pieczonego mięsiwa napełnił powietrze, posągi Erloorów i Roomboo strawione zostały przez ogniska, których łańcuchem zostało otoczone całe miasto.

Lecz Roberta już nużyły te hołdy i okrzyki ludności — po lekkim posiłku, kazał płynąć do innej wioski, gdzie czekało go znów to samo.

Wszędzie, gdzie przebywał, wypowiadano bezlitośną wojnę znieprawionym Erloorom; nikt już ich się nie bał i wszędzie ludność żywiła się ich mięsem.

Życie Roberta było teraz jednym ciągiem tryumfów i radości; zasypywano go pieścizotami i podarunkami, on zaś używał wszechstronnej sławy, jako kucharz, wódz naczelny, mąż stanu, doktor, inżynier, będąc na nieznanym planecie pierwszym przedstawicielem tych umiejętności.

Wszędzie też, z jego rozkazu, budowano wieże, w których płonęły ognie.

Spokój i bezpieczeństwo zapanowały w całej rozległej okolicy. Wampiry po doznanej klęsce nie napastowały nikogo, gdyż wyniosły się w głąb kraju, gdzie ich straszliwy urok nie był niczem naruszony.

Dwa jednak młode wampiry, które, oślepione blaskiem, wpadły w ognisko, z rozkazu Roberta złapano i uwięziono, w oczekiwaniu sprawy o zakłócenie spokoju publicznego, napad z włamaniem i usiłowanie morderstwa, których to zarzutów Marsjanie nie pojmowali, a tem samem nie umieli ocenić ich całej doniosłości.

Piątego dnia tego tryumfalnego pochodu, po nieskończeniu długich wędrówkach przez czerwone lasy i kanały szerokie, jak morza, Robert doznał silnego wrażenia.

Znalazł się przed pałacem z różowych gładów, będącym już tylko ruiną bluszczem obrosłą, lecz która przypominała dokładnie, tak ogólnym kształtem, jak i szczegółami, ziemskie gmachy.

Był to prawdziwy labirynt bram, wieżyczek, balkonów i minaretów, który zdawał się być nie do rozwikłania. Były tam schody o paruset stopniach, kończące się w próżni, których kamienie obluźniły się i porzusowały — sklepienia, trzymające się jakimś cudem w równowadze, niby arkady olbrzymich, zdumiewająco zuchwale rzuconych mostów.

Balkony były na połamanych kroksztynach o kształtach olbrzymich, zwierzęcych lub ludzkich, którym brakowało to głów, to ramion...

Tę wspaniałą ruinę okrywała bujna, przepyszna roślinność: czerwone bluszcze, buki, brzozy, otulały ją płaszczem zieloności, zakrywając rany, zadane przez czas, jakby chcąc przeszkodzić ostatecznemu rozpadowi się jej w gruzy. Marsjanie oddalili się ze zgrozą od tych ruin, wśród których potworne postacie Erloorów, wyrobione z niesłychanym podobieństwem, rozwijały na sklepieniach swe skrzydła olbrzymie, lub oplatały kolumny, owijając się dokoła nich.

Napróżno Robert łamał sobie głowę, chcąc rozwikłać różne sprzeczności, mające związek z ową ruiną.

Jak pogodzić istnienie takiej budowli, niezaprzeczenie dzieła wielu artystów i uczonych, ze znikczemieniem, jeśli nie zezwierzęceniem mieszkańców tej planety? A te kanały, budowane z taką sztuką?

Przypuściwszy nawet, że kopały je olbrzymie, dziwaczne Roomboo, to jakież gienjalny inżynier nakreślił ich plany, oznaczył ich rozmiary i kierunek, kto je obłożył olbrzymiami bryłami kamieni regularnego kształtu? Przecież nie ślepe Roombool...

— Bezwątpienia — rzekł do siebie Robert — patrzę na ślady i ruiny starożytnej, kwitnącej niegdyś cywilizacji, która teraz powoli powraca do stanu barbarzyństwa!

Przybywano znów do nowej wioski — i to przerwało jego rozmyślenia. Znów go tu czekało to samo przymusowe widowisko zapału ludności, okrzyki na cześć jego, uczt...

To wszystko straciło już powab nowości, było tylko ciężkim przymusem...

— Teraz pojmuję — szepnął — skąd pochodzi troska, zaciemniająca twarze wielkich tego świata i to nawet

w chwilach najweselszych. I ja już tego doświadczać zaczynam...

To też uczuł się szczęśliwym, gdy po hucznie przyjęciu, mógł w cichej chatce ułożyć się do snu i otulić w przepyszny płaszcz puchowy, ofiarowany mu przez uwielbiających go poddanych, a który mu służył za płaszcz koronacyjny i kołdrę zarazem.

### Ulepszenia.

Przeszło kilka miesięcy. Robert Darvel używał przywilejów prawdziwie królewskich: podług jego planu i wskazówek, Marsjanie zbudowali mu obszerne i wygodne mieszkanie, które w porównaniu z otaczającymi je lepiankami, śmiało mogło być nazwane pałacem.

Ludność przestała się lękać Erloorów: każdą wioskę otaczały teraz pola uprawne, a w nocy broniły od skrzydlatych wrogów ogniska płonące na mocnych fundamentach, przykryte grubymi dachami.

Wobec tego, wszelkie podstępny wampirów i Roomboo były bezskuteczne.

Nieznany wprzód spokój i bezpieczeństwo zapanały w rozległym kraju. Wszędzie znać było rozumną pracowitość. Statki, zbudowane podług modeli, dostarczonych przez Roberta, były większe i wygodniejsze, polowanie i rybołówstwo zyskały mnóstwo nowych narzędzi: Marsjanie się cywilizowali!

Przed nadejściem zimy, budynki, przeznaczone na składy żywności, zapełniano z pośpiechem różnymi zapasami, wprzód nieznanymi: teraz każda chata posiadała pewną ilość solonej wołowiny, wędzonych ptaków



wodnych i zapasy jarzyn surowych, oraz układanych w naczyniach i zalewanych oliwą z kasztanów wodnych.

Znaleziona w górach dzika winorośl, przesadzona na uprawną ziemię, wystawioną na działanie słońca, dawała już większe i słodsze jagody i Robert miał nadzieję, iż dawszy swym poddanym poznać zalety wina, odegra więc względem nich rolę Bachusa lub Noego, tak, jak już był dla nich Prometeuszem, Solonem i Hannibalem.

Z radością też odkrył w skałach wyborną rudę żelazną, z której otrzymał pierwotnym sposobem wytopione żelazo, co umożliwiło zaopatrzenie się w najpotrzebniejsze narzędzia, które choć nie tak dobre, jak stalowe, były jednak wielką pomocą w pracy.

Wielu ludzi czułoby się w położeniu Roberta szczęśliwymi; lecz nasz wygnaniec właśnie teraz, gdy urzeczywistnił wiele ze swych zamiarów i spodziewał się nawet nawiązać komunikację z Ziemią, czuł się owładniętym nieprzewyciężoną tęsknotą.

Byłby dał wiele — nie! byłby oddał wszystko, co tu posiadał i czego dokonał, za możliwość znalezienia się w Londynie, za ujrzenie swego dzielnego Ralfa i swej dawnej narzeczonej...

I jeszcze jedna troska go gnębiła: mała Eoja nie opuszczała go prawie, powtarzając mu wciąż, iż chce zostać jego żoną i zaślubić go podług miejscowych zwyczajów, co na Marsie bywa obchodzone wspaniałą ucztą i krzykliwymi śpiewami.

Robertowi jednak to uczucie młodej dziewczyny było z wielu powodów przykrem. Wspomnienie miss Alberty było dlań zawsze równie drogiem i za każdym razem,

gdy na pogodnym niebie widział Ziemię, jako gwiazdkę drobną, myśli jego ulatywały w przestworza i wszystkie Marsjanki o różowych, okrągłych twarzach i dziecinnym uśmiechu, były mu najzupełniej obojętne.

Lecz Eoja z każdym dniem mizerniała coraz bardziej (Uau, jej dziadek, opowiadał ze smutkiem, iż obecnie na jej ubranie starczy połowa dawnej ilości skórek ptasich), a ponieważ już się poduczyla niezłe francuskiego języka, zanudzała Roberta swymi naiwnymi opowiadaniem.

Stroiła się teraz wykwiśnię, w piękne futra z najjaskrawszych piór, naszyjniki z drobnych ziarenek, błyszczące kamyki — lecz to wszystko, niestety, nie zachwycało Roberta.

Robert był coraz więcej tem wszystkiem znużony i często przedsiębrał długie wycieczki łódką, ażeby się oderwać od tych kłopotów.

W ten sposób poznał większą część północnych krain planety i naszkicował ich topografię.

Były one dość jednostajne: wszędzie nieskończone lasy o złoto-czerwonych liściach i również nieskończone bagniska, pustkowia, jeziora... Gdzieś spotykał ludzi, lecz wszyscy byli do siebie podobni: niezgrabni, głupowato uśmiechnięci, ociężali...

Wiedział, że na południu planety istnieją kraje o przepysznej roślinności; lecz przewoźnicy odmawiali stanowczo płynięcia w tamtą stronę i twierdzili, iż te kraje były pod władzą Erloorów i innych, również groźnych istot.

To wszystko jednak, zamiast zniechęcić Roberta, podniecało tylko coraz bardziej jego ciekawość.

— Ta część planety, którą poznałem, jest stanowczo najdzikszą i najędzniejszą — myślał — lecz muszę poznać resztę!

To pragnienie stawało się codzień potężniejszym, a myśl o możliwych niebezpieczeństwach podniecała tylko jego zapał.

Przyszło mu na myśl, że Erloor, schwytyany podczas walki, mógłby mu opowiedzieć cokolwiek o tych tajemniczych krainach, dokładał więc wszelkich starań, aby oblaskawić to zwierzę, które trzymał w izbie, podziemnej, karmiąc surowym mięsem...

. . . . .

. . . . .

### Kryształowa góra.

Robert mógł do pewnego stopnia uważać się za bardzo szczęśliwego, a nawet możliwie szczęśliwego człowieka.

Jednak, dawna żądza przygód nie wygasła w nim: w oczekiwaniu bardziej szczegółowego poznania nowej planety, wynalezienia sposobu komunikacji z Ziemią i możliwego tamże powrotu, postanowił przynajmniej wybrać się na samotną wycieczkę w dalekie strony, bez towarzyszy, których naiwne uwielbienie było mu już uciążliwym.

Oddawna słyszał od Eoji, że na południu znajduje się straszna dolina, w którą się nawet Erloory nie zapuszczają. O istnieniu tej doliny mówiły odwieczne podania, lecz starcy, obecnie żyjący, nie umieli powiedzieć o niej nic pewnego. Wiedziano tylko, że leżała

między dwiema górami nadzwyczajnej wysokości i że żyły tam straszne, nigdzie nie spotykane zwierzęta. Marsjanie nazywali ją — Doliną Śmierci.

To było wystarczającym, aby Robert zapragnął zwiedzić ten tajemniczy zakątek, chociaż mu to powszechnie odradzano. Te obarczone przekleństwami góry nie były nawet zbyt daleko: jak zapewniali starcy, ujrzeć je można było po trzech dniach drogi. Podróż ta nęciła Roberta tem więcej, iż dotąd gór wyższych nie spotykał.

Pewnego ranka więc, zebrawszy jaknajdokładniejsze wskazówki, puścił się w drogę, uprzedzając swoje otoczenie, iż zajmie mu ona parę tygodni.

Wszyscy byli przyzwyczajeni do jego wycieczek i mieli tak wysokie wyobrażenie o jego inteligencji oraz odwadze, iż nikt nie myślał, aby mogło mu grozić poważne niebezpieczeństwo.

Eoja tylko nieco płakała, lecz Robert pocieszył ją obietnicą przyniesienia jej nieznanych owoców, lub błyszczących kamyków, jak to często czynił.

Cel podróży nie był nikomu wiadomym.

Wydostawszy się ze swego mieszkania, idąc pod sklepieniem czerwonych liści, Robert doznawał niewypowiedzianej rozkoszy: powietrze było wonne, ciepłe; złoto-czerwone lasy rozwijały przed nim swój przepych, przytem w dalszej drodze spotykał mnóstwo nieznanych kamieni, roślin i owadów. Poznawał łatwo kierunek drogi po drzewach omszonych od strony północnej i był przekonany, iż nie zagraża mu żadne niebezpieczeństwo, oprócz Erloorów.

Trzy dni pierwsze przeszły bez żadnych przygód: zaspakajał głód zabijaną zwierzyną, noce zaś przesypiał

w wypróchniałych pniach drzew, lub w gęstych krzakach.

Nad wieczorem trzeciego dnia, jak mu to obiecywano, ujrzał ostre, zębate szczyty gór, prawie jednakowego kształtu i wysokości. Dosięgnął ich zaledwie przy końcu dnia następnego: krajobraz zupełnie się zmienił, pyszne lasy zastąpiła spiekła, gliniasta równina, poprzerzynana szczelinami, gdzie się chroniły wielkie, czerwone jaszczurki o spłaszczonej głowie i małych, okrutnych jak u krokodyła, oczach.

Wkrótce stanął przed zwałem kamieni czerwonych, jak gdyby obrobionych ręką ludzką i tworzącym podstawę góry. Zwał ten był stromy, gładki, bez wgłębień ani szczelin.

Robert szedł kilka godzin, wzdłuż tej przeszkody nie do przebycia; upał stawał się nieznośnym, czego nie doświadczał w zwiedzanych dotąd miejscach.

Czuł wielkie zmęczenie, które go nabawiało zawrotu głowy — ogień zdawał się napępniać powietrze, nic jednak na ziemi nie miało cech wulkanicznych. Kraj ten zdał mu się niegościnnym, wrogim i ze zdziwieniem stwierdził, iż prawie żałuje, że się tak oddalił od swoich pocziwych Marsjan.

Odłożył dalszą podróż do jutra i znalazłszy wgłębienie pod skałą, spędził w niem noc, wyrzuciwszy wprzód stamtąd kilka dużych jaszczurek i założywszy wejście sporemi kamieniami.

Spał jednak źle. Budził się z uczuciem nieokreślonej trwogi, ze ściśniętym sercem, oddychając szybko i gwałtownie. Pokonany znużeniem, usypiał i znów się wkrótce budził przygnębiony i zdenerwowany. To

też z uczuciem ulgi ujrzał blask słońca i puścił się w dalszą drogę.

Dziwiło go nadzwyczaj to gwałtowne podwyższenie temperatury w tak krótkim czasie: teraz otaczały go niewidziane wprzód rośliny, czepiające się rozpadlin skalnych, rozkładając grube, jasno-żółte liście, lub wznosząc w górę sztywne, kolczaste świece, podobne do kaktusów Ameryki środkowej. Owady o wielkich skrzydłach, płazy ogromne, rozdęte, świadczyły o nagłej zmianie klimatu.

Nakoniec upał dosięgnął najwyższego stopnia: pot spływał z czoła Roberta, który zaledwie mógł się poruszać—a wał kamienny wydłużał się wciąż, zasłaniając przed nim drugą stronę widnokregu, mocny, groźny, wysoki...

Lecz przy nagłym zakręcie, krajobraz zmienił się z szybkością błyskawicy. Wał zakończony olbrzymią, do chmur sięgającą wieżycą, urywał się tutaj, otwierając widok na niezmierny las drzew podzwrotnikowych. Robert nie bez zdziwienia rozpoznawał w nim gatunki, zbliżone do rosnących na Ziemi palm, bananów i bambusów.

— Jednak przyroda wszędzie trzyma się raz zakreślonego planu — mruknął do siebie Darvel; — podług jednego wzoru wytwarza tysiące odmian, niewiele różniących się między sobą! Dostatecznie ściśła logika mogłaby przewidzieć przyszłe możliwe gatunki roślin, jak chemja wskazuje nam nowe ciała, powstające z kombinacji znanych pierwiastków.

Pomimo tego, co wygłaszał, Robert musiał przyznać, iż ani na trzęsawiskach indyjskich lub środkowoafrykańskich, ani w dziewiczych lasach brazylijskich,

nigdzie nie spotkał tak potężnej, szalenie bujnej jak tutaj roślinności.

Drzewa strzelały w górę niebotycznymi koronami na dwieście do trzystu metrów, o liściach gęstych, mięsistych, fijołkowych lub purpurowych, a wielkich jak żagle. Z dolnych gałęzi wyrastały nowe drzewa, wrastające korzeniami w najmniejszą szczelinę w korze, lub spuszczające je aż do ziemi w poszukiwaniu pożywniejszego pokarmu: wskutek tego, las ten dzielił się na dwadzieścia lub trzydzieści pięter, wyrastających jedno nad drugim.

Wijące się wszędzie ljanya i gałęzie, oparte wzajem na sobie, nie dawały upadać zgniłym i zmurszałym drzewom; z nich czerpały życie inne rośliny — a ta cała mieszanina korzeni, kwiatów, łodyg, owoców, w nadmiarze żywotności podobną była do rozhukanego morza, będąc jednak wspanialszą od niego.

Były tam korony kwiatów, wielkie jak trawniki, palmy, pod cieniem których mogła się zmieścić cała wioska, olbrzymie cykasy, rozrosłe jak wieże.

Robert zatrzymał się zdumiony, podziwiając ten przepych roślinności tem dziwniejszy, że zdawał się być zamkniętym w ściśle oznaczonej granicy i że się tak naprędce, niespodziewanie zjawiał przed jego oczami.

Ten fakt obalał wszystkie jego spostrzeżenia co do klimatu.

— A jednak musi to mieć swoją przyczynę... i to zupełnie prostą! — zawołał — jej odkrycie jest mi zapewne przeznaczonem.

Szukał jej jednak napróżno: nie mógł zbadać przyczyny istnienia tej puszczy podzwrotnikowej w kraju chłodnym, ani odkryć źródła tak nagłej zmiany klimatu,

na przestrzeni kilkuset metrów. Zauważył też, że ten las, zjawiający się tak niespodzianie, był zaludniony mnóstwem stworzeń, dotąd mu nieznanych; a tak jak w lasach przedpotopowych, których pnie, zwęglone powoli w ziemi, bez dostępu powietrza, tworzą teraz kopalnie węgla — przeważały i tu płazy i gady.

Zwinne jaszczurki i kameleony, węże drzewne, przesuwające się z gałęzi na gałąź, olbrzymie ropuchy wzrostu człowieka, podskakujące ciężko, ubarwione zielono, w plamy krwistego koloru...

Owady były równie liczne: wspaniałe motyle o tęczkowych skrzydłach, żuki zielono-niebiesko-złociste, wielkości gołębia, piękne, a dziwaczne, jak starożytne obrazki japońskie.

Ptaków natomiast było niewiele: czaple o wydętych wolach dziobały z powagą drobne jaszczurki, sępy, których krwisto-czerwone skrzydła odcinały się wyraźnie od jasnego grzbietu. Lecz ssącego zwierzęcia — ani śladu!

Robert Darvel stał na brzegu tej puszczy, nie odważając się zajrzeć w nierozwikłane głębie zarośli, gdzie się ukrywać musiały drapieżne lub jadowite zwierzęta; wiedział, że w tym wielopiętrowym lesie mógłby błądzić całymi tygodniami, nie wiedząc, gdzie się znajduje i w którą stronę iść powinien.

Ogarnęła go niepewność: pot go oblewał, z lasu szły podmuchy upalnego, skwarne powietrza, a przecież widział w odległości stosunkowo małej, chłodne lasy północne, które niedawno opuścił... To było nie do pojęcia!

Zagłębił się między te roślinne olbrzymy, lecz tu, jak zwykle w takich puszczech, ziemia, pozbawiona



dostępu słońca i powietrza, pełną była zgnilizny, grzybów i gadów — niepodobna było myśleć o zagłębieniu się w te wilgotne przepaście!

Lecz Robert Darwel nie uznawał się tak łatwo za zwyciężonego, ani się cofał przed jakąkolwiek przeszkodą.

Po długich rozpatrywaniach, znalazł olbrzymi cedr, odosobniony nieco od innych drzew, który miał jakieś sto metrów wysokości. Wdrapanie się na ów kolos nie przedstawiało szczególnych trudności: gałęzie były gęste i tak grube, że dwóch jeźdźców obok siebie mogłoby po nich galopować, nie zawadzając sobie nawzajem. Robert z łatwością doścignął wierzchołka, płosząc po drodze miliony rudych wiewiórek.

Gdy wreszcie mógł ogarnąć wzrokiem okolice, został olśniony... Las, który teraz prawie cały widział, zajmował przestrzeń podłużną, połowa zaś tego owalu wchodziła w pasmo gór, które ją okrężały łańcuchem szczytów tak równej wysokości, jakby wymierzonych przez biegłego geometrę.

Lecz najdziwniejszem było to, że szczyty owe, które dotąd zakrywał przed okiem Roberta wał kamienny i las — rzuciły tak oślepiające blaski, jakby cały łańcuch gór był zbudowanym z najczystszeo krysztalu.

Las z okresu mamuta, ukoronowany olbrzymią tęczę — oto, co ujrzał Robert z wierzchołka swej strażnicy!

Przyglądając się uważniej, rozpoznał, iż to były rzeczywiście góry, ułożone z olbrzymich płaszczyzn krysztalowych, ustawionych pod różnemi kątami.

— Zwierciadła magiczne! — wykrzyknął zdumiony.

I patrzył pełen podziwu, na to arcydzieło, które musiało kosztować całe stulecia pracy i którego sam pomysł już był gienjalnym!

A przed oczami swemi miał nie pomysł, lecz fakt niezaprzeczony! Teraz wszystko się wyjaśniało: ściany owego łańcucha gór, skupiając promienie słoneczne i wysyłając je na ową czarodziejską dolinę, stwarzały ten wyjątkowy klimat, do czego musiały się przyczyniać i inne jeszcze, gienjalnie obmyślane warunki, których Darvel na razie nie mógł odgadnąć.

Zamyślił się głęboko...

Kim być mogli autorowie i wykonawcy tego cudu?

Z pewnością nie jego poddani, ani ich wrogowie, Erloory!

I myślał dalej ze smutkiem, że rasa inteligentnych istot musiała na Marsie wygasnąć przed wiekami!

Lecz teraz w mózgu jego, nawykłym do logicznego myślenia, zjawilo się pytanie: dlaczego ciągłe działanie tych zwierciadeł, za pomocą których Archimedes — sposobem, nienaśladowanym przez nikogo, spalił flotę rzymską — nie zapaliło lasu?

Wkrótce znalazł i na to odpowiedź.

W samym środku elipsy, utworzonej przez zadrzewioną dolinę, widać było wpośród obłoków białej pary punkt błyszczący, który wyglądał jak szczyt wydłużonej piramidy. Było niewątpliwem, że promienie słoneczne, odbite od kryształu gór, skupiały się w tym punkcie, aby następnie, rozchodząc się równomiernie po tej czarodziejskiej dolinie, wytwarzać nieustanne, podzwrotnikowe lato.

Darvel przypuszczał, że dla osiągnięcia tego, musiały być do tej budowy użyte i kruszce, będące szczególnie dobrymi przewodnikami ciepła: na razie jednak nie mógł ogarnąć wszystkich szczegółów.

Jednak obecność pary dowodziła istnienia jakiegoś zbiornika wody, która rozprowadzona kanałami po dolinie i prawdopodobnie mocno ogrzana, dopełniała tego gienjalnego dzieła, wytwarzając ciepło i wilgoć, niezbędne dla roślin podrównikowych.

Słowem cała ta dolina była olbrzymią szklarnią, obmyślaną i urządzoną cudownie.

Robert zszedł coprędzej z drzewa.

Powziął postanowienie zbadania jak najszczegółowszego zakłętej doliny; nie żałował teraz wcale, iż się oddalił od swych lękliwych poddanych.

Wkrótce przekonał się o słuszności swoich domysłów.

O sto kroków od drzewa znalazł murowany kanał, napełniony parującą, czarną wodą; wyziewała ona woń ostrą i mdlącą zarazem. Robert zanurzył palec w tej wodzie i dotknął do ust: miała smak gorzko metaliczny.

Jako dobry chemik, Darvel był biegłym w rozróżnianiu wszystkich znanych substancji, tak, że rozpoznawał od pierwszego rzutu oka wszystkie kwasy, pierwiastki, sole, niedokwasy i t. p.

To też po chwili namysłu, stwierdził niewątpliwie, iż woda w kanale była nasyconą solami, które mają własność zachowywania przez całe godziny, a nawet dnie danej temperatury. Sole te zresztą są używane także w przemyśle. Tak więc nie zaniedbano niczego, co mogło się przyczynić do rozwoju roślinności, istotnie bajecznej.

Na każdym kroku Robert spotykał coś zadziwiającego. Ileż jeszcze tajemnic kryje w sobie ów las nieprzenikniony?

Uzbrojony nożem, którym sobie w zaroślach torował drogę, szedł przez czas jakiś brzegiem kanału, który w pewnych odstępach rozwidlał się na dwie odnogi: każda z nich dalej znów się rozdzielała i tym sposobem tworzyło się mnóstwo kanałów, przebiegających dolinę powikłanymi zakrętami, tworzącymi istny labirynt.

Nagle uwagę jego zajął szczególny widok. O kilka kroków zobaczył niewielkie drzewko, będące raczej kłębkim splecionych ljan, najeżonych kolcami; pośrodku widać było koronę kwiatu, na której brzegach również sterczały gęste kolce.

Dziwaczny ten kwiat miał około pół metra średnicy; środek jego był czarno-niebieski, okrążony kilku żółtymi pasami, co mu nadawało podobieństwo do olbrzymiego oka; lecz powieka, zamiast miękkich rzęs, miała ostre słupki, wydzielające mocną woń piżma.

Robert miał już odejść, gdy zgrabna, ruda wiewiórka skoczyła na drzewko, węsząc i wywijając puszystym ogonem, przyciągnięta zapewne zapachem kwiatu, do którego zbliżała się, skacząc lekliwie po splecionych gałązkach. Nagle skoczyła w środek kwiatu.

Teraz stała się rzecz straszna: złowroga źrenica przybrała żywą barwę, kolce zaczęły żywo się poruszać, a gałęzie zwinęły się z suchym trzaskiem ku środkowi, zamykając kwiat i uwięzioną w nim wiewiórkę, którą ze wszystkich stron otoczyły. Olbrzymie oko błysnęło złowrogo, a otaczające je kolce wbiły się w ciało zwierzątka, które wydało krzyk żalospny, przejmujący...

Wszystko to stało się z błyskawiczną szybkością. Zdumiony i przerażony Robert cofnął się w tył, lecz

tak niefortunnie, iż poślizgnąwszy się, padł jak długi na ziemię.

O mało tam nie został na zawsze: zaledwie dotknął ziemi, już był nawpół uduszony... Poczłł ze zgrozą, że zabójcza atmosfera owiewała go, tamując oddech; był to gaz węglowy, trzymający się przy ziemi, ponieważ jest cięższym od powietrza. Rozpaczliwym wysiłkiem zerwał się wreszcie biedny wędrownik z ziemi i z rozkoszą odetchnął głęboko czystem, wonnem powietrzem. Następnie, nie oglądając się i zupełnie od-  
ruchowo, wyszedł z tego zatruteo lasu.

Pomimo całej ciekawości i chęci poznania dokładnie tej zdumiewającej krainy, widział, iż nie był dostatecznie uzbrojonym i przygotowanym na taką wyprawę i że musi stracić życie, zanim dosięgnie do środka tej puszczy.

Powracając, rozmyślał o całym szeregu widzianych cudów i próżno szukał odpowiedzi na pytanie: po co było sztucznie stwarzać tak straszną przyrodę?..

Byłóż to miejsce obrane dla doświadczeń, jakiś «ogród męki», potworna fantazja jakiegoś tyrana?..

Wszystkie te przypuszczenia były bezpodstawne.

Wracał więc samotny powoli do marsyjskich wiossek, z mocnem postanowieniem powrotu z liczną i uzbrojoną drużyną, do tej góry kryształowej, której tajemnicy nie odgadł...

## K l i s z e .

W ośm dni po śmierci Fara-Sziba, kapitan Wad i Ralf znajdowali się w pięknym kjosku w ogrodzie przy mieszkaniu rezydenta, popijając chłodzące napoje.

Obok nich w wygodnym fotelu siedziała blada jeszcze, lecz już prawie zdrowa miss Alberta.

Troje tych ludzi łączyła prawdziwa przyjaźń. Im więcej mówili o Robercie i zastanawiali się nad jego sprawą, tym większą mieli pewność, że zdołał dostać się na Marsa, urzeczywistniając cudowny sen mędrca, poety, lub szaleńca.

Tysiące drobnych, nieznaczących okoliczności, zebranych razem, stawały się poważnymi dowodami.

Kapitan wznowił prowadzone przedtem dochodzenia w sprawie katastrofy w klasztorze, a umiejętne badanie braminów, wyświeśliło wielką część prawdy.

W laboratorium podziemnym, zajmowanym niegdyś przez Roberta, odnalazł notatki, dorywcze szkice i plany, w których projekt inżyniera zarysowywał się wyraźnie.

Ralf nie widział teraz nic nadzwyczajnego w tajemniczym liście, znalezionym w swoim pokoju—co uważał dotąd za fakt niewytłomaczony.

Natomiast zaciekało go niesłychanie kilka wierszy napisanych ręką Roberta w kajecie z różnymi notatkami:

«Dziś, za pomocą magicznych zwierciadeł, których mechanizm nie zawiera dla mnie nic nadprzyrodzonego, Ardavena zdołał mi ukazać moją drogą Albertę... Jestem pewnym, iż nie zapomniała o mnie, lecz doznałem z tego powodu strasznego wstrząśnienia i jestem na kilka dni niezdolnym do pracy...»

Miss Alberta, której Ralf wręczył ów kajet, uważając to za swój obowiązek, była temi słowami silnie wzruszoną.

— Wiedziałam o tem — szepnęła — że Robert nie mógł mnie zapomnieć i myśli nasze były nawzajem przy sobie; o, my go odnajdziemy! Jeśli rzeczywiście udało mu się przebyć otchłanie eteru i dosięgnąć Marsa, dlaczego nie mielibyśmy pójść za jego przykładem? Dlaczego nam się nie ma udać to samo, czego on już dokonał?

Kapitan ruszył głową z milczącym powątpiewaniem.

— Nie — rzekł Ralf — to jest niemożliwe! Robert zapewne korzystał z takiego zbiegu okoliczności, który już nigdy więcej się nie powtórzy.

— Zobaczymy! — szepnęła miss Alberta w zamyśleniu.

W tej chwili gong przy drzwiach domu zadzwieczał, oznajmiając czyjeś przybycie i kilku strwożonych służących przybiegło do kiosku, gdzie się toczyła powyższa rozmowa.

— Kapitanie — rzekł jeden z nich — aresztowano więźnia, którego cipajowie (żołnierze krajowcy) tu prowadzą...

— Więźnia? — zawołał kapitan niezadowolony — czyż mię potrzeba tem nudzić? Zapewne jakiś złodziej ryżu lub patatów!

— To nie krajowiec — nalegał służący — nie kłopotalibyśmy pana taką drobnostką... to Europejczyk i z pewnością szpieg! Mówi po angielsku ze szczególnym akcentem, odziany nędznie... przytem miał przy sobie mnóstwo bardzo dziwnych fotografii.

— Dobrze, żeście mi o tem powiedzieli — rzekł kapitan, przejęty ważnością swego obowiązku — niech go tu przyprowadzą, a sam wybadam go natychmiast. Zdaje mi się jednak — dodał po odejściu służącego —

że mamy do czynienia z jakimś międzynarodowym włóczęgą, od jakich żaden kraj nie jest wolnym...

— Otóż i on! — rzekł Ralf.

Cipajowie prowadzili przez ogród człowieka z długą, jasną brodą i niebieskimi oczami: był rzeczywiście nędznie ubrany, okryty kurzem i zdawał się bardzo znużonym.

Jednak pomimo swego smutnego wyglądu, miał swobodę i szlachetność ruchów, uderzającą zaraz na pierwszy rzut oka.

Ku wielkiemu zdziwieniu obecnych, na widok miss Alberty, wydał okrzyk radości, wznosząc mimowolnie ręce, przyczem kajdany jego zabrzęczały, następnie rzekł, składając ukłon głęboki.

— Wszakże to pani, miss Térmond? Jakże szczęśliwym jestem, że panią odnalazi! Coprawda, dopomogło mi to, że obecnie portret pani zdobi pierwszą stronę wszystkich pism ilustrowanych!

Kapitan sądził, iż ma przed sobą jakiegoś głodomora, który, dowiedziawszy się przypadkiem o bytności bogatej miss Alberty w Indjach, pozwolił się zaareztować, byle mieć sposobność zbliżyć się do niej dla uzyskania wsparcia.

— Dosyć! — przerwał surowo — tu ze mną będziesz miał do czynienia! Ostrzegam cię tylko, że jeśli to jest jakaś niewczesna komedja, toś się źle wybrał! Jakie posiadasz dowody lub papiery?

— Moje papiery — rzekł nieco żartobliwie przybysz — to książeczka skazańca, drukowana na żółtym papierze... jestem w zupełnym porządku!

— Cóż to za żarty? — spytał kapitan, marszcząc groźnie brwi.



— Wcale nie żarty — odparł więzień, z nieco drwiącym spokojem—tylko nie przypuszczałem, aby liberalna Anglja miała wydawać skazańców politycznych obcej narodowości, którzy na jej ziemi szukają schronienia...

— Jeśli jest tak, jak mówisz, możesz pan być spokojnym—mruknął kapitan, dotknięty w swej narodowej próżności — rozpatrzę wkrótce tę sprawę, ale muszę wiedzieć, kto pan jesteś, skąd pochodzisz, jak się nazywasz?

Więzień nie zdawał się zwracać najmniejszej uwagi na groźny głos, którym kapitan wypowiadał te słowa.

— Przybywam z Syberji—rzekł spokojnie.—Jestem uczonym, z pochodzenia Polakiem, nazywam się Boleński.

Fotel na biegunach, na którym siedział Ralf, zakotłysał się gwałtownie. Przyrodnik zerwał się na równe nogi.

— Boleński! — zawołał: — Już wiem... wiem! Czy to nie pan pracowałeś z pewnym francuskim inżynierem, nazwiskiem Darvel, nad sygnałami świetlnymi, dla porozumiewania się z mieszkańcami Marsa?

Ta jedna chwila wystarczyła kapitanowi, aby odrzucić urzędową i sztywną minę, jak niepotrzebną maskę.

Słuchał teraz życzliwie i z najwyższym zajęciem.

— Tak jest! — zawołał podróżny. — Nareszcieśmy się porozumieli... Coprawda, z trudem to przyszło!

Kapitan spojrział wymownie na stojących nieruchomo cipajów i zrobił nieznaczny ruch ręką. Ich bronzowe twarze, odbijające od białego ubrania, pozostały niewzruszone, lecz zbliżyli się do więźnia, którego kajdany natychmiast opadły, a kapitan podsunął mu własnoręcznie wygodny fotel.

Ku wielkiemu zdziwieniu miss Alberty, ta zmiana obejścia gospodarza nie wywarła żadnego wrażenia na Boleńskim; był widocznie pochłonięty jakąś inną, wyłączną myślą.

— Musiałem panią odnaleźć, ponieważ mam do zakomunikowania nadzwyczaj ważne wiadomości. Nazwisko pani nie jest mi obcem: ileż to razy, podczas naszego wspólnego pobytu na Syberji, wymawiał je mój przyjaciel Darvel! Jak to pani może wiadomo, zostałem wkrótce aresztowanym i osadzonym na ciężkie roboty, które podzielałem z moimi współziomkami. Przerwanie naszych badań w celu zawiązania stosunków międzyplanetarnych było dla mnie prawdziwym nieszczęściem! Niedawno jednak udało mi się uciec; dostałem się do Japonji, gdzie zarabiałem na życie, jako zarządzający zakładem fotograficznym. Nie wiedziałem, co się dzieje z Robertem — zamiarów naszych jednak się nie wyrzekłem. Rozporządzając olbrzymimi aparatami, które udało mi się jeszcze ulepszyć, otrzymałem z Marsa nadzwyczaj wyraźne klisze.

— Gdzie one? — spytała szybko Alberta, ogarnięta silnem wzruszeniem.

— Pokażę je pani natychmiast po oddaniu ich przez żołnierzy, którzy mię tu przyprowadzili..

— Do licha! — przerwał kapitan — zapewne te marsyjskie zdjęcia stały się powodem, iż moi zbyt gorliwi żołnierze wzięli pana za szpiega!

— Naturalnie: klisz tych było około setki, a miałbym ich o wiele więcej, gdyby chytrzy poddani Mikada, obeznawszy się dostatecznie z fotografią kosmograficzną, nie udzielili mi dymisji, bez żadnego powodu.

Tegoż dnia, gdym czekał na statek, odpływający do San Francisco, wpadł mi do ręki numer jakiegoś przeglądu, zawierający szczegóły biograficzne o Robercie, oraz portret miss Térmond. To zmieniło moje postanowienie: zamiast do San Francisco, udałem się do Karikal, dokąd przybywszy, znalazłem się bez grosza. Po wielu wysiłkach, wielu niebezpieczeństwach — nareszcie odnajduję panią!

— Pańskie współpracownictwo będzie dla nas bardzo cennem — rzekł Ralf, zbliżając się do Boleńskiego. — Robert Darvel musiał panu wspominać o swym przyjacielu, Ralfie Pitcher'ze?

— O, po tysiąc razy, w różnych okolicznościach!

Podczas, gdy ci dwaj ludzie, pociągnięci ku sobie szczera sympatją, zamieniali serdeczny uścisk dłoni, służący wniósł małą, zniszczoną, ręczną walizkę.

— Moje fotografie! — zawołał Boleński z oczami, błyszczącymi radością.

I otworzywszy ją z gorączkowym pośpiechem, zaczął wybierać stamtąd mnóstwo nienaklejonych jeszcze na tekturki odbitek; na wszystkich występowała wyraźnie ciemna planeta, poprzecinana jaśniejszymi linjami kanałów Schiaparellego.

Jednak na pierwszy rzut oka, fotografie te nie różniły się niczem nadzwyczajnem.

— Ależ państwo tu nie widzicie rzeczy najważniejszej — zawołał Boleński z zapalem. — Proszę tu spojrzeć: ten jasny punkcik, a po nim linijka; a na tej odbitce: kropka i dwie kreski!

— Cóż to ma być? — spytała miss Alberta.

— Nie rozumiecie państwo telegraficznego alfabetu

Morse'a? Przecież to niezbicie dowodzi obecności na tej planecie człowieka, przesyłającego Ziemi swoje sygnały — a nie może nim być nikt inny, prócz — Roberta Darvela!

### „Ro-bert Dar-vel”.

Boleński, odzyskawszy wkrótce, staraniem kapitana, wygląd człowieka z wyższego towarzystwa, zdobył odrazu sympatię otaczających. Były skazaniec okazał się człowiekiem wielkich zalet umysłu; był przytem prawdziwie uczonym, to też pierwszym staraniem jego przyjaciół było wyzwolenie go z przykrego finansowo położenia.

Pewnego ranka, chłopiec, przeznaczony na jego usługi, wręczył mu trzy listy, co go mocno zdziwiło: nie mógł się domyśleć, kto mógł być owym korespondentem, który tak prędko zdołał wysledzić miejsce jego pobytu.

Gdy zaciekawiony otworzył pierwszy list, wypadł z niego czek na sto funtów szterlingów. Oba pochodziły od kapitana, który z wielką oględnością tłumaaczył mu, iż mając w swem biurze wakującą posadę inżyniera-geometri, uważa sobie za miły obowiązek ofiarowanie mu takowej.

Załącza przytem na pierwsze wydatki półroczną pensję i prosi o przyjęcie jego propozycji.

Ujęty tem postępowaniem, tak delikatnem a wspinałomyślnem, Boleński otworzył drugi list, a zdziwienie jego wzrosło niepomierne, gdy ujrzał czek drugi, tym razem na tysiąc funtów, które królewski bank indyjski miał wypłacić okazicielowi.

List ten nosił podpis naturalisty Ralfa Pitchera, który w sposób dość zawikłany i nieco nieśmiały oznajmiał, iż będąc dłużnym znaczną sumę inżynierowi Darvelowi, czuje się w obowiązku zastąpienia tego ostatniego względem Boleńskiego, ofiarując mu tytułem korzyści, straconych przez zerwanie umowy syberyjskiej, sumę, jaką on sam oznaczy.

— Wiedziałem i bez tego listu, że ten Ralf to dzielny człowiek — szepnął Boleński. — Jacy oni dobrzy obaj! Zdawałoby się, że się zmówili, aby podpisywać czeki na moją korzyść!

To mówiąc, rozrywał trzecią kopertę, z czarną obwódką; spojrzawszy na jej zawartość, osłupiał, widząc trzeci czek, tym razem na poważną sumę 10 tysięcy funtów!

W dołączonym liście, miss Alberta, w słowach uprzejmych i pełnych delikatności, które nie mogłyby urazić najdrażliwszego usposobienia, prosiła o przyjęcie jednej z wyższych posad w jej banku, który dla należytego eksploataowania pól złotodajnych, potrzebował ludzi wysoko uzdolnionych.

Boleński przetarł mocno oczy, dla upewnienia się, iż to, na co patrzy, nie jest snem — i rzeźki, wesół, podążył do sali jadalnej, gdzie już jego przyjaciele siedzieli przy stole.

— Śpiesz się pan — zawołał przyjaźnie kapitan — właśnie mieliśmy zacząć śniadanie samil

— Proszę o przebaczenie — rzekł żartobliwie Boleński — lecz mię zatrzymała korespondencja, wyjątkowo dziś ważna: oto oprócz grubych czeków, otrzymałem kilka nader korzystnych propozycji.

Tu troje siedzących przy stole, podniosło głowy jednocześnie, jak na komendę.

— Moi drodzy przyjaciele! — kończył głosem wzruszonym, kładąc na stole listy i czek — powzięliście wszyscy tę samą myśl szlachetną... Będę wam na zawsze za to wdzięcznym, lecz przyjąć tego nie mogłem..

Zawiązała się ożywiona rozmowa, po której, pomimo upartej obrony, Boleński musiał uleść.

Zdołano namówić go do przyjęcia czeków, co uczynił jednak z tem zastrzeżeniem:

— Ulegam przemocy moralnej — ale proszę przynajmniej, aby te sumy wydane były na zakup i urządzenie ulepszonych aparatów do fotografii astralnych. Musimy tu posiadać takie same przyrządy, z jakich użytkowałem przez kilka tygodni w Japonji: jest nam to nieodzownie potrzebnem!

Miss Alberta uśmiechnęła się:

— Myśl trochę spóźniona, panie inżynierze! — zauważyła przekornie.

— A to dlaczego?

— Ponieważ upragnione przez pana przyrządy już są zamówione i wysłane z Londynu!

Ta wiadomość przejęła Boleńskiego niezmierną radością. Zapomniał na jakiś czas o prowadzonej sprzeczce z przyjaciółmi, wołając z zapałem:

— A więc wszystko doskonale się składa: wkrótce będziemy mogli wziąć się do pracy! Byle tylko — dodał ze smutkiem — Robert się nie zniechęcił i nie zaprzestał przesyłania sygnałów!

— O, w tym względzie ręczę za niego — rzekł Ralf — nasz przyjaciel złożył wielokrotnie dowody swej wytrwałości: wie on najlepiej, że podobne sygnały nie

mogą być natychmiast widziane z Ziemi! Znam go dobrze i wiem, że będzie zdolnym do podtrzymywania przez całe lata swych prób komunikacji międzyplanetarnej, jeśli tego będzie potrzeba. Nie ustanie w tych pracach z pewnością, ponieważ już mu się udało rozstrzygnąć dwa najważniejsze punkty: dostał się na Marsa i potrafił uczynić widocznymi swoje sygnały!

— W jakim sposobie to urządził? — przerwała miss Alberta.

— Na to nie mogę teraz stanowczo odpowiedzieć: sądząc jednak z tego, iż linje świetlne rysują się na ciemnym tle planety nadzwyczaj czysto i wyraźnie, domyślam się, iż musiał tam znaleźć potężne źródła energii i światła, co mu mogła dać tylko elektryczność.

Podczas tej rozmowy, kapitan siedział milcząco, zamyślony.

— Co za szkoda — rzekł Ralf — że niema sposobu zawiadomienia Roberta o tem, żeśmy widzieli jego sygnały!

— Możeby się znalazł jednak ktoś, mogący spełnić pańskie życzenia — odezwał się kapitan — a tym człowiekiem może być jedynie Ardavena.

Niestety jednak, po niewytłomaczonej katastrofie w Kelambrum, bramin dotąd przytomności nie odzyskał: pogrążony w ciągłym półśnie, jest prawie idjotą.

— Kto wie? — szepnęła miss Alberta — wartoby spróbować!

— To też spróbujemy — odrzekł kapitan — lecz przedtem mamy coś ważniejszego do zrobienia. Pan Boleński zechce zapewne uporządkować swe nadzwyczajne zdjęcia, aby je można było przetłómaczyć.

— Tak, gdyż dotąd było to niepodobieństwem.

Przez cały czas, który mi był przeznaczony na odpoczynek, byłem bezustannie szpiegowanym przez japończyków. Mogłem więc tylko poukładać i ponumerować klisze, gdyż się lękałem, że może ktoś stać się panem mojej tajemnicy.

— A na okręcie, czy również nie było czasu? — spytała Alberta.

— Tam także niepodobna było znaleźć miejsca spokojnego, nie mogłem zaczynać roboty tak delikatnej w zamieszaniu i ciasnocie kajuty trzeciej klasy, wpośród nieoświeconych i gburowatych wychodźców, przy ciągłych potracaniach i kołysaniu się okrętu.

— Naturalnie; ale od czasu jak pan tu jesteś?..

— Pani! jeśli mam wyznać prawdę, to nie śmiałem sam odczytywać tych znaków, bardzo zresztą łatwych; zdawało mi się, iż się wdzieram gwałtem w jakąś tajemnicę, że usiłuję zgłębić rzeczy ludziom wzbronione, zerwać owoc z drzewa nadziemskiej umiejętności. Drzę na myśl, co mi powiedzą te znaki, które przebyły miliony mil, ze zdumiewającą szybkością promienia światła. Odczytajmy wspólnie to pierwsze orędzie, przesłane z jednej planety na drugą, mocą ludzkiego geniuszu!

Boleński wymówił te słowa głosem uroczystym, a jego wzruszenie, niemal groza, na progu tajemnicy — udzieliło się obecnym.

— Niech więc się tak stanie! — rzekła miss Alberta. — Odczytajmy wspólnie te dokumenty, złączeni jedną myślą... Byłoby jednak zbrodnią odkładać to na później; dlaczego nie mielibyśmy zacząć tego natychmiast?

— Jak sobie pani życzy — rzekł Boleński — co do mnie, chciałbym się już raz pozbyć tej niepewności



i trwogi, raz się nareszcie dowiedzieć, co te znaki nam zwiastują.

Kapitan uderzył w gong, a gdy na ten odgłos pojawił się służący, krajowiec, wydał mu w języku sanskryckim polecenie, a służący zniknął i wrócił za chwilę, niosąc walizkę z fotografjami.

Wszyscy się do nich zbliżyli ciekawie.

Boleński, drząc nieco, wziął w rękę paczkę klisz i przeciął związujący ją szpagat.

W tejże chwili rozległ się jego krzyk, w którym się jednoczyły: gniew, zdziwienie i rozpacz.

Klisze, jaknajdokładniej utrwalone, przedstawiały teraz jednolicie czarną powierzchnię — bez śladu żadnej kreski, światła, plamki!

Straszne, grobowe milczenie zaległo w sali przez chwil kilka.

Niezdolni wydobyć głosu z ściśniętej nerwowo krtani, patrzyli z takim zdumieniem, jak gdyby piorun padł wśród nich.

Wreszcie Boleński, trupio-błady, sięgnął po drugą paczkę.

Może ta pierwsza tylko była zepsuta?..

Rozerwał gorączkowo sznurek — klisze były tak samo zczerniałe..

Chwycił trzecią, czwartą... wszędzie to samo!

— Jedynie elektryczność może wywierać w pewnych wypadkach wpływ podobny! — mruknął Ralf.

— Ależ te klisze jeszcze wczoraj wieczorem były doskonałe! — wykrzyknął Boleński, którego zdumienie zmieniać się zaczynało w gniew — nie mogę sobie tego niczem wytłomaczyć...

— Jest w tem coś innego — rzekł kapitan — to

zepsucie klisz, właśnie w dniu przeznaczonym na ich obejrzenie, byłoby w tych warunkach niczem niewyjaśnione, gdybyśmy nie mieli do czynienia ze złą wolą.

— Ale komuby na tem zależało i ktoby to mógł uczynić?

— Jedyny człowiek na świecie: Ardavena.

— Ależ pan mówisz, że jest teraz idjotą!

— Musiał wyzdrowieć, gdyż on jedynie posiada władzę czynienia rzeczy nieprawdopodobnych. Możemy się wkrótce o tem przekonać: klasztor, w którym przebywa, jest o kilka mil<sup>1)</sup> stąd i samochód dowiezie tam nas w kwadrans.

Wszyscy natychmiast wybierać się zaczęli w drogę: było im pilno osiąść nakoniec klucz tej drażniącej tajemnicy, która w miarę usiłowań zbadania jej, stawała się coraz bardziej nieprzeniknioną.

Wkrótce samochód kapitana wioził ich z pośpiechem w kierunku klasztoru, po drodze obrzeżonej z obu stron lasem palmowym.

Byli już zaledwie o parę kilometrów od celu podróży, gdy kapitan, obserwujący okolicę przez lunetę, odzucił ją z okrzykiem zdziwienia.

— Co się tam dzieje?— spytał niespokojnie Boleński.

— Nie wiem — rzekł oficer ze wzburzeniem — widzę tylko, że wielki obłok dymu unosi się nad budynkami klasztoru: musiał tam wybuchnąć pożar, gdyż ludzie uciekają na wszystkie strony. Jestem mocno przekonany, iż ten wypadek ma związek ze zniszczeniem pańskich klisz i losem inżyniera Darvela.

Na znak swego pana, palacz nastawił samochód na

<sup>1)</sup> Mowa tu o milach angielskich.

trzecią szybkość i po kilku minutach, zatrzymał się wpośród zmieszanego i przerażonego tłumu, wprost budynków klasztoru, z których wybuchał ze złowrogim szumem potężny słup ognia.

Na widok rezydenta, Hindusowie rozstąpili się z uszanowaniem, a ten, wysiadłszy z samochodu, począł wypytywać obecnych o przyczynę pożaru.

Starzec z białą, długą brodą, zapewnił go, iż był nią piorun.

— Drwisz chyba ze mnie — rzekł anglik — niebo jest najzupełniej pogodne i nikt nie słyszał grzmotu. To musi być coś innego!

— Przysięgam, panie, iż mówię prawdę i wszyscy to potwierdzić mogą: widzieliśmy długą, jasną błyskawicę i słyszeliśmy straszliwy huk!

Niedowierzający wprzód kapitan, musiał w końcu uwierzyć: wszyscy, których badał, grożąc surową karą w razie ukrywania prawdy, złożyli jednobrzmiące zeznania.

Dzięki jego zarządzeniom, bataljon cipajów, wezwany z pobliskiej fortecy, zajął się energicznie tłumieniem pożaru, mając z sobą odpowiedni komplet narzędzi ratowniczych.

Wkrótce opanowano ogień, który strawiwszy szopy i poddasza, napełnione słomą ryżową, był bezsilnym wobec grubych murów, zbudowanych z wielkich głazów.

Jak tylko można było najprędzej, bo jeszcze przed ostatecznym ugaszeniem ognia, kapitan wszedł na trzecie piętro wieży, kierując się wraz ze swymi gośćmi, ku celi, zajmowanej przez Ardavenę.

Lecz było już im widocznie przeznaczonem doznać w ciągu tego dnia niezwykłych niespodzianek.

Piętro to, które zamieszkiwał stary bramin, było obecnie tylko rodzajem okrągłej studni, o brzegach zczerniałych od ognia: dach jego został całkowicie spalonym.

Ślady rozprysniętego mózgu na ścianach oraz przyschnięte do nich wstrętne szczątki ciała, świadczyły wymownie, jakiemu losowi uległ Ardavena.

— Moi przyjaciele! — zawołał kapitan drżącym ze wzruszenia głosem — teraz pojmuję wszystko: nie piorun był przyczyną tego pożaru, lecz — bolid!

Zkądże on mógł pochodzić? Tylko — i jedynie... z Marsa!...

Kapitan nie mylił się w swych przypuszczeniach.

Meteoryt, który z powodu szybkości swej i rozgrzania do białości, był wzięty przez Hindusów za błyskawicę, spadając, przebił z przerażającą siłą trzy kamienne sklepienia i zabił napotkanego na drodze bramina.

Długie milczenie zapanowało wśród naszych znajomych...

Wszyscy troje uczeni się wciągniętymi w wir wydarzeń niezwykłych, których potęgą nie mogli kierować, wreszcie przerwał ciszę głos naturalisty Ralfa:

— Musimy koniecznie znaleźć ten bolid, tembardziej, iż kapitan przypuszcza, że pochodzi on z Marsa. Ale czy może kto dowieść tego napewno?

— O, dowodów mi nie brak — zawołał kapitan — wytłomaczę to wszystko i wiem, iż będziecie zmuszeni przyznać mi słuszność.

Poprzedzani przez służącego krajowca, zeszli na niższe piętra, w sklepieniach których widniał otwór okrągły, o krawędziach tak czysto wykrajanych, jak gdyby wymierzono je wprzód cyrklem. Sam ów bolid

jednak leżał zaryty w ziemi, wewnątrz wieży — i tam też zesli.

Początkowo ujrzeni tylko jakiś kształt wydłużony, utkwiony pionowo w ziemi, który był rozpalony do białości i wyziewał duszące gorąco.

Lecz, ku najwyższemu zdziwieniu wszystkich trojga, ten dziwny aerolit miał formę najzupełniej prawidłową. Był to owal, z końcami zwężonemi, niby jakieś grube a niezbyt długie cygaro, nie będące ani kamieniem, ani masą, z jakiej się składają zwykłe meteoryty.

Kapitan i jego towarzysze musieli uzbroić się w cierpliwość i czekać, aż się ta ognista masa, rozpalona długiem tarcieciem o powietrze, ostudzi.

Gdy to nastąpiło, kilkunastu cipajów, uzbrojonych w metalowe drągi, zdołało z wielkimi wysiłkami zaledwie wyrwać bolid z wklęsłości, którą wydrążył swym ciężarem i wynieść na jeden z wewnętrznych dziedzińców klasztoru.

Tam dopiero przekonano się, iż był wewnątrz wydrążonym; w jednym końcu znajdował się okrągły otwór, którego krawędzie były żłobkowane i nosiły ślady sprężyny, przytrzymującej pokrywę owego otworu.

— Moi przyjaciele! — rzekł kapitan głosem poważnym i wzruszonym — znajdujemy się wobec wydarzenia wielkiej wagi. Ten bolid nie jest niczem innym, tylko pociskiem stalowym, którego dokładny opis zawierają notatki inżyniera.

— Jednakże — wtrącił Ralf — czemuż wytłomaczyć to, iż jest pustym i, co ważniejsze, że spadł właśnie tam, gdzie przebywał Ardavena? Wierzcie mi, że tu jest coś więcej nad prosty przypadek.

— Niewątpliwie! — zawołał Boleński — czy mogę dać pewne wyjaśnienia?

— Co do mnie, nie widzę ich możliwości—dodał Ralf.

— Może nigdy nie zdołamy całkowicie tej sprawy wyświecić, możemy jednak spróbować, zestawiając ze sobą kolejno wydarzenia. Dla mnie ozdrowienie Ardaveny nie ulega najmniejszej wątpliwości — to on zepsuł klisze fotograficzne, kierowany złościwością lub zazdrością. On też jedynie mógł spowodować powrót na ziemię owego stalowego pocisku, który wprzód był jego wolą wyrzuconym na Marsa; pozostawał on w zetknięciu z tą bryłą kruszcu, przez potężny fluid, który przyłgnąwszy do atomów stali, uczynił ją posłuszną jego woli. Jeśli zdołał wysłać w przestrzeń ten pocisk, mógł również sprowadzić go z powrotem.

— Nie zdaje mi się to tak pewnem — zauważył Ralf — gdyby tak było, pocóż by się miał pozwolić tak głupio zabijać?

— Nie pomyślał zapewne o tem, że pocisk, przyciągany jego wolą, przeleci z szybkością powiększoną jeszcze przez siłę przyciągania Ziemi, wprost do źródła działającej nań energii, to jest — do mózgu Ardaveny. Jakie były jego zamiary? dlaczego to zrobił? — na to nie mam odpowiedzi i nie możemy sobie pochlebiać, że kiedykolwiek rozjaśnimy ciemności, okrywające tę sprawę. Może chciał pozbawić Darvela statku, mogącego ułatwić mu powrót na Ziemię? Może utrzymywał z nim komunikację myślową?

— Tego się naturalnie nigdy nie dowiemy — szepnął kapitan — lecz jedno zdaje mi się być pewnem: jestem przekonany, iż odtąd naszych zdjęć nie będą

niszczyć niewidzialne ręce. Śmierć Ardaveny uwolniła nas od groźnego nieprzyjaciela!

— Żeby tylko Robert nie zaprzestał swych sygnałów! — westchnął Ralf.

— Przekonamy się o tem za kilka dni — zakończył kapitan.

Na tem musiano na razie poprzestać i powrócono do rezydencji kapitana, dokąd też z wielką ostrożnością przewieziono stalowy pocisk, a gospodarz jej miał wybadać jeszcze służących klasztornych, czy komu z nich nie zdarzyło się widzieć owego pocisku w laboratorium Darvela.

Po upływie dwóch dni, delikatne i kosztowne aparaty do fotografii międzyplanetarnej nadeszły z Karikal w furgonie samochodowym.

Boleński z pomocą Ralfa, ustawiali je przez cały dzień na jednym z tarasów pałacowych. Wkrótce Ralf, mocno wzruszony, poddał pierwsze klisze działaniu wywoływacza i utrwalił je.

Miss Alberta i kapitan zaczęli je oglądać i ten ostatni zawołał:

— Są sygnały! Mógłbym się być założyć, że je mieć będziemy, od kiedy tego łotra Ardaveny niema na świecie!

— Spodziewam się, iż będziemy przezorniejsi tym razem i odczytamy natychmiast to, co nam zwiastują kreski i kropki alfabetu Morse'a — rzekła miss Alberta, mocno wzruszona.

I zasiadłszy poważnie przy biurku kapitana, zaczęła notować wskazówki, dyktowane powoli przez Ralfa.

Nagle kapitan, który stojąc za jej krzesłem, odczy-

tywał szybko znaki telegraficzne z trzymanyh w rękę klisz, zawołał z nadzwyczajnem wzruszeniem:

— Przyjaciele moi! Nie omyliliśmy się w naszych przewidywaniach: inżynier żyje i zamieszkuje planetę Marsa, a nam przypadł zaszczyt odebrania z niej pierwszego telegramu!

I zaczął czytać powoli, rozdzielając zgłoski:

Ro-ber-t Dar-vel..

Komunikacja między Marsem i Ziemią zaczęła istnieć!

### C i e m n o ś c i. <sup>1)</sup>

Z nadejściem nocy, Robert, pomimo łez i próśb Eoiji oraz całego swego otoczenia, zapuścił się w las podzwrotnikowy, w towarzystwie jedynie owego wampira, o którym sądził, iż jest już zupełnie obłaskawionym i który poprzedzał go, podlatując ciężko.

Zaopatrzony w broń i żywność, szedł za swym przewodnikiem brzegiem jednego z kanałów przez kilka godzin, aż na polance leśnej, będąc daleko już od swoich, został przez niego opuszczony i natychmiast otoczony przez całą chmarę Erloorów, które zlatywały się ze wszystkich zakątków lasu.

Próbował przy pomocy krzesiwa, rozpalic ogień, który mu dotąd był skutecznym środkiem obrony: lecz zanim to zdołał uczynić, poczuł owijające go jakieś

---

<sup>1)</sup> Ten niezupełny urywek jest ostatnią wiadomością o Robercie Darvel'u, który sygnalizując kolejne wydarzenia, nie wyjaśnił sposobu, jakim przesyłał swe wiadomości.



---

mocne pęta z ciężarami na końcach, coś w rodzaju lassa — w jednej chwili skrepowano go, zakneblowano mu usta i uniesiono w głąb lasu.

Przy szamotaniu się został uderzony w czoło kulą kamienną, zakończającą krepujące go więzy i omdlał.

Gdy przyszedł do przytomności, ujrzał się uwięzionym wśród ciemności: zewsząd słycać było głuche szepty, szmer skrzydeł, a gorące oddechy muskały twarz jego...

Z oddali dochodził silny szmer strumienia.

W otaczających go ciemnościach błyszczały miljarady oczu, które tworzyły jakby mgłę fosforyzującą.

Miejsce jego pobytu wydało mu się groźnem i posępnem; była to jaskinia obszerna, wysoka, jak katedra, której strome ściany i sklepienie były pokryte, jak śmiertelnym całunem, skrzydłami przyczepianych do nich Erloorów...

.....

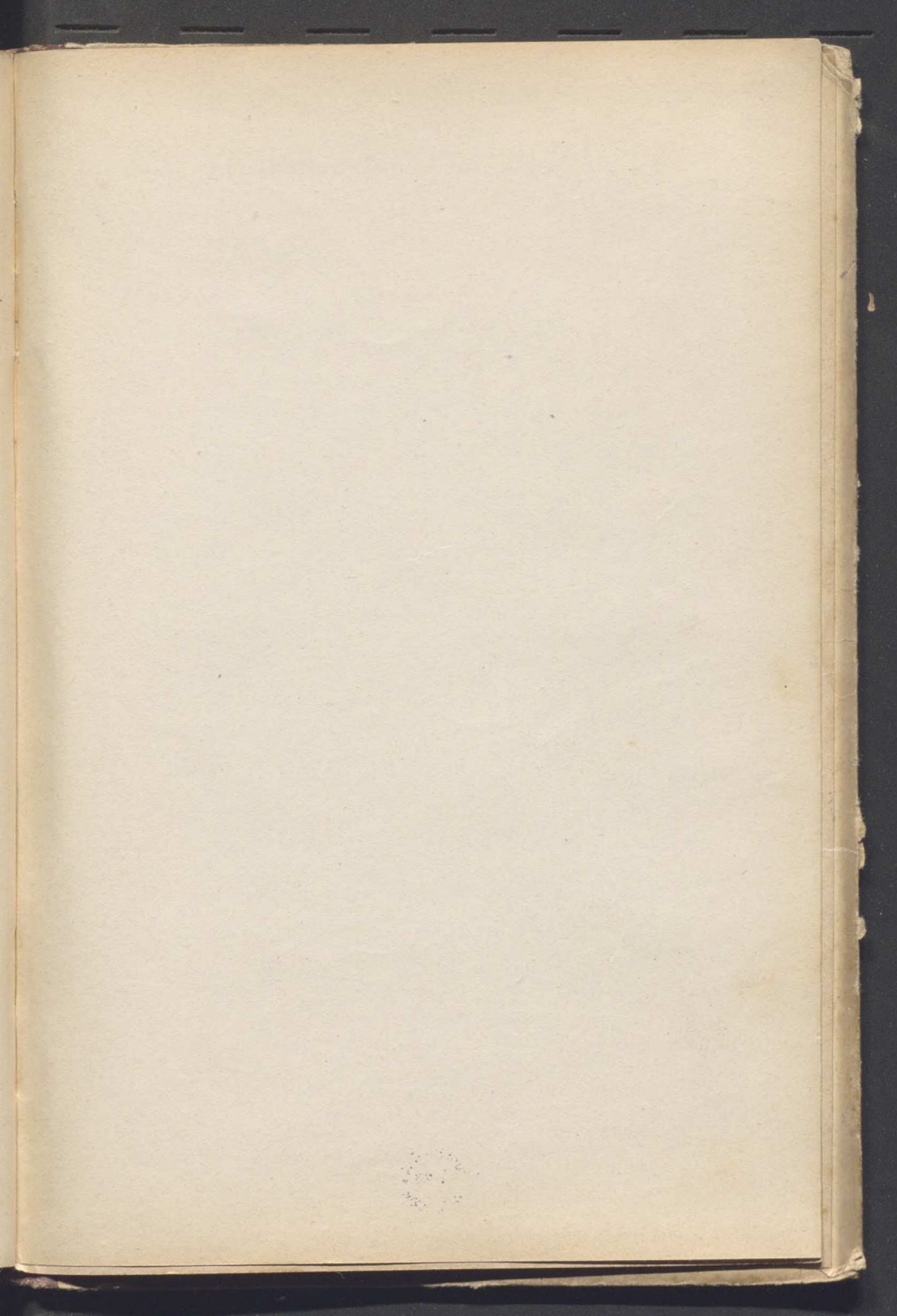
K O N I E C.

## TREŚĆ.

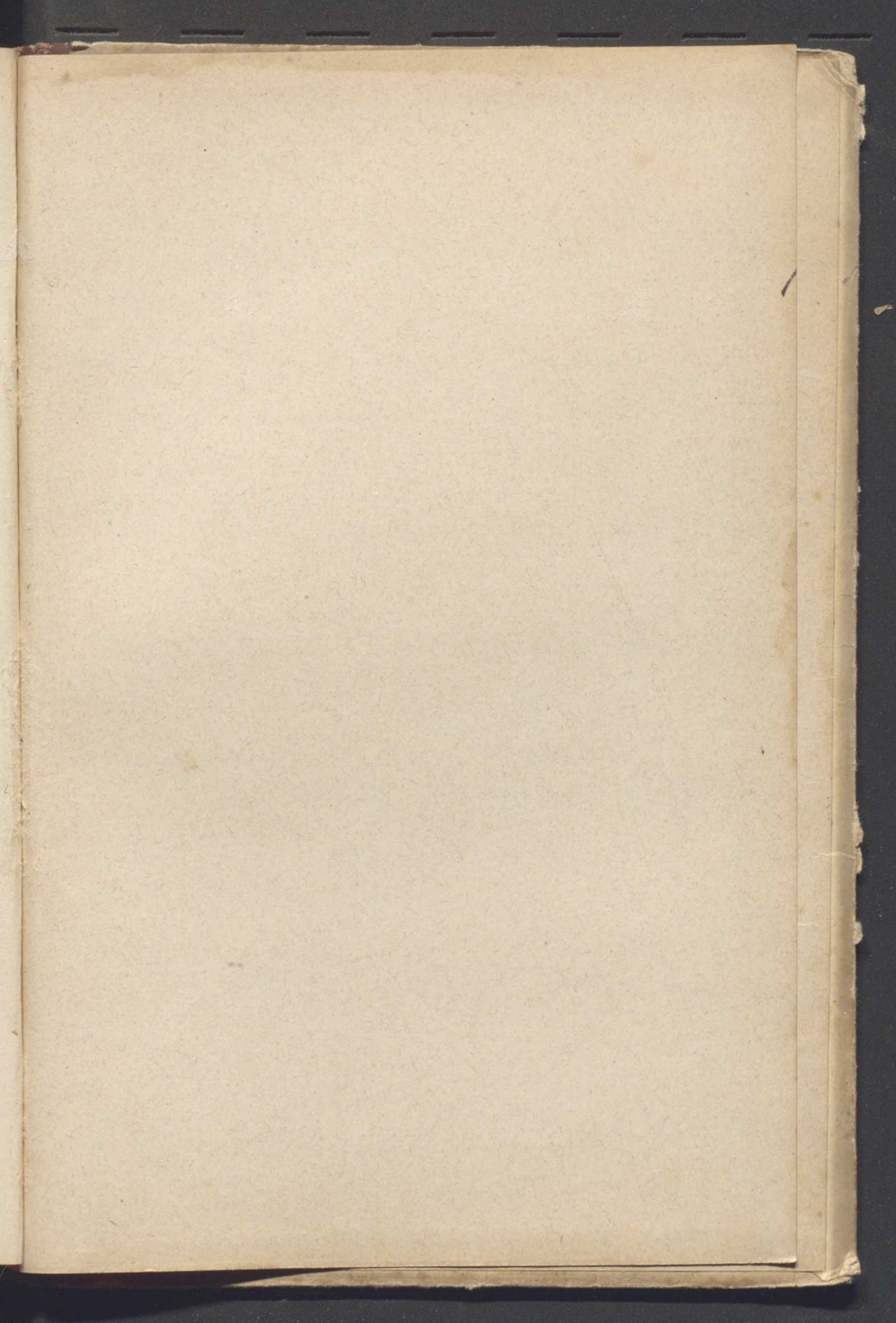
---

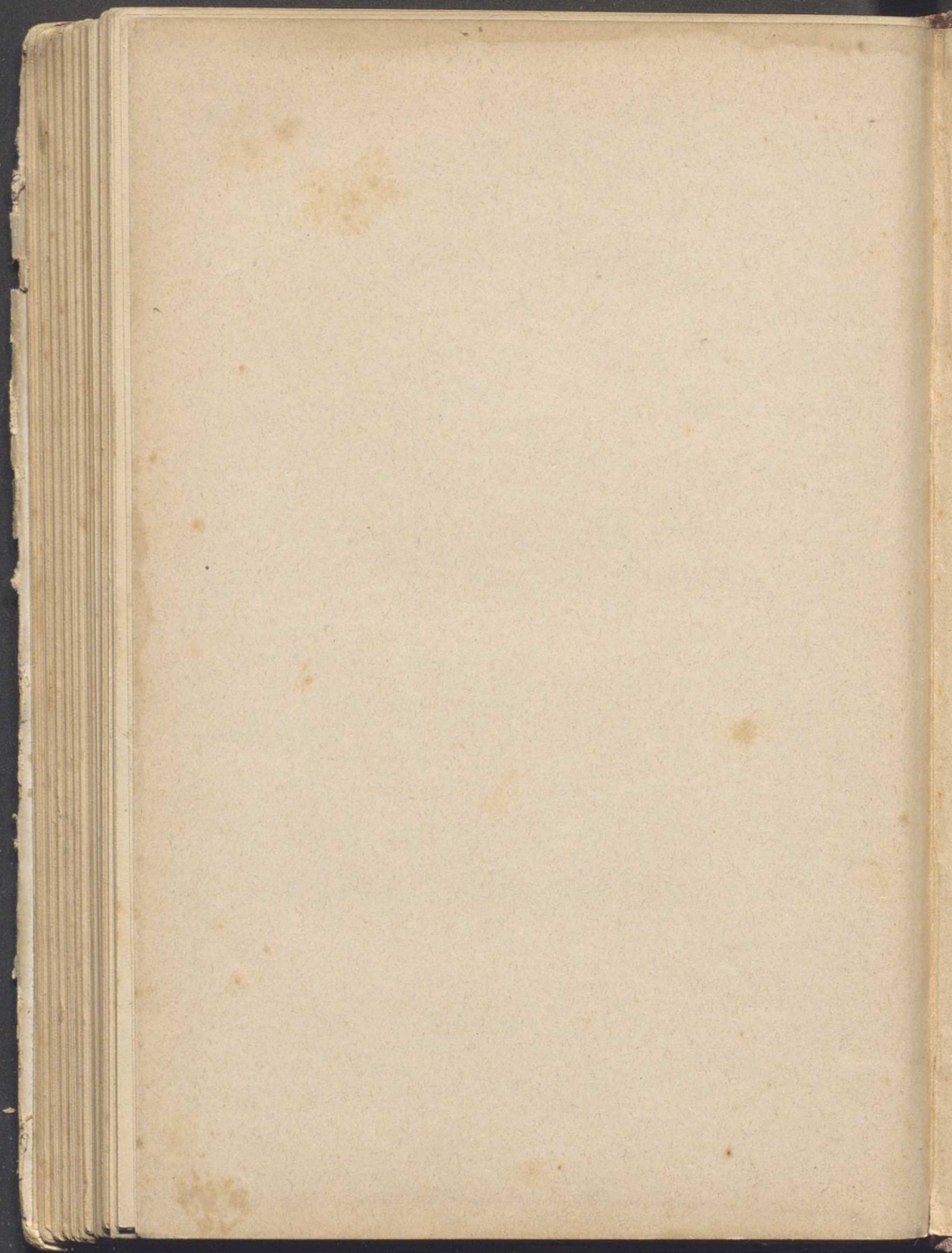
	Str.
Tajemniczy dom. . . . .	5
Źródło energii . . . . .	15
Uroki i czary . . . . .	25
Kondensator energii . . . . .	29
Katastrofa. . . . .	37
Sygnalizacja z Marsem . . . . .	46
Przebudzenie. . . . .	55
Pustynia . . . . .	68
I radość zabija . . . . .	77
Zdobycie ognia . . . . .	90
Spotkanie z potworem . . . . .	98
Wampir . . . . .	106
Pokaz kapitana Wad . . . . .	111
W wiosce marsyjskiej . . . . .	132
Ogólna radość . . . . .	140
Niszczenie bożków. . . . .	146
Nocna walka . . . . .	155
Odkrycia . . . . .	164
Ulepszenia. . . . .	172
Kryształowa góra . . . . .	175
Klisze . . . . .	185
„Robert Dar-vel” . . . . .	192
Ciemności . . . . .	204

---









Antykw. Rara Avis

13.06.2014

144, 45

631194863

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001013586957